ZORZA

DZIENNIK

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garstką ziemię nosi góry się doczeka.

Czyń każy w swojem kółku co każe duch boży
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

TOM II.

WARSZAWA

W DRUKARNI POD FIRMĄ M. CHMIELEWSKIEGO
przy ulicy Senatorskiéj Nr. 463.

1843.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.



rysował: T. Sławicz

Elżbieta z Kowalskich Druzbacka

Rymotworka Polska

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

WSPOMNIENIE.

(z Ryciną).

Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, rodem z okolic Lwowa poślubiona Drużbackiemu stolnikowi Żydaczewskiemu żyła za panowania Augustów II i III. to jest do roku 1760 w którym umarła mając lat 73 pogrzebiona w Tarnowie.

Niektóre poezje Drużbackiéj mianowicie sielanki: „Cztery pory roku“ „Pochwała lasów“ i t. p. tchną prawdziwie wiejską prostotą, zalecają się wdziękiem wyrażenia, czystością języka, i stanowią epokę odrodzenia się lepszego smaku. Wady zaś jakieby można znaleść są tak lekkie, zważając na wiek w jakim żyła, wiek prawdziwéj oschłości zepsutego smaku, wiek pedantyzmu, przysady i szkolnictwa, wiek wreszcie zabaw. Gdyby Drużbacka posiadała obce

języki, miała więcéj wzorów, byłaby w rymotworstwie osiągnęła pierwsze miejsce. Rzadkim z natury obdarzona dowcipem w najpierwszych domach przebywając, wykształciła się przez obcowanie z osobami wyższego rzędu. Straciwszy męża obrała sobie za mieszkanie klasztor panien Bernardynek w Tarnowie, a bez uczynienia ślubów, postanowiła dawnym pobożnym zwyczajem nosić sukienkę zakonną jak świadczy wizerunek z prywatnego zbioru dawnych portretów zdjęty. Te kilka wierszy Epifaniusza Minasowicza najlepszym są dowodem jak ją w owych czasach uważano i czczono:

Siędzie w dziewiętnym muz Drużbacka chórze;
Z wielką dam polskich imienia ozdobą.
Pisząca w przednim gładki wiersz polorze
Tą przyświadczając mądrość płci swéj probą.

J. W.

DWIE PRZYJACIÓŁKI.

Nigdy! nie, nigdy cię kochać nie przestanę, mówiła Klara S.... do młodszéj od siebie Maryi, gdy obie w zielonych kamlotowych sukienkach i białych perkalowych fartuszkach, biegały po ogrodzie co ich pensyą otaczał.

Klara miała rok dwunasty, i była córką bogatego kupca; Maryi ojciec był uczonym, prawym, lecz ubogim adwokatem. Dotąd dziewczynki nie znały jeszcze różnicy jaką majątek między ludźmi stanowi, kochały się obiedwie, bawiły się, pracowały razem; a w święta i niedziele, kiedy pensionarkom wolno wychodzić, szły obie raz do domu jednéj, drugi raz do drugiéj rodziców.

Tak im zszedł rok blisko, lecz w tym czasie, pan S.... któremu dobrze szły interessa, i którego

majątek zwiększał się codziennie, odebrał Klarę z pensyi gdzie jéj tyle miłych chwil spłynęło, i chcąc jéj staranniejsze dać wychowanie, postanowił do domu sprowadzić nauczycieli.

Smutném było pożegnanie Klary z młodemi współuczennicami, choć ją pocieszała nadzieja świetnego życia w ojcowskim domu, lecz gdy jéj się przyszło z Marją rozstawać, opuściła ją odwaga; wolałaby całe życie na pensji przepędzić, niż opuścić swoję najlepszą przyjaciołkę; wśród łez obfitych zamieniły krzyżyki, które obie nosiły na szyjach, i przyrzekły kochać się zawsze, i odwiedzać się często.

Dotrzymały słowa; Marya co święto chodziła do Klary, dziwiła się bogatemu jéj mieszkaniu i ubiorowi, cieszyła się z jéj dostatków, nie zazdroszcząc, i nie pragnąc ich dla siebie. Klara także często przyjeżdżała na pensję, brała Marję z sobą na przechadzki, teatra, słowem dzieliła z nią wszystkie swoje zabawy o ile się temu urządzenia pensji nie przeciwiały.

Pan S.... był wdowcem, zaprosił więc do domu swoją siostrę, wdowę w średnim wieku, prosząc jéj aby przewodniczyła wychowaniu Klary, bo on sam nie miał czasu do tego.

Ciotka przywiązała się w krótce do miłéj dziewczynki, lubiła słuchać kiedy Klara grała na fortepjanie, lubiła patrzeć gdy tańczyła, a nade-

wszystko lubiła się pysznić jéj talentem i zręcznością; to też gdy zima nadeszła, i zaczęto je zapraszać na końcerta i baliki dziecinne, nie odmawiała nikomu.

Z tąd mnóstwo zatrudnień; trzeba się było uczyć nowego tańca lub sonaty, trzeba było przymierzać balowe suknie, lub odwiedzać nowe znajomości; dni były krótkie, Klara więc nie miała czasu tak często jak dawniéj bywać u Marji. Smuciło się tém dobre dziewczę, lecz wiedząc że się Klara musi do woli ciotki stosować, nie brała za złe tego zaniedbania, i co niedzielę, podług dawnego zwyczaju odwiedzała ją sama.

Lecz i te odwiedziny nie tak już były przyjemne jak dawniéj; Klara zanosiła się od śmiechu gdy jéj Marja przypominała dawne zabawy i zatrudnienia, i nie pojmowała jakim sposobem mogła przez cały rok znieść takie nudy.

— Teraz dopiero żyję, dodawała zwykle, i zaczynała Marji opowiadać swoje rozrywki, przejażdżki sankami, pyszne podwieczorki, opisywała stroje nieznanych osób; a ta słuchała uważnie choć ją to nie bawiło, bo widziała że się dawna jéj towarzyszka niezmiernie tém zajmuje. Z żalem jednakże spostrzegała, że Klara nie była dla niéj tak otwartą, tak przyjacielską jak dawniéj, nie brała już jéj na spacer ani do teatru, nie zapraszała nigdy na obiad, i ile razy ją odwiedziła

prosiła aby swoją kamlotową suknię zamieniła na inną jaką z jéj garderoby, mówiąc że wtém daleko ładniéj; lecz przenikliwa Marja mimo pieszczot Klary widziała że ona to dla siebie saméj robiła, i że ją ubierała dla tego tylko, aby się nie wstydzić za skromny ubiór pensjonarki gdyby goście nadeszli.

Wszystkie te spostrzeżenia martwiły Marję, jednakże nie obwiniała swojéj przyjaciołki; tę pozorną obojętność przypisywała roztargnieniu w którém Klara ciągle żyła, i nie przypuszczała nawet żeby się jéj serce także zmienić mogło. W krótce wszelako przekonała się o tém; raz gdy znów do niéj przyszła i siedziała w salonie, oznajmiono dwie młode panienki; lecz zaledwie Klara usłyszała ich nazwiska, schwyciła Marję za rękę i wyprowadziła do swego gabinetu, a tam rzucając jéj się na szyję oświadczyła że to zrobiła umyślnie, aby ją uchronić od żarcików nowo przybyłych panien, bo, dodała: te dwie siostry niezmiernie są dumne, i lubią się naśmiewać ze wszystkiego.

—Ale cóż we mnie jest tak śmiesznego? zapytała zdziwiona, i żywo dotknięta Marja.

—Oh! dla mnie nic, zawołała ściskając ją Klara; ty wiész jak cię kocham, jak mi się wszystko w tobie doskonałém zdaje, ale one! twoja perkalowa suknia, twoje dymowe trzewiki, na-

wet twoje włosy gładko zaczesane, choć ci w nich tak do twarzy, pobudziłyby je do śmiechu; a ja nie chcę żeby się kto z mojéj Marji naśmiewał. I to mówiąc znów ją całować zaczęła.

Marja zrozumiała doskonale, że to nie z przyjaźni lecz z próżności pochodziło, że Klara nie chciała aby kto w jéj bogatym salonie ujrzał skromnie, a nawet ubogo ubraną dziewczynkę. Nie chcąc zawstydzać swojéj przyjaciołki udała że wierzy wszystkiemu, lecz w krótce widząc że mimo wszelkich usiłowań nie może ukryć chęci powrócenia do sali, powiedziała że ją głowa boli i pożegnała Klarę, która udając na wzajem że temu wierzy, okrywa ją troskliwie chustką i salopą, i zawoławszy służącego każe mu iść za Marją, a sama nie odprowadziwszy jéj nawet do przedpokoju, biegnie do swoich nowych przyjaciołek.

Marja wróciwszy na pensję smutną była przez dni kilka, nie kocha mnie! mówiła sobie; przekłada nademnie dumne i wyszydzające dziewczęta jak je sama nazywa, a ja, ja się dla niéj zmienić nie mogę! lecz i Klara uczuła w krótce jak sobie źle postąpiła; minęła chwila próżności, nastąpił po niéj żal i zgryzota, że się tak niegodnie obeszła z swoją najlepszą, najdawniejszą przyjaciołką, przybiegła więc na pensję, przeprosiła i tysiącem pieszczot uspokoiła stroskaną Marję, za-

pewniając że *ją* zawsze tak kocha jak dawniéj, i że wolałaby porzucić wszystkie swoje nowe znajomości niż ją choć na chwilę zasmucić.

Nie wiem czy to szczerze mówiła, lecz Marja uwierzyła jéj słowom, bo tak łatwo wierzyć temu czego sobie życzymy! i w kilka godzin dziewczynki rozstały się w najlepszéj przyjaźni, przyrzekając sobie że już więcéj między niemi takich nieporozumień nie będzie. W krótce potém ojciec Marji odebrał list od brata który się z nim od kilkunastu lat poróżnił, i z którym przez cały ten czas żadnych nie miał stosunków; lecz teraz śmiertelną złożony chorobą wzywał słusznie obrażonego brata, aby z całą rodziną przybył mu zamknąć oczy, i ostatnie odebrac tchnienie. Marja po kilka razy chodziła do swojéj przyjaciołki chcąc się znią pożegnać, lecz jéj nigdy w domu zastać nie mogła; napisała więc długi i tkliwy list, zostawiła go służącemu pana S.... i wyjechała z rodzicami.

Przybywszy do stryja, znaleźli go już blizkim zgonu, lecz widok brata, i czułe starania jego rodziny pocieszyły go cokolwiek, i osłodziły mu przynajmniéj ostatnie chwile życia. Umarł w kilka dni potém, a gdy go pochowono, i otworzono testament, okazało się że dziedzicem swego ogromnego majątku mianował ojca Marji.

Godny mąż przyjął z wdzięcznością tak nie-

spodziewany dar nieba, Marja cieszyła się szczęściem rodziców, lecz razem niecierpliwie oczekiwała chwili, w któréj wróci do Warszawy i uściska swoją Klarę, bo mimo widocznych wad kochała ją z całego serca.

Lecz ojciec postanowił zostać na miejscu aż do objęcia w posiadłość nowo odziedziczonego majątku; że się zaś z tém nie mógł tak prędko ułatwić jak się spodziewał z początku, ośm tygodni minęło, a jeszcze ani wzmianki o powrocie nie było.

Marja pisała po kilka razy do Warszawy, lecz tylko parę zimnych wierszy otrzymała w odpowiedzi, bo Klara wybierała się na bal, i nie miała czasu pisać więcéj. Ścisnęło się serce Marji na ten dowód zupełnéj obojętności, lecz choć ją to wiele kosztowało, przestała pisywać do niewdzięcznéj. Nie skarżyła się jednak przed rodzicami, bo jéj ojciec dawno przepowiedział że ta przyjaźń długo trwać nie będzie; nie chciała jego słowom wierzyć, teraz więc wstydziła się wyznać że się tak prędko spełniły.

Tymczasem nadeszła wiosna, ojciec Marji urządził się już zupełnie w swoich dobrach, lecz nie chcąc porzucać stanu w którym się zaszczytnie odznaczył, wrócił do Warszawy, i stanął w hotelu na Królewskiéj ulicy, dopókiby sobie nie obrał dogodnego mieszkania. Marja nie mia-

ła już wrócić na pensję, rodzice jéj mając środki po temu, chcieli żeby się pod ich okiem kształciła. Miło jéj było pomyśleć że już nie opuści rodzicielskiego domu, jednak co dzień smutniejszą się stawała; tak blisko była Klary, a nie mogła się z nią widzieć, bo słusznie obrażona nie chciała iść do niéj, ani jéj o swoim powrocie donosić.

Po kilkodniowéj walce, przyjaźń przemogła nad miłością własną;— Jeszcze ten raz pójdę do niéj, pomyślała sobie; może jeszcze odzyskam jéj serce: lecz razem przyrzekła sobie, że jeśli ją Klara nie przyjmie z otwartémi rękami, jeżeli w jéj postępowaniu dostrzeże najmniéjszy cień niechęci lub dumy, pożegna ją natychmiast i nigdy więcéj do niéj nie powróci. Niechcąc aby szczęśliwa zmiana jéj położenia miała jaki wpływ na postępowanie Klary, postanowiła ją zataić; ubrała się jak najskromniéj, wzięła płócienkową suknię, prosty słomiany kapelusz, małą chusteczkę na szyję, skórzane trzewiki, i w takim stroju poszła odwiedzić wykwintną Klarę. Biédna niespodziewała się o ile ją jeszcze znajdzie zmienioną.

Nie wiedziała, że Klara co raz częściéj bywając w towarzystwie zepsutych dzieci, przejmowała zwolna wszystkie ich wady; stroje i zabawy zajęły zupełnie jéj głowę, zapomniała spokojnéj przyjaźni Marji, przeniosła nad nią po-

chlebstwa nowych swoich przyjaciółek, i nie raz nawet wyśmiewała się wraz z niémi z prostoty i szczerości młodéj pensjonarki.

Chcąc sobie skrócić drogę prowadzącą do mieszkania Klary na krakowskie przedmieście, Marja poszła przez Saski ogród; było to nad wieczorem, mnóstwo osób używało świeżego powietrza, grona młodych ładnie poubieranych panien przechodziły się po środkowéj ulicy, Marja sama, z starą swoją piastunką nie chciała się między nie mieszać; lecz zaledwie się zwróciła w boczną ulicę, spostrzegła idącą na przeciw siebie wśród trzech wystrojonych i głośno się śmiejących dziewczynek, swoją Klarę.

Bez namysłu rzuciła jéj się na szyję, i ze łzami radości powitała dawną towarzyszkę; lecz ta zamiast wzajemnego uściśnienia, wysunęła się z jéj rąk, i zarumieniona z gniewu rzekła;

— Jak też można tak się dziwnie witać wśród Saskiego ogrodu!

Marja zarumieniła się także, nie spodziewała się tego z ust Klary usłyszéć, i w pierwszéj chwili zdawało jéj się, że istotnie zawiniła.

— Daruj Klaro! rzekła; ale wybrałam się do ciebie, i takem się ucieszyła.....

— O! i mnie to spotkanie bardzo jest przyjemném, odpowiedziała szyderczo Klara; lecz proszę mi darować że tu dłużéj zostać nie mogę,

bo moja ciotka czeka na końcu téj ulicy; a potém, już i tak wszyscy na nas patrzą.

Wyrzekłszy te słowa ukłoniła się osłupiałéj Marji i odeszła.

Marja z założonémi rękami stała i patrzyła za nią; nie, tego nigdy nie przewidziała; jéj Klara nie tylko obojętna, lecz złośliwa, i tak nierozsądnie dumna, to było za wiele!

Teraz już się stało! pomyślała sobie: już po mojém szczęściu, po naszéj przyjaźni..... nie, Klaro! nie zobaczysz mnie nigdy; kiedy ci mój widok taką przykrość sprawia; jednakże.... ten jeden, ten ostatni raz spójrzę na ciebie; z tyłu, z daleka, nie zawstydzę cię więcéj.

Ze łzami wymawiając te słowa zwróciła się w stronę, w którą Klara była odeszła; nieznacznie, i bez myśli zbliżyła się do niéj tak, że mogła słyszéć jéj rozmowę z towarzyszkami, które szyderczo pytały; co to była za jedna, co ją tak drammatycznie przywitała?

— Jest to, rzekła Klara, uboga dziewczyna którą dość lubiłam gdym była na pensji, i która dotąd nie może zrozumieć jak wielka między nami zachodzi różnica.

— To pewno ta, rzekła śmiejąc się jedna z panien; co do ciebie tak tkliwe listy pisze?

— Ta sama.

— Co za szkoda! rzekła druga; że już przy-

jechała, miałybyśmy jeszcze ze trzy listy z którychby się można naśmiać do woli.

— Oh! zawołała trzecia; jéj czułe uściśnienie równie było zabawném; gdybyś wiedziała Klaro jak śmiesznie przy tobie wyglądała!..... i wszystkie cztery zaczęły się śmiać na przemiany.

Ścisnęło się serce Marji, ledwie wróciła do domu tak ją zmartwiła scena w Saskim ogrodzie; nie spała całą noc, nie jadła cały dzień, a nakoniec tak mocnéj dostała gorączki że musiano zawołać lekarza.

Chorowała dwa tygodnie, troskliwi rozdice nie odstępowali od jéj łóżka, a matka widząc że miała jakieś tajemne strapienie, tak ją badała, tyle na nią nalegała, że Marja wyznała nakoniec ile ją Klara zmartwiła.

Rozsądna niewiasta pocieszała jak mogła stroskane dziewczę, i zwolna dowiodła że Klara nie była godną ani jéj żalu, ani przywiązania. Czas najwięcéj się przyczynił do ułagodzenia smutku Marji, lecz długo nie mogła zapomnieć swojéj pierwszéj przyjaciółki, długo niegodny jéj postępek tkwił w pamięci; bo zawsze, a szczególniéj w młodym wieku przykro się zawieść na tych których kochamy.

Rok cały minął od owego zdarzenia, Marja zawsze dobra i tkliwa, miała nauczycieli w domu,

bogate sprzęty, ładne ubiory, bywała także z rodzicami na dziecinnych balikach, lecz zawsze nosiła na szyi krzyżyk swojéj Klary, a czas nie zmniejszając przywiązania, zmniejszał tylko w jéj oczach winę dawnéj towarzyszki.

Pewnego razu zaproszono Marję z rodzicami na wieczór, który, niedawno do Warszawy przybyli Eichhornowie, mieli swoim talentem uprzyjemnić. Cieszyła się bardzo z tego, bo już dawno pragnęła słyszéć grę tych nadzwyczajnych dzieci; lecz wieczór się zbliżał, Marja w atłasowych trzewiczkach, z pączkiem róży w jasnych włosach stała przed zwierciadłem, i łzy błyszczały w jéj błękitnych oczach; nie dziwcie się! siódma godzina wybiła a jeszcze nie było białéj krepowéj sukienki; jeżeli ją panna Wiktorja za późno przyniesie, nie usłyszy pewno małych wirtuozów.

Nareszcie drzwi się otworzyły, panna Wiktorja weszła, a za nią młoda dziewczynka wniosła pudło z suknią i postawiła je przy drzwiach. Ubierają Marję, suknia leży prześlicznie, przypinają pączek do boku, kładą rękawiczki, już tylko atłasowego paska z bawetem brakuje; panna Wiktorja skoczyła po niego do pudła, lecz w niém nic nie było.

— A pasek? mościa panno, zapytała stojącéj przy drzwiach dziewczynki.

— Pasek?.... ah pani zapomniałam go uszyć,

wyrzekła ze drżeniem. Na groźne wyrzuty panny Wiktorji biédne dziéwczę pochyliło się na krzesło, Marja skoczyła chcąc ją pocieszyć, lecz ta zakryła twarz obiema rękami, aby ukryć łzy co jeszcze i przez palce płynęły. Wzruszona Marja staje przed nią i przemawiając mile wpatruje się w tę piękną postać lichą suknią pokrytą, gdy nagle na jéj szyj, na czarnéj zawieszony wstążeczce spostrzegła krzyżyk.... krzyżyk który niegdyś swojej Klarze dała.

— Boże! czyżby to bydź mogło? zawołała przerażona; zbliża się raz jeszcze do płaczącéj, odrywa jéj ręce od twarzy i w rzeczy saméj poznaje dumną córkę pana S....

— Tak, to ja, rzekła łkając; ja com się z tobą tak niegodnie obeszła, com cię tak boleśnie dotknęła; ale Marjo! daruj mi! już mnie Bóg i tak ciężko za to skarał!

Marja rzuciła jéj się na szyję, moja Klaro! moja droga, jedyna przyjaciołko! czemużeś we mnie nie miała więcéj zaufania? czemuś się nie udała do moich rodziców? czyżby cię opuścili?

— Nie obchódź się tak ze mną, jam tego nie godna.

Marja zamknęła jéj usta pocałowaniem; zrzuciła swoją krepowę suknię, odpięła pączek róży, zapomniała o koncercie, i cały wieczór przepędziła z Klarą.

Nieszczęśliwa opowiedziała jéj, że w miesiąc po owém spotkaniu w Saskim ogrodzie, jéj ojciec stracił majątek, nie długo potém umarł ze zmartwienia, właśnie gdy ciotka wyjechała do wód za granicę. Napróżno odwiedzała dawne swoje przyjaciołki, każda z nich odwracała się od niéj niechętnie, lub omijała z daleka.

— Oh! wtedy dopiero poznałam, ileś ty odemnie wycierpiała, wtedy pomyślałam sobie że to wszystko sprawiedliwie mi się należy. — Przez kilka miesięcy bawiłam przy krewnych mego ojca, lecz przykro to być komu ciężarem, przykro słyszeć codzienne wymówki; przyjęłam więc miejsce pomocnicy u panny Wiktorji; ale Marjo! co za życie! siedzieć nieraz między prostémi i źle wychowanémi dziewczętami, które mi wszystkie dokuczają; pracować od rana do nocy, a za to jeszsze otrzymać połajanie lub.... ale znoszę to jak mogę, i codzień sobie powtarzam żem na to zasłużyła.

— O nie mów tego więcéj! rzekła Marja i przez najtkliwsze pieszczoty starała się uspokoić Klarę. Noc spędziły w jednym pokoju, a nazajutrz na prożbę Marji druga córka przybyła jéj rodzicom. Klara została w ich domu, serce jéj oczyszczone nieszczęściem, znów się stało tkliwém i wdzięczném, odżałowała już swoją winą, i odtąd nic nie zdołało zachwiać przyjaźni dwóch dziewczynek.

Klara zawstydzona i upokorzona dobrocią Marji wielbiła ją jak anioła co ją wyrwał z nędzy, i zdjął ogromny ciężar z jéj serca; a Marja szczęśliwa że znów miała przyjaciołkę, często jéj powtarzała:

— Wiedziałam ja dobrze, że prędzéj czy późniéj odzyskam twoje serce.

P. K.

Z lat dziecinnych C. P. W.

Słońce pogodnie weszło— radośnym śpiewem witało tysiące ptaszyn dzień nowy— ale we dworze smutno było i żałośnie; łkanie sług przywiązanych i z pokoju wychodzące jęki rozpaczy świadczyły o bolesnym wypadku ubiegłéj nocy: państwo L. na krup zabójczy ukochanego postradali synka.— Z męzką wytrwałością, lubo z zakrwawioném sercem przyjął pan L. cios ten dotkliwy— ależ matka! zdawało się że życiem własném tę stratę okropną przypłaci.

Cesia, nielicząca jeszcze lat czterech, siostrzyczka małego nieboszczyka, usiadła na ławeczce blisko ojca— zwracając zabrzękłe oczy już to ku drzwiom pokoju gdzie biédna jéj zostawała mama, już to na kochanego tatkę, który zasłoniwszy

twarz dłonią w niemym pogrążył się smutku. Dziewczątko było blade,— dziecinnym umysłem jeszcze pojąć nie zdołało, co to jest umierać?— ale maleńkie serce odczuło bolesną stratę— domyślało się że już więcéj swojego nie obaczy braciszka!.... i wszakżeż widziała rozpacz drogiéj mamy— poznała srogą żałość tatki.

Pan L. spojrzał na pozostałe mu dziecię— przeraził go wyraz małéj twarzyczki— zadrżał, ażeby jeszcze i téj jednéj nie utracił pociechy!— bo kiedy nas wielka dosięgnie boleść, zranione serce ciągła dotyka trwoga, czyli nas nowe nie przyciśnie nieszczęście!— przytulił do serca— a potém wydał zlecenie ażeby przywołano dzieci ogrodnika, z któremi Cesia bawić się lubiła.

Marcysia i Frania niebawem nadeszły— Cesia tylko z boku na nie spojrzała.

— Przyszłyśmy zabawić panienkę, ozwała się Marcysia.

— O ja nie chcę, ja nie chcę, odrzekło dziecię— kiedy mój kochany braciszek umarł, to ja się już z nikim bawić nie będę!— i Cesia powróciła na łono ojca, objęła szyję jego swojemi rączkami i do piersi przytuliła główkę — łzami zaszły oczy rozrzewnionego ojca, a były to pierwsze łzy, które od śmierci małego Józia ciężarowi smutku ulżyły!

Ażeby ją usunąć na czas pewien z miejsca,

w którém i najmniejsza drobnostka przypominała jéj Józia — ukochanego Józia!... wywiózł pan L. nazajutrz rozpaczającą żonę i Cesię do pobliskiego miasta.

W hotelu, do którego zajechali, wisiał w jednym pokoju nad kanapą obraz przedstawiający dziecię umierające na łonie matki. — Serce wielkim żalem, żalem nieukojonym przeszyte chwyta zwykle to, co jeszcze więcéj drażnić je może — znajduje w tém jakoby swój żywioł: pani L. z chciwością porywała wszystko, co jéj Józia przypominało — i potrzeba było starannie przed nią pochować jego sukienki i zabawki, bo każdą rzecz, która jego była własnością, całowała z rozpaczą i przytulała do łona. Skoro więc obraz umierającego zobaczyła dziecięcia, stanęła przed nim i jakoby w obłąkaniu oczy weń wlepiła; — pan L. był wyszedł na chwilę — i tylko Cesia uważała smutne zajęcie matki. Objęła małym rozumem a może raczéj uczuciem kochającego dziecka szkodliwość tegoż — w jednéj chwili wskoczyła na kanapę — porywa obraz i zasłania chusteczką wołając:

— O nie płacz już moja mamo, nie płacz! wszakżeż i ja twojém jestem dziecięciem!.... kochaj mnie mamo, bo ja ciebie za Józia i za siebie kocham!.... Bozia proszę o twoje zdrowie i

szczęście.... i proszę ażebym na twoję i kochanego tatki pociechę wyrosła....

Te wyrazy wywołane z serca dziecięcą tchnącego miłością, wzruszyszyły uczucie matki dla pozostałéj jéj jeszcze córeczki — przycisnęła Cesię do łona — westchnęła: wtém westchnieniu uleciał podzięk do tronu Boga, a zarazem i błaganie, ażeby jéj tę ostatnią zostawił pociechę! — łzy łagodniejsze spłynęły po wybladłém licu, i odtąd już pani L. nie oddawała się rozpaczy, a Cesia nieodstępująca i na jednę chwilę kochanéj mamy, czułemi pieszczoty jéj żałość koiła.

Budową gumien w dobrach swoich zajęty pan L. każdego dnia po godzin kilka dozieraniu majstrów mularzy i cieśli poświęcał; często zabierał z sobą ukochaną Cesię, to jest w chwilach, kiedy 6ty już roczek kończące dziéwczątko, godziny nauki z pilnością u swojéj spędziło guwernantki. A Cesia bardzo lubiła z tatką chodzić, bo jéj wszystko tak jasno tłumaczył, i wiele ciekawych rzeczy za każdym dowiedziała się razem.

Dnia jednego — po obiedzie — było cicho i ciepło na dworze, pan L, znowu z sobą zabrał córeczkę. Dziewczynka poczęła zbierać maleńkie klocuszki, które z pod piły cieśli odpadały, bo jéj były do pewnéj zabawy wielce potrzebne;

pan L. zagadał się z mularzem, — gdy w tém Cesia posłyszała płaczliwe narzekania — obraca się i spostrzega starą żydówkę, która przyszła wiorów sebie uzbierać, ale stąpnęła nieuważnie i zraniła sobie nogę o leżącą na ziemi siekierę — krew trysnęła natychmiast. Cesia na widok rany zbladła: żal jéj było biédnéj żydówki— bez namysłu zdziera chusteczkę z szyi — przybiega do narzekającéj, która więcéj z strachu jak bólu jęczała, i drobnemi palcami, jak tylko może najlepiéj, skaleczoną owięzuje nogę.

— Éj panienko!— zawołał jeden z robotników ciesielskich, po co tam dotykać się takiéj brudnéj żydówki.

— Mój grzegorzu, wszakżeż ona jest biédna, skaleczyła się i wielki ból cierpi....

— Niechaj Bóg błogosławi panienkę; niechaj wielkie szczęście i bogactwa na nią spłyną; niechaj panienka nigdy niedoświadczy smutku, żalu i tęskności! niechaj przed twojemi drzwiami trawa nie rośnie, a ludzie niech cię miłują i do twego domu chętnie przychodzą!.... obyś tylko nad cudzém zapłakała nieszczęściem a nigdy własnego nie znała!....

W tę chwilę zbliżył się pan L. i zapytał co spowodowało Rebekkę do błogosławienia jego córeczki. Rebekka pokazując nogę, którą Cesia

swoją chusteczką swojemi rączkami owiązała, z uczuciem wyrzekła:

— Ja błogosławię waszą córeczkę, bo ona się nad starą, biédną żydówką ulitowała, ale i bez mojego błogosławieństwa Pan Bóg o tak dobrém dziecięciu nie zapomni.

Pan L. uniósł Cesię od ziemi— uściskał ją silnie — a w rękę wdzięcznej żydówki sowity dar wsunął.

Paulina z L. W.

WSPOMNIENIA

Kobiet wsławionych w Polsce

I.

DĄBRÓWKA.

Już od niejakiego czasu Mieszko czyli Mieczysław I panował Polsce, a jeszcze niesprawdzała się wieszczków przepowiednia, wydana przy postrzyżynach i cudowném wyjściu jego z ślepoty, jeszcze nic nadzwyczaj ważnego nie uświetniło rządów Ziemomysłowego syna. Jednakże zbierały się żywioły do wielkiéj w kraju zmiany; lubo ogół narodu trwał w bałwochwalskiem zaślepieniu, byli wszelako pojedynczy jego członkowie, którzy już to w podróżach do sąsiednich Czech i Moraw, już w handlowych z temi krajami stosunkach, przyjmowali wiarę Chrześciańską, zaszczepiali ją wsercach swojéj rodziny, i lubo tajemnie, wykonywali jéj przepisy.—

Przy dworze i w radzie książęcéj było również

Chrześcijan nie mało,—ci wiedząc że Mieczysław pogańskie zachowując obyczaje nie miał ani domowego szczęścia, ani szczerze do siebie przywiązanéj rodziny, poradzili mu, by pojął w małżeństwo córkę Bolesława I czeskiego książęcia, a tym sposobem, silniéj sobie przyjaźń potężnego sąsiada zapewnił.—Zgodził się na to Mieczysław, nastąpiły między obydwoma stronami układy, których pierwszym warunkiem, miało być ze strony nowożeńca wyrzeczenie się pogańskich błędów.

Na początku więc roku 965 przybyła do Krakowa Dąbrówka, otoczona licznym Czeskich panów orszakiem, w towarzystwie biskupa i kapłanów prawego Boga.—Mieczysław wierny przyrzeczeniu, po niedługiem przygotowaniu do tak ważnego obrzędu, przyjął Chrzest święty, i wkrótce polubiwszy cnotliwą narzeczonę, ów szczęśliwy wypadek wspaniałą ucztą uświęcił, a hojnie udarowawszy tych którzy mu tak kosztowny skarb przywieźli, zajął się gorliwie rozlaniem światła prawdziwéj wiary na poddanych swoich.

Zaczął budować kościoły, opatrzył je w dochody i kosztowne sprzęty, sprowadził kapłanów, przeznaczył na ich utrzymanie dziesięciny, to jest dziesiątą część dochodu każdego mieszkańca.—Jan XIII papież ówczesny uwiadomiony o gorliwości polskiego książęcia, przysłał do niego

Kardynała 8 Egidjusza, biskupa Tuskulańskiego, by mu w pracach nawracania pomagał.— Pod tegoż zarządem Mieczysław urządził dwa Arcybiskupstwa, to jest Krakowskie i Gnieźnieńskie, i siedm Biskupstw: Poznańskie, Smogorzewskie (później Wrocławskiem nazwane), Kruszwickie, Płockie, Chełmińskie, Lubelskie, i Kamieńskie.

Ale gdy Mieczysław wspierany i zachęcany od pobożnéj małżonki i papieskiego posła zajmował się tak ważnemi sprawy, lud szemrał, niechętnie wykonywał książęce rozkazy, a nieraz wyraźnie im się opierał.— Polacy bowiem zaślepieni błędami pogaństwa, podobni byli do owego człowieka, który długo w ciemnicy zamknięty, a potém nagle na światło słoneczne wyprowadzony, zamyka oczy nie mogąc znieść tak wielkiego blasku, i to co szczęście ludzi stanowi, uważa za przyczynę cierpienia dla siebie.—Rzeczywiście tak się działo z ludem Mieczysława;— jeżeli w granicę kraju wtargnęła garstka niespokojnych sąsiadów, jeżeli okolicę jaką nawiedziła choroba, jeżeli niezgoda powstała pomiędzy mieszkańcami jednéj osady, jeżeli burza zniszczyła część lasu lub zagroziła zasiewom, wszystkie te nieszczęścia przypisywano Mieczysławowi, utrzymując jakoby bogowie czczeni w Polsce oddawna karali tym sposobem odstępstwo książęcia, i téj części narodu która wiarę chrześcijańską

przyjęła.—Zabobonny lud z tém większą czcią korzył się przed bałwanami chcąc je przebłagać;—na próżno kapłani prawego Boga starali się zaszczepić religję w obłąkanych serca, nauki ich chociaż w czeskiéj lub morawskiéj objawiawiane mowie nie trafiały do przekonania rozdrażnionych, cóż dopiéro rzec o duchownych z włoskiego lub francuzkiego kraju sprowadzonych których języka nierozumieli polacy, a do których potrójną chowali niechęć, jako do cudzoziemców, jako do nieprzyjaciół ich starych bogów, i jako do tych którzy mieli prawo domagania się od nich dziesiątéj części każdego zbioru.

Bardzo zatém pomału postępowało nawracanie pogan w polsce, zaledwie tu i owdzie Pojedyncze rodziny przyjmowały swiętą naukę Ewangelji, a i to najczęściéj ukrywać się z nią przed sąsiadami swemi musieli;—widząc to Mieczysław, postanowił czynniéj niż dotąd przyłożyć rękę do zbawiennego dzieła, i wtym celu osobiście cały kraj swój zwiedzić. Obecność monarchy którego przodkowie od tylu lat krajem rządzili, ważny wpływ na cały lud wywarła; Mieczysław otoczony radą swoją i duchowieństwem wszędzie działał roztropnie i skutecznie; w jedném miejscu łagodną zniewalał namową, w inném własnym przykładem utwierdzał w pobożności nowonawróconych, tu wskazywał jakie korzyści

spłyną na kraj i naród cały nie tylko z przyjęcia prawdziwéj wiary, ale z światła, z nauki którą z sobą sprowadzeni z obcych krajów duchowni przynieśli, o ile Polacy Chrześcijanie więcéj poważania u postronnych mieć będą niż go mieli połacy poganie;—tam gdzie takich niepojmowano pobudek, osobistą korzyścią do wielkiego nęcił celu;—tam gdzie te wszystkie nieskutkowały środki, gdzie ciemnota i zagorzałość silniéjszy stawiały opór, działał silnie i mężnie, kazał znosić nad rzek brzegi bałwany czczone dotąd, a tam mimo szemrania i groźnych czasem okrzyków ludu, w obecności swojéj kazał topić kamienne, palić drewniane posągi, aby nie tylko odjąć fałszywéj czci przedmioty, ale nadto przekonać o ich bezsilności.—Dzień siódmego marca naznaczonym został na ostateczne wszystkich w kraju bałwanów zburzenie; i dla tego to podziś dzień jeszcze trwa po wsiach zwyczaj, że w post wielki przypadający zawsze w marcu, bałwana z słomy urobionego lud ze śpiewami prowadzi do rzeki, i tam onego topi.

Podczas takich zatrudnień książęcia, małżonka jego w krakowskim pozostawszy zamku, nie trawiła bezczynnie drogiego czasu;— na Boga zdając rozkrzewienie wiary, wypełniała ściśle przepisy chrześcijańskiéj miłości, — mniejszym orszakiem dworzan otoczona w nieobecności męża, łatwiéj

mogła książęce opuszczać komnaty, i w prostéj odzieży zwiedzać uboższe domki stolicy, lub jéj okolic, i nieść cierpiącym pomoc, pociechę, czasem radę i lekarstwa których znajomości nabyła na dworze księcia ojca swojego; — ilekroć zaś niemogła sama téj świętéj dopełnić powinności posyłała przynajmniej zaufane sobie niewiasty.

Wśród marca, kiedy już śniegi puściły, a powstałe ztąd roztopy pozalewały drogi, dwie niewiasty w grubéj sukiennéj odzieży, w drewnianych sandałach, przebierały się przez liczne kałuże i wyboje do najdalszéj części Krakowa; — coraz rzadziej widać było drewniane domy mieszkańców stolicy, coraz pustsza ta strona miasta, nakoniec za szerokim błotnistym rozlewem już tylko jedna, ostatnia chata migała w wieczornym mroku. — Dwie wędrowniczki obejrzały się do koła, ale widząc że obejść téj kałuży niepodobna przeżegnały się, i mężnie w bród przejść ją zamierzyły, jakoż po kilku potknięciach się, po niemałym trudzie w którym wspierały się wzajemnie, stanęły na drugiéj stronie, i otrząsnąwszy odzież weszły do starego domostwa.

W naszych czasach dom ten, i całe jego urządzenie ubogiém nazwaćby można, lecz wtedy kiedy zbytek nieznanym jeszcze był w kraju, a nawet przedmioty do pierwszych wygód potrzebne, za rzadkie uważane zjawiska ledwie na dwór

książęcia i możniéjszych panów od postronnych przeszły narodów, wtedy mówię, niewymyślni Polacy przestawali na małém.

Drzwi z grubéj tarcicy na ciężkich i niezręcznych zawieszone hakach, chroniły mieszkanie od podmuchów mroźnego wiatru, oświecało je słońce którego jasne promienie przedzierały się niekiedy przez cienką, tłustością napuszczoną skórę miejsce szyb szklannych w oknie zastępującą, w kącie na ognisku z nieociosanych kamieni ułożoném paliły się grabe sosnowe szczapy, czerwony płomień buchał jasno do góry, a dym czarny i gęsty okrążywszy wprzód izbę, wychodził otworem w dachu zrobionym.

Przy zakopconéj ścianie, na łożu z miękkich skór wilczych i niedźwiedzich usłaném spoczywała stara, zgrzybiała kobiéta, postać jéj wychudła niknąca prawie w składach wełnianéj szaty, twarz blada i wynędzniała, przygasłe oczy jawnémi ciężkiéj choroby były świadkami, a ręce na piersiach złożone, lekkie ust drżenie, i niepewne szybko dokoła izby rzucane wejrzenia, o tajemnym jakimś mówiły niepokoju.

Obok niéj na sosnowym pniaku siedział szanowny starzec, czarna szata i pas skórzany wskazywały w nim jednego z duchownych którzy z księżną z Czech przybyli, modlił się cicho, poglądał bacznie na chorą, i od czasu do czasu zbli-

żał do ust jéj naczynie, z uzdrawiającym jakimś napojem.

Gdy dwie niewiasty przestąpiwszy próg chaty powitały starca chrześcijańskim zwyczajem, zwiększyła się niespokojność choréj, i oczy jéj z trwogą i przerażeniem zwróciły się w kąt mieszkania, do którego najrzadziéj sięgało światło ogniska;—duchowny po krótkiéj z przybyłemi rozmowie opuścił chatę, a starsza z niewiast zbliżywszy się do łoża z łagodnym twarzy wyrazem, rzekła miękką Czechów mową:

—Lepiéj wam widzę sędziwa Dobrogniewo!

—Tak, lepiéj! odrzekła chora przytłumionym głosem.—Wam to, i dobréj księżnie która was tu przysyła winnam ten powrót do zdrowia.

—Nie nam, dobra niewiasto, nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś składaj dzięki za jego łaskę.—

Chora zakryła twarz rękami.—

—Gdyby nie miłosierdzie wielkiego Boga, mówiła daléj niewiasta, nie ujrzałabyś już w tém życiu syna, który może w téj chwili przybędzie, a co gorsza, i on bez ciebie bez twojéj woli i namowy możeby nie prędko jeszcze porzucił błędy pogańskie.

Wzrok staruszki dzikiego nabrał wyrazu:

—Wszebór już przybył! wyrzekła z cicha.—

—Przybył! i wie zapewne że Bóg oświecił serce twoje?....

Wtéj chwili zgiełk straszliwy dał się słyszeć przed chatą, liczne głosy przemawiały groźnie i surowo, a jeden nad wszystkie górował:

—-Tak, tak, u mnie jeszcze Żywiec ma schronienie, wyście go się wszyscy wyparli, a jam go przyjął, ja do ostatniéj kropli krwi bronić go będę.—

—I ja! i ja! powtórzyło kilka głosów—

Drzwi się nagle otwarły, i wśród chaty stanął mąż pięknego oblicza, dorodnéj postawy, w rysim futrze na barkach i w takimże kołpaku, zbliżył się szybko do kąta w który niedawno z takim przestrachem poglądała staruszka, a wznosząc swietny topór do góry zawołał:

—Kto się targnie na ostatniego z naszych bogów?...

Kilku mężów z dobytemi szablami otoczyło przyjaźnie rycerza, a tymczasem we drzwi domu tłoczyli się wysłańcy książęcy, ścigający po całym kraju posągi bałwanów.—Dwa oddziały stanęły groźnie naprzeciw siebie i już miało przyjść do walki, któréj powód tylko dwom niewiastom przy łożu choréj siedzącym zdawał się być nieznanym, gdy nagle płomień ogniska buchnął rażącém światłem i oświecił całą izbę, a przy jego blasku nad głowami rycerzy gotowych do

ciosów, w miejscu gdzie dniem wprzódy nawrócona Dobrogniewa krzyż pański zawiesiła, mignął potworny posąg Żywca.—

Na ten widok dwie kobiety wydały mimowolnie krzyk żalu i oburzenia; groźny mąż z zadziwieniem spojrzał ku nim, a wnet zbliżając się do łoża z zachmurzonem czołem, wykrzyknął:

—Więc to wy nieszczęsne namówiłyście matkę moją do odrzucenia starych bogów!—

—Tak, odrzekła starsza z niewiast, nas to Bóg obrać raczył za narzędzie swéj łaski.—

—Słyszycie! zawołał rycerz, słyszycie! to one wyrzuciły święte posągi za próg naszego domu!

—Ukarać je! wygnać te Czeszki! zabić! wołali na przemian towarzysze Wszebora postępując ku dwom Chrześcijankom.—

— Synu mój! krzyknęła przerażona Dobrogniewa, mój Wszeborze! one mię uzdrowiły— gdyby nie ich starania niewidziałabym już ciebie.

Wszebór opuścił wzniesioną prawicę, ale reszta pogańskich wojowników, coraz ściślejszém kołem otaczało posłanki prawego Boga.— Może w zbytniem uniesieniu dopuściliby się zbrodni, może dwie Czeszki życiemby przypłaciły gorliwość i dobroczynność swoję. gdyby im książęcy oddział skutecznéj nie dał pomocy.— Starły się szczękiem oręże przeciwników, zacięta walka powstała w spokojnym przed chwilą domu; napróżno

jedna z kobiet chciała uspakajać walczących, druga uchwyciła ją pod rękę, i gwałtem prawie wśród zgiełku i nieładu wyprowadziła przez chatę; tam część wysłańców Mieczysława otoczyła je obie, i z wszelkiemi poszanowania oznakami odprowadziła do książęcego dworu.

* * *

Cóś ważnego zajdzie zapewne na krakowskim zamku, bo od rana większy niż zwykle ruch widzieć się w nim daje; konno i pieszo przybywają rycerze i radcy książęcy; a przybywają na wyraźne wezwanie Mieczysława, który od kilku dni dopiero, z ważnéj po kraju przejażdżki powrócił. — Przez długi czas za zawartemi drzwiami, w głębi książęcego mieszkania radził władca z poddanymi o szczęściu i potrzebach całego kraju; tymczasem zaś mnóstwo ciekawego ludu zbierało się na dziedzińcu, ci chcieli ujrzeć choćby na chwilę oblicze swojego księcia, owi powitać krewnych lub przyjaciół przy dworze jego będących, tamci zanieść prośbę do którego z panów radnych, inni nakoniec z próżniactwa, bo przypuszczam że już i wtenczas byli ludzie nieznający wartości czasu, i nieumiejący użyć go pożytecznie.

Około południa dwóch pachołków stanąwszy u drzwi wchodowych, ogłosili donośnie, że książe w tym dniu kilka ważnych spraw osobiście sądzić będzie. — Otworzno komnaty zamkowe, i

cały tłum zapełniający podwórze wtoczył się z wolna do Mieczysławowego dworca.

W najobszerniejszéj komnacie, otoczony całą radą, całym dworem swoim, w wspanianiałych szatach siedział polski książe na wywyższoném miejscu, oblicze jego zwykle poważne, surowy przybrało wyraz, jednakże sprawy przedstawiane mu przez panów do których to należało, nie cierpiały bynajmniéj na tém że czoło sędziego chmurą było pokryte, Mieczysław sądził ściśle, surowo bez względu na możność i znaczenie stron odwołujących się do jego wyroku.

Nakoniec z pomiędzy panów otaczających księcia, powstał mąż poważny, i zbliżając się do majestatu złożył skargę swoją przeciw Wszeborowi z Lasotyna, jakoby tenże opierając się w kilku miejscach książęcym rozkazom przeszkadzał niszczeniu pogańskich bałwanów; potém powróciwszy do domu i zastawszy matkę swoją Chrześcijanką, zamiast iść za jéj przykładem, wyrzucił z domu krzyż Pański i w miejscu jego, posąg bożka Żywca ustawił.

Książe zwrócił wzrok surowy ku środkowi komnaty, gdzie otoczony strażą stał dorodny Wszebór.

— Wszeborze! rzekł: uznajesz się winnym tego, co ci dowódzca naszéj straży zarzuca?

— Uznaję! odparł dumnie, i zuchwałém okiem

powiódł do koła, lecz wnet spuścił je ku ziemi, bo pomiędzy tłumem ciekawym końca sądu ujrzał matkę swoją, starą i słabą jeszcze Dobrogniewę, która z wyrazem nieméj boleści wyciągała ręce do niego.

Niechętne szemranie dało się słyszeć między gorliwemi Chrześijanami, występek Wszebora oburzył wszystkich, a nieszczęsna matka z niewymowną trwogą śledząc wyraz twarzy radnych panów, w każdém spojrzeniu widziała wyrok potępiający jéj syna.

Książe Mieczysław powstał z siedzenia swojego, i wolnym przemówił głosem:

— Teraz, nie chcąc być sędzią w méj sprawie, wam panowie i rycerze przekładam mą skargę:— tenże sam Wszebor z Lasotyna, targnął się na majestat książęcy, zuchwole przemawiając, a nawet zbrodniczą podnosząc rękę, przeciwko małżonce naszéj, a waszéj księżnie!

Umilkł Mieczysław, i w całéj komnacie nastała chwila głębokiego milczenia;— potém urzędnik książęcy opowiedział szczegóły zdarzenia zaszłego w domu Wszebora.

Uwielbienie dla dobroczynnéj Dąbrowki, gniew i oburzenie przeciw Wszeborowi, napełniły wszystkich serca, groźny szmer podnosił się w koło.— Napróżno Dobrogniewa stanąwszy obok syna bła-

gała dłań łaski, zapewniając że on nie wiedział do kogo mówi.

— Dość mu było, że to była niewiasta co matce jego zdrowie powróciła; — odpowiadano na jéj prośby.

— Zuchwały! niewdzięczny! świętokradca! powtarzały liczne głosy. — Smiercią go ukarać! — wygnać z kraju! oddać pod władzę duchowieństwa! wołali w zapale radcy i wojownicy.

Wszebór założył ręce na piersiach; przed chwilą tak dumny, ukorzył się nagle; — uczucie własnéj winy rumieńcem powlokło wyniosłe jego czoło. — Bronić bogów choć fałszywych nie zdawało mu się występkiem; — ale on, mąż, znieważył w własnym domu litościwą niewiastę! — on — polak — podniósł rękę przeciw małżonce księcia! to była zbrodnia — należało ją ukarać, a śmiały Wszebor zawczasu poddawał się wyrokowi swych sędziów.

Dobrogniewa przerażona słowy rażącemi ze wszech stron jéj uszy, widząc że błagania jéj niesłychać nawet wśród zgiełku i wrzawy, w rozpaczy spuściła głowę na piersi; — lecz nagle nowa myśl jakaś błysnęła w jéj przygasłém oku, nadzieja rozjaśniła wywiędła lica; — stroskana matka przypomniała sobie że jest Chrześcijanką. — Pada na kolana, a z ufnością i pokorą wznosząc ręce do góry, wzruszonym mówi głosem:

—Boże mój! zmiękcz ich serca! wróć mi mojego syna!

I w téjże chwili otworzyły się drzwi boczne, a z przyległéj komnaty, w towarzystwie kilku niewiast, w białéj szacie, z wieńcem z przylaszczek na skroni wyszła Dąbrówka. Lekkim krokiem przesunęła się między ustępującymi dworzanami, i stanęła przed krzesłem zdziwionego księcia

Gwar panujący przed chwilą ustał nieznacznie, wszystkich oczy z zdumieniem utonęły w twarzy Dąbrówki, w jéj rysach pięknych i miłych, lubo już pierwszą krasą młodości niezdobnych, w jéj spojrzeniu razem poważném i łagodném.

— Książę i panie mój! przemówiła z prośby wyrazem: — daruj że nie wezwana przybywam, ale moją tu sądzą sprawę, chciałam być jéj przytomną.....

Groźne przeciw Wszeborowi okrzyki już się znów słyszéć dawały, ale księżna skinąwszy ręką znowu głos zabrała:

— W obec wszystkich tu przytomnych przyrzecz mi panie że pierwszéj mojéj wysłuchasz prośby!

— Żądaj co chcesz księżno! rzekł coraz bardziéj zdziwiony Mieczysław, żądaj!....

— Książę! przebacz Wszeborowi!

—Nie! nie! to niepodobna! wszystko prócz tego.

— To jedno panie przyrzekłeś.

Polacy zdziwieni słowy księżnéj, tłumnie przekładać jéj zaczęli szkodliwość takiéj łagodności.

— Panowie! rzekła z słodyczą Dąbrówka, myśmy Chrześcijanie, pokażmy Wszeborowi że jeśli jego bogi są przyczyną walk i zbrodni, nasz Bóg pokoju pragnie, i nakazuje miłosierdzie.

Nie śmieli dłużéj nowi Chrześcijanie opierać się woli księżny, przemawiającéj w imieniu Boga, sam Mieczysław tak niedawno gniewny i surowy, z uwielbieniem poglądając na żonę, nie przerywał milczenia, a ona postępując ku Wszeborowi który z niewymowném zdziwieniem słuchał jéj wyrazów:

— Wolnym jesteś Wszeborze! rzekła: wróć do domu, i niechaj krzyż pański, to godło naszego zbawienia, chroni cię od złego.

Dobrogniewa ściskała kolana księżnéj, Wszebór nieznaném wzruszeniem przejęty przykląkł, i składając ręce przemówił ledwie dosłyszanym głosem:

— Pani! Księżno! daruj!

— Niepamiętam urazy, rzekła Dąbrówka, bo tak każe nasz Bóg, który przebacza tym co go obrażają;— tak uczy syn Boży, który umierając na krzyżu modlił się za swoich nieprzyjaciół.

* * *

W niedługi czas potém Wszebor przyjął Chrzest święty, i stał się jednym z najgorliwszych Chrześcijan.— On jeden z pierwszych w polsce nauczył się łacińskiego jezyka, i tym sposobem stał się pośrednikiem między nieumiejętnymi ziomkami smoimi, a duchowieństwem z obcych krajów sprowadzoném.— Bóg użyczył mu długiego życia; cieszył się wraz z całym krajem z narodzenia książęcego syna, któremu na Chrzcie świętym nadano imię macierzystego dziada.— Płakał z wszystkiemi zawczesnéj śmierci Dąbrówki.— Jeździł do Rzymu z biskupem krakowskim Lambertem z prośbą o koronę i tytuł królewski dla Mieczysława;— patrzył na śmierć jego, a w późne potém lata, kiedy coraz liczniejsze klasztory i przy nich szkoły powstały, kiedy oświata uprawiając umysły polaków złagodziła ich obyczaje, i postawiła w rzędzie Europejskich narodów, słowem kiedy pod panowaniem Bolesława I. długie pasmo szczęścia i powodzenia rozwinęło się dla kraju, sędziwy Wszebor siedząc w gronie krewnych i przyjaciół, odkrywał z uszanowaniem siwizną ozdobną głowę, i rozrzewniony mówił:

— Całego tego szczęścia początkiem było przybycie Dąbrówki!

P. K.

STRUMYK

z Dmitrjewa.

Przez niwę i gaj zielony
Krystałowy strumyk płynie,
Trawką w koło otoczony
Cicho bieży po dolinie.

*

Mija hałas— niezna krzyku,
Płynie z szemrzeniem niewinném,—
O ty uczysz mój strumyku:
„Cichym bądź a dobroczynnym.“

J....n H....n.

ZIARNKO.

Patrzaj, patrzaj kochaneczku
Co tu sztuki w tém ziarneczku
Niby martwe, jednak żyje;
A gdy je ziemia okryje
Spocznie jakby pod pierzynko
I przebudzi się roślinką.

Kiedy piękna pora sprzyja
Ta roślinka się rozwija;
Rośnie, kwitnie, zielenieje,
Kłosek rozwija nadzieję;
Przybierze sukienki nowe,
I przed Stwórcą schyli głowę.

Stanisław Jachowicz.

WJAZD
PIUSA VII PAPIEŻA
DO RZYMU.

Kiedy Pius VII po pięcioletniém blisko więzieniu w dniu 24 maja 1814 roku, wracając z Francji, uroczyście wjeżdzał do Rzymu, doktór Jakób Bresca trudniący się medycyną w tém mieście, powziął myśl okazania szczególnego uszanowania Ojcu Ś. jak to niżéj zobaczymy.

Doktór ten należał do rodziny kapitana z San Remo który się wsławił 1586 r. za panowania Syxtusa V. Papież ten kazał podnieść obelisk z jednéj sztuki granitu czerwonego zrobiony, a przywalony w połowie gruzami Cyrku Nerona, i postawić jak dziś stoi na placu, przed kościołem Ś. Piotra *). Syxtus postanowił wszystkie

*) Cesarz Neron sprowadził go z Egiptu i postawił w Cyrku na cześć Augusta i Tyberyusza Cesarzów. Sam obelisk wysoki jest stóp 80, podstawa 32, krzyż 7, wszystko zatém ma wysokości 119 stóp. Stoi on na 4 lwach lanych z metalu.

przeszkody pokonać, a wykonanie téj olbrzymiéj myśli powierzył budowniczemu Dominikowi Fontana. Ten tak urządził liny, że powinne były zwolna poruszyć obelisk, podnieść i przeprowadzić na wskazane miejsce, bez żadnego przypadku dla robotników; lecz aby rozkazy jego dobrze słyszane i wykonane być mogły, domagał się, iżby w czasie podnoszenia panowało jak największe milczenie. Syxtus kazał więc obwieścić że kto z widzów jakiego bądź stanu i stopnia odważy się krzyknąć lub przeszkodzić robocie, śmiercią karany będzie.

Dzień 10 września przeznaczono na takowę uroczystość; nikogo nie wpuszczono na plac, ktoby nie wiedział o surowości wspomnionego zakazu. Wszyscy byli przekonani że usłyszą tylko głos trąbki przy rozpoczęciu poruszeń, dzwięk cymbałów oznaczający odpoczynek, i że tylko głos dyrygującego mógł przerwać głębokie milczenie, bo mus taki niewiele kosztował ten lud tak do sztuk pięknych zapalony, umiejący przy wielu okolicznościach pokazać pewną wielkość i godność dawnych rzymian. Wkrótce sam Syxtus V przybył ze swoim dworem i zasiadł na wzniesionym amfiteatrze. Pociągnione liny podniosły obelisk, unosiły tę massę ogromnego ciężaru *) ku miejscu

*) **Obelisk cały ważył 6700 centnarów, do podniesienia jego użyto 40 wind, 140 koni i 800 ludzi.**

gdzie miała stanąć. Papież zachęcał robotników skinieniem głowy i wzrokiem widocznéj radości. Już miano dopiąć celu. Fontana mówił sam i rozkazywał wykonać ostatni obrot— wtém nagle kapitan okrętu genueńskiego krzyknął pośród tłumu donośnym głosem „*acqua alle funi*“ (wody do lin) i natychmiast oddał się straży która otaczała narzędzie kary w rogu placu wystawione. Fontana pilnie rzuciwszy oczyma na liny, spostrzega że się niechybnie zapalą, porwą, upuszczą obelisk, a ten pozabija robotników; wydaje więc rozkaz aby natychmiast liny wodą oblano. Bresca wiedział dobrze, że liny w prostopadłém położeniu, kurczą się zmoczone, i naturalnie podnoszą zawieszony ciężar; tak się téż stało i dzieła dokonano wśród oklasków powszechnych.

Papież wyciąga ręce do Fontana, ten zaś pobiegłszy do człowieka który krzyknął *acqua alle funi*, ściska go i przyprowadza przed Ojca Ś. prosząc o przebaczenie. „Nie idzie tu o darowanie, odpowiedział Syxtus, ale o nagrodę, niech wymieni sam jakiego żąda wynagrodzenia.“

Kapitan wiedząc że w ogrodach jego miasta *) chodują palmy i te sprzedają na kwietnią niedzielę, prosił o przywiléj dla siebie i swych następców

*) Miasto to pośród gaików oliwnych i pomarańczowych leżące rajem Włoch nazwane.

sprzedawania palm do pałacu Apostolskiego na te dni święte. Dyplom zapewniający ten przywiléj nazajutrz wydanym został, nadto mianowano go kapitanem honorowym pierwszego pułku, z prawem wywieszania flagi papieskiéj, na nawie swego okrętu

Doktór więc Jakób Bresca pochodzący z téj rodziny tyle przychylnéj papieżom, przedsięwziął złożyć szczególny hołd Piusowi VII w imieniu rodziny Bresca, za pośrednictwem palm, źródła jéj majątku z którego miała obfite utrzymanie. Dnia 23 maja w winnicy należącéj do pana Viale za *Bramą ludu,* wszystko przygotował, a 24 w chwili gdy papież tamtędy przejeżdzał, prosił o zatrzymanie karety ciągnionéj przez młodych rzymian. Wtém dwódziestudwóch chłopczyków sierot ubranych w długie białe sukienki i takiegoż koloru birety, i czterdzieści pięć dziewcząt, częścią z konserwatoryum Opatrzności, częścią pochodzących ze znakomitych rzymskich rodzin, wystąpiło trzymając każde w ręku wysokie palmy koloru złocistego, odbijające cudnie, jak pióra falą miotane, i zanuciły pieśń dziękczynną.

Papież zachwycony, od łez rozczulenia wstrzymać się nie mógł, czule błogosławiąc te dzieci pozwolił im iść daléj obok pojazdu, i kończyć śpiewy swoje. Ale przy *Bramie ludu* tak był wielki natłok że musiano spiesznie wyprowadzić

nabok mniejsze dzieci, kilkoro starszych zdołało sobie zrobić miejsce; powtarzając *Hosanna!* trzęsło swémi palmami, co wzbudzało radość i przejmowało uszanowaniem religijném. Doszedłszy do kościoła Ś. Piotra ofiarowały one swe palmy papieżowi, który kazał przywiązać dwie na przodzie swéj karety gdy wjeżdzał do Kwirinalu.

Ks. J. F. P. M.

NAGRODA

(przez Paulinę z L. W........)

Już od samego rana Adela i Kamilla układały do walizy, śnieżno-białe, muślinowe sukienki, a kłopot był nie mały, aby się na stanikach i u rękawków prześliczne z różowych wstążek zawiązki nie pomięły; równie ostrożnie potrzeba było w pudełku ułożyć z drobnych kwiatków równianki— jechały bowiem z ciocią, panią Barniewską o mil cztéry, na sute imieniny z tańcami.

— Ja tylko jeszcze czarną sukienkę z sobą zabieram i niebieski szalik, ozwała się Kamilla.

— O! ja biorę i szafirową, i tę z *mousseline de laine* w amarantowe centki.

— Po cóż ci tyle sukien?

— Przecież tam ciocia pięć dni zabawi, a każdego dnia będą goście i tańce.

— A jak tym czasem list od mamy nadejdzie!

— Będziemy ciocię prosiły, ażeby zostawiła polecenie przesłania nam go co rychléj.

— To jest prawda.... ależ.... mój Boże! gdyby téż już mama nie zadługo powróciła! - i wyraz tęsknoty zastąpił wesołość oblicza Kamilli.

Pani Lutniewska, matka Adeli i Kamilli, już drugi miesiąc, za ważnym interesem, w Warszawie bawiła; przed tą podróżą odwiozła córki do swojéj bezdzietnéj siostry, pani Barniewskiéj,— obiedwie więc dziewczynki przez cały ten przeciąg czasu u ciotki gościły— ciocia była dobra, kochała swoje siostrzanki, ależ one jednak za mamą tęskniły.

— Odjedziecie, i na tak długo.... a ja biedny sam zostanę — narzekał pięcioletni chłopczyk — pokrewny pani Barniewskiéj, sierota, któren od dni kilkunastu chory w łóżeczku leżał.

— Ciocia poleciła Tomaszowéj, ażeby ciebie i na jednę chwilę nie odstąpiła, odparła Adela — przecież już jesteś zdrowszy, masz ładne zabawki, pomarańcze, które tak lubisz, i wyborny sok malinowy.

— Cóż potém kiedy mnie bez was tęskno bę-

dzie— i chłopczyna łzami zalane oczęta zwrócił ku obudwóm siostrom.

Kamilla spojrzała na niego— i jéj błękitne oczy łzami zabłysły.

— Adelciu!—wyrzekła z cicha, ja zostanę przy Kaziu.... jedź ty sama z ciocią.

— Cóż za myśl!— zdziwiła się Adela— alboż mu to krzywda przy Tomaszowéj?

— Będzie tęsknił.... a on biédny, nie ma i tak ani mamy ni ojca.... biédny, biédny sierota!— Kamilla zakryła dłońmi zarumienioną twarzyczkę.

— Nie płacz-że, porobią ci się pryszczyki, i nie będziesz ładnie wyglądała.

— Ach! kiedy mi tak żal serce ściska.... Adelko! nie, nie, już nie pojadę.... pozostanę przy Kaziu.

— Dziecinnaś moja Kamilciu!

— Mów sobie co zechcesz, ale ja przy chorym zostanę, i zaraz biegnę do cioci prosić ją o to.

Pani Barniewska, rozczulona dobrocią serca Kamilli, uścisnęła szlachetnych uczuć dziewczynkę, niesprzeciwiając się bynajmniéj jéj życzeniom,— i kiedy Adela szczęśliwa, że się dobrze będzie bawiła, z ciocią do pojazdu wsiadała, pożegnała je Kamilla z wypogodzoną twarzyczką; potém usiadła przy łóżku Kazia, pokazywała mu ładne obrazki, tłumaczyła ich znaczenie, i zabawne mu opowiadała bajeczki.

Około dziewiątéj wieczorem, Kazio zasnął— Kamilla z lekka powstała i do drugiego wyszła pokoju. Stanęła przy oknie: noc była widna, księżyc świecił w całym blasku, i miliony gwiazd połyskiwały na ciemném tle nieba. Kamilla zgięła kolana, złożyła ręce, i wzniosłszy oczy ku błękitom gorąco za mamę modlić się poczęła-- zdawało jéj się że to błaganie prędziéj do tronu Boga doleci, ponieważ wzrokiem swoim niebios sięgała; ale to było uczucie wykonanéj powinności względem bliźniego, uczucie litości dobrym zadowolone czynem, co tę nadzieję: iż Ojciec najwyższy jéj prośby wysłucha— w młode wpajało serce.

Kamilla następnie prosiła Boga o zdrowie dla chorego Kazia, o pomyślność Adelki i jéj dobréj cioci.

— Pić!— słabym głosem zawołał Kazio.

Kamilla pobiegła i podała mu wody z sokiem malinowym zaprawnéj.

— Kamilko!.. dobra.... dobra Kamilko!—wyrzekł chłopczyna i przyłożył z wdzięcznością gorące usteczka do drobnéj rączki dziewczęcia — Śniło mi się żeś była aniołkiem.... srebrne miałaś skrzydełka..... i uśmiechałaś się do mnie.... ot tak, tak, jak się teraz uśmiechasz.... A potém.... byliśmy w ogrodzie.... tak dużo.... dużo było kwiatów!.... ty tęskniłaś za

mamą.... a wtém.... powóz zajechał.... i twoja mama przyjechała.

— Oby się to jak najprędzéj ziściło! — wyrzekła dziewczynka, i pogłaskała rozognione lica małego.

Kazio po chwili znowu zasnął, — Kamilla do pierwszego powróciła pokoju. Wyjrzała oknem, jak gdyby się dzisiaj kogoś spodziewała— bo kiedy za ulubioną tęsknimy osobą, pomimowolnie wyglądamy czyli nie przybywa, nawet i wówczas kiedy się jéj bynajmniéj spodziewać nie możemy!— Kamilla przechodziła się z wolna po pokoju, raz tém, drugi raz innem wyjrzała oknem; słowik zaśpiewał na lipie— dziewczęciu tak miło i rzewnie było na sercu.— Przechodząc myślą z jednego do drugiego przedmiotu wystawiła sobie i balik, na którym tak dobrze zabawić się miała; wyobraziła sobie jak to tam Adela w rączym pląsa tańcu— ale jéj nie żal było, że przeniosła dozieranie chorego Kazia nad wesołą rozrywkę, i tylko myślą podzielała radość Adeli, która nadzwyczaj tańczyć lubiła.

Kół turkot obił się nagle o uszy Kamilli— przyskoczyła do okna— zaskrzypła brama: powóz wtoczył się na dziedziniec..... „Miałażby to ciocia powracać?“— pomyślała zdumiona— „nie, nie, to mama! kochana droga mama!“— Wybiegła przed sień i nie posiadając się z radości,

upadła do nóg najlepszéj matki, która ująwszy dobre dziecię w objęcie swoje, z łzami radości do matczynego przytuliła je łona.

— Gdzież ciocia i Adelka? — zapytała pani Lutniewska wchodząc do pokoju, niespokojna iż ich jeszcze nie widzi.

— Pojechały na imieniny do państwa S.

— A dla czegożeś ty w domu pozostała?

— Kazio chory..... żal mu było żeśmy obiedwie odjeżdżać miały, i zostałam się przy nim....

— Moje dobre i najdroższe dziecię! podziękuj Bogu za tę myśl prawdziwie czystéj szlachetności; dla pilnowania chorego zrzekłaś się miłéj podróży, tańców i zabawy, uczyniłaś to chętnie idąc jedynie za głosem litości nad biednym sierotą. Chwila zabawy, którą dobrowolnie opuściłaś, szybko przeminie, ale twój uczynek Bóg w wieczną księgę twojego życia zapisze.

— Ach mamo! ale jakżeż mnie prędko Pan Bóg nagrodził: ja pierwsza drogą mamę uściskałam, o kilka dni pierwéj od Adelki, od cioci, nacieszę się z mamą za nim one powrócą.....

— Dla tego cię Pan Bóg nagrodził, że wypełniając czyn dobry o nagrodzie nie myślałaś, i to jest właśnie, co wartość czynu twojego stanowi.

— Kamilko! zawołał z drugiego pokoju chory Kazio — czy to twoja mama powróciła?

Pani Lutniewska z Kamillą udały się do chorego.

— O moja kochana ciociu, wyrzekł chłopczyk podnosząc główkę — Pan Bóg mnie wysłuchał: jam się modlił żebyś przyjechała.... Kamilka tęskniła, a ona jest dobra jak aniołek.

Szczęśliwa matka przycisnęła Kamillę do mocno bijącego serca — na czole chłopczyka wdzięczny złożyła pocałunek.

LISTY Z PODRÓŻY

(ciąg dalszy)

LIST IV.

Kraków 27 Czerwca.

Za kilka godzin wyjeżdżamy z Krakowa; pojmujesz z jakim żalem opuszczam to miejsce pomników przeszłości pełne, a pojmujesz tém-lepiéj, bacząc na krótkość mojego w niém pobytu. Dni kilka, cóż znaczy dni kilka w sześciowiekowéj stolicy Piastów, Jagiellonów, w Batorego grodzie? Kilka lat tuby przemieszkać trzeba, kilka lat biegać od świątyni do świątyni i pytać tych poczerniałych murów czyje je ręce, dla jakich celów wznosiły? i zapytywać tych skamieniałych rycerzy, jak szlachetne pod ciężką zbroją biło serce, jaka głowa pod tym chełmem się wznosiła, do téj się schylała korony.

Kilka lat trzebaby przerzucać gruzy wspaniałych niegdyś zamków i słuchać co te połamane

mówią kolumny, co szepczą zieleniejące się bluszcze na ruinach. A potém przypatrywać się tym odwiecznym gmachom i czytać na ich czołach wyraziste głoski ręką czasu kreślone, ręką ludzką ścierane i niszczone.

My tak byliśmy czynni i niazmordowani, a raczéj tak baczni na krótkość pobytu— że jeżeli nie można powiedzieć zwiedziliśmy, to przynajmniéj odwiedziliśmy ważniéjsze miejsca.

Najpierw góra Wawel zwróciła nasze kroki, przyjemna do niéj droga samemi plantami, i na jéj szczyt jeszcze wygodne prowadzą chodniki,— potomność chciała nagrodzić klęski przeszłości i stroi wnijście na górę unoszącą na sobie ruinę— zamek królewski.

Podanie niesie że Krakus zamek pierwszy tu stawił, zwalczywszy smoka w jaskini téj góry ukrywającego się, że jednak uczeni smoków w naturze nie przypuszczają — a historję Krakusa do bajecznych dziejów liczą— lepiéj ci więc powiem że podług historycznych śladów pierwszy Bolesław wstydliwy zamek ten rozprzestrzenił i umocnił — po nim Wacław wieżami go i murem otoczył. Kazimierz W. po spaleniu odbudował, Zygmunt I. rozszerzył i powiększył, i znowu gmach ten wiele uszkodzony pożarem Zygmunt III odnawiał, jak świadczą snopy herbowe Wazów. Jeszcze raz 1702 r. dnia 15 września

zamek stał się pastwą płomieni które ująwszy wiele z dawnych kształtów i świetności, już mu do dawnego stanu powrócić nie pozwoliły — a przeniesiona do Warszawy stolica mniéj dbała o krakowski zamek i pomimo kilku usiłowań podniesienia go z gruzów, zaledwie w wnętrzu jego dla nędzy przytułek się znalazł.

Jakże to serce boli patrzeć na odartą, przekształconą pustkę, na szkielet wielkości i pomyśleć sobie gdzie dusza co go ożywiała? Tłum posępnych myśli trudzić mnie zaczął, na szczęście otworzono uboczne drzwiczki katedry,— a moje skargi i żale stoczywszy się w łezkę przy grobie Ś. Stanisława, z tą łezką znikły — a ja znowu wesołém okiem nowe witałam pomniki.

Już to ja się wcale nie odważę opisywać ci katery krakowskiéj — ani czasu, ani sił na to nie wystarcza; tu każda cegiełka jest ważna i historyczna, każdy nagrobek wielką pamiątką, każdy napis dziejów kartą, powiem ci tylko co bardziéj zajęło moje oko w tym zbiorze tak drogim sercu.

W kaplicy zwanéj Ś. Krzyża obok grobowca Władyssawa Jagiełły i syna jego Kazimierza jest piękny bardzo nagrobek Kajetana Ignacego Sołtyka biskupa krakowskiego zmarłego 1788 roku; nagrobek ten z czarnego marmuru znacznéj wielkości ozdobiony kilkoma figurami stanowiącemi

całość z główną myślą, zajmuje bardzo zwiedzających świątynie.

Naprzeciw kaplicy N. Panny pięknie wykonany przez Tordwalsena pomnik Włodzimierza Potockiego — a wewnątrz Szafrańców kaplicy alabastrowy nagrobek Michała skotnickiego wykonany we Florencji przez Stefana Ricci.

Na nizkiéj podstawie siedzi w całém opuszczeniu smutku pochyłona, z rozwianym włosem spadającym na ramiona, młoda kobieta, z wyrazem głębokiego żalu na twarzy, wielkość swéj straty dowodzi.

Kaplica Jagiellońska zaczęta przez Zygmunta I a dokonana przez Annę Jagiellonkę, najbogatsza ze wszystkich, kopuła jéj bowiem grubo złoconą łuską pokryta, a ołtarz cały srebrny.— Nagrobki Zygmunta I Zygmunta Augusta i Anny Batorego żony zdobią tę kaplicę, a portrety ich za życia malowane wabią oko ciekawe.

Zajął mnie jeszcze wspaniały pomnik Stefana Batorego także staraniem Anny Jagiellonki wzniesiony, ale już nie w jagiellońskiéj kaplicy, pobożna i dobra Anna nie myślała że przeżyje małżonka swego — w rozkładzie jagiellońskiéj kaplicy dla niego nie zakreśliła miejsca!

Nareszcie dwa wzniosłe pomniki Sobieskiemu i Wiśniowieckiemu poświęcone za wielkim ołtarzem, skromny czarny marmurowy kamień pa-

mięć ślicznéj Jadwigi czczący, króla chłopków w całéj postaci wyobrażenie i bogata kaplica na środku katedry święte zwłoki biskupa Szczepanowskiego przechowująca, w srebrnéj trumnie 200 funtów ważącéj — oto co mnie szczególniéj zajęło w katedrze.

Skarbiec niebogaty, ale liczy jeszcze kilka pamiątek szanownych; dowody pracy złotniczéj Zygmunta I, ręką Jadwigi szyty perłami racyonał, Anny Jagielonki roboty welon na kielich, miecz złamany na pogrzebie Zygmunta Augusta, głowę Ś. Stanisława któréj oprawa kosztowna szczerozłota, i wreszcie pałasz darowany Księciu Józefowi Poniatowskiemu w dzień imienin jego 1808 od wojska. Pałasz ten jest żelazny z pięknemi napisami wykonanemi przez Stanisława Tysa żołnierza, jest tu także płaszcz marszałkowski, oznaka godności tegoż księcia, w szafie starannie zachowany i wiele jeszcze innych rzeczy godnych uwagi.

Zstępowaliśmy do sklepu podziemnego gdzie złożone ciało Jana III i dwóch podobnych mu w chęciach bohaterów; właśnie w czasie naszéj bytności miejsce to pomnożyć miało pamiątki wprowadzeniem do niego ozdobnie świeżo wykonanych trumien z ciałami Jana Kazimierza, żony jego Marji Ludwiki Gonzagi, i żony Sobieskiego Marji Kazimiery.

Przy świątyni téj znajduje się dzwon Zygmuntem zwany, największy w całéj Polsce, do którego uderzenia ośmiu silnych potrzeba ludzi. Odlanie dzwonu tego kosztowało do 40 tysięcy dzisiejszych złotych, a dźwięk jego nadzwyczaj miły choć posępny, tylko w dni wielkich uroczystości słyszeć się daje.

Z katedry dla dopełnienia historycznych wspomnień udaliśmy się do biskupów pałacu, gmach ten staraniem i kosztem czcigodnego Woronicza ozdobiony, raczéj księgą historji nazywaćby się powinien. Poważny prałat przy tylu usługach oddawanych krajowi, jeszcze w chwilach wytchnienia puszczał wolny bieg wyobraźni, szlachetném sercem jéj poloty usprawiedliwiał, a czynami urzeczywistniał pomysły najtrudniejsze do wykonania. Z własnych funduszów utrzymując przy dworze swoim Michała Stachowicza malarza, piękny talent jego zwrócił na zapełnienie ścian dziełami prac jego; widząc nawet wielkie zdolności w młodzieńcu, chciał go swoim kosztem wysłać za granicę aby tam pod wielkiemi wykształcił się mistrzami; Stachowicz ze szkodą dla ziomków swoich, nie przyjął téj myśli, zbyt przywiązany do rodzinnego kątka, jemu tylko i swojéj pracy chciał być wdzięczność dłużny, pozostał więc w Krakowie i ozdobą wewnętrzną pałacu biskupów uwieńczył zawód narodowego artysty.

Zwiedziliśmy i gmach akademicki, salę jagiellońską zwaną, i tu jeszcze Stachowicza pędzel ważne epoki akademji przedstawia; ta sala jest miejscem dzisiejszych posiedzeń Towarzystwa Naukowego złączonego z akademiją.

Gabinety fizyczno-mechaniczny i historji naturalnéj pięknemi mineralogicznemi zbiorami zaopatrzony przejrzeliśmy także, tylko do anatomicznego nikt wejść nie miał ochoty.

Po akademji kościół Ś. Anny zwrócił naszą uwagę; jéj kosztem wzniesiony, szczyci się przytém ozdobami z samych krajowych płodów, a zadziwia nadzwyczajnéj wielkości kolumnami, w bocznéj kaplicy, z jednéj sztuki marmuru Pińczowskiego bitemi. Jest w nim wspaniały pomnik Ś. Janowi Kantemu wzniesiony, i drugi nieśmiertelnemu Kopernikowi uczniowi akademji krakowskiéj, polakowi, mało znanemu za życia, a o ród którego tak długo sprzeczkę wiodą narody!

Szkoda że mało mieliśmy czasu do dokładnego poznania ogrodu botanicznego, a z obserwatorjum tylko okolice Krakowa widzieliśmy, przez szkła dwumilową zbliżające przestrzeń, bo wśród dnia w tamtéj będąc stronie i na tém poprzestać trzeba było.

Kościół Ś. Piotra założony przez Zygmunta III, uderza pięknym zewnętrznym kształtem pokryty miedzią, faciata z ciosowego kamienia ozdobiona

posągami kamiennemi, takież posągi w liczbie dwunastu, wyobrażające apostołów S, przystrajają wnijście świątyni, a groby jéj przechowują zwłoki skromnie w ołowianéj złożone trumnie, wymownego Piotra Skargi.

Widziałam i kościół Franciszkanów, wnętrze jego w kształt krzyża zbudowane, bogate stalle je zdobią, w tym kościele jest płaskorzeźba z wyobrażeniem Bolesława wstydliwego— i siostry jego Ś. Salomei ciało tu spoczywa.

Wśród rynku stoi mały kościołek, Ś. Wojciecha czci poświęcony, najdawniéjszy z kościołów krakowskich, postawiony na miejscu, gdzie jak podania niosą apostół ten sławiański wiarę świętą wykładał.

Kościół Dominikanów zaczęty przez Iwona Odrowąża biskupa krakowskiego, pełen pamiątek i ozdób, staraniem pobożnych dokończony. Tu zwykle Bona Sforcia z orszakiem dam sw ch mszy słuchała, tu Jan III wybierając się na pomoc Wiedniowi w kaplicy Ś, Jacka błogosławieństwo przyjmował. Tu jest pomnik Leszka czarnego, Kalimacha nauczyciela synów Kazimieża Jagiellończyka i Szymona Zimorowicza sielankopisarza ucznia akademji krakowskiéj i wiele innych osobliwości.

Ale ja widzę nie skończyłabym opisów moich, tak mi trudno oderwać się od wspomnień kra-

kowskich, a tu już wszyscy do dalszéj podróży gotowi— za kilka chwil wyjeżdżamy.

Wandziu! pamiętaj że ja na-pewno w Pradze listu Twojego się spodziewam, a teraz bywaj mi zdrowa— długie, długie szlę Ci *do widzenia.*

W. T.

SIEROTA

(powiastka napisana przez dwunastoletnią panienkę).

Było to w Kwietniu, Eliza wyglądała oknem, a ujrzawszy słońce pogodne, które niedługo zajść miało, i słysząc ptaszki świergoczące, którym się wiosna przypominała, głęboko westchnęła. Co ci to kochanie? zapytała pani Z. zdziwiona westchnieniem córki. Patrz, mamo, jakże te ptaszki szczęśliwe, jak śpiewając przelatują z drzewa na drzewo! a ja siedzę jak w klateczce. Biédne dziécię rzekła pani Z. przypominając sobie, że jéj obiecała pójśdź na spacer; jeżeli chcesz, to możemy odwiedzić Małgorzatę twoję mamkę, wiesz Elizo, że Małgorzata przez kilka dni mocno chorowała, ale dziś już jest zdrowszą. A ty u niéj nie byłaś, mamo, rzekła ze łzami Eliza? Owszem, moje dziécię, kilka nocy tam przepę-

działam; lekarz nie pozwolił mi wziąść ciebie z sobą, wie jak ona cię kocha, lękał się, ażeby twoia obecność nie pogorszyła jéj słabości. Ach! mamo, dziękuję ci, żeś o Małgorzacie nie zapomniała. Jakżeś Elizo mogła myśleć, abym zapomniała o téj, która cię tak doglądała gdyś była małą, która w czasie twojéj słabości tyle nocy nie spała, która tak do nas przywiązana. Pani Z. z Elizą wkrótce się ubrały, i wyszły. Eliza która miała taką chęć biegać, szła smutnie przy matce: pani Z. także była smutna;— lękały się o zdrowie poczciwéj Małgorzaty. Szły dosyć długo, gdyż pałac państwa Z. od wsi dosyć był oddalony. Jeszcze nie doszły do chatki Małgorzaty, kiedy spotkały Magdusię jéj córkę zalaną łzami. Ach pani rzekła łkając, moja matka daleko słabsza, doktór posłał mnie po ciebie: nie musi być już żadnéj nadziei, gdyż lekarz przywiózł księdza, moja matka już się wyspowiedała, przyjęła oléj Święty z przytomnością, i zdaje mi się że modląc się wymówiła imie moje i panny Elizy. Domawiając tych słów doszły do chatki Małgorzaty, rozpacz ścisnęła ich serca. Ten domek zawsze tak wesoły, tak miły, przybrał postać smutną, zdawało się, że śmierć już zawitała do niego. Magdusia pobiegła uprzedzić matkę, a za chwilę, weszła pani Z. z Elizą. Na widok ich Małgorzata wyciągnęła wychudłą

rękę, a ścisnąwszy panią Z, i Elizę rzekła ze łzami: ostatni raz widzimy się, bądźcie szczęśliwi, niechaj Bóg czuwa zawsze nad wami, niech wam we wszystkiem dopomaga. Pani! dodała, wskazując na Magdusię, tobie ją polecam, ty miéj o niéj staranie jak o własném dziecięciu, bądź dla niéj drugą matką. Słysząc to wszyscy płakali. Nie płaczcie! jam szczęśliwsza od was, za chwilę ujrzę Stwórcę, któregom przez całe życie tak widzieć pragnęła. Jestem spokojna, że nie opuścisz mego dziecięcia, ty pani któraś już tyle łez starła, któraś tylu nieszczęśliwych wspomogła, ty się nie lękasz opatrzyć rany kalece, nie ociągasz się wejść do ubogiéj chaty gdzie leży chory, ty będziesz świętą dodała oblewając łzami rękę pani Z. którą w swoich trzymała. Miłe jest takie świadectwo dane na łożu śmierci. Pani Z. stała nieruchoma; ach! czemuż, zawołała po chwili, czemuż życia okupić nie można! Małgorzata przez chwilę spokojnie leżała, późniéj rzekła: ty Magdusiu bądź zawsze dobrą, kochaj Boga, pamiętaj, że co tylko masz to wszystko od Niego; okaż się wdzięczną dla téj pani, która cię weźmie do siebie, kochaj ją jak matkę. To mówiąc zdjęła z szyi krzyżyk i włożyła go na szyję Magdusi: niech to będzie dla ciebie pamiątką, dodała: jeżeli byś czasem miała chęć do złego, spójrz na tego Zbawiciela a on oddali od ciebie złą myśl:

nie płacz, kochanie, my się zobaczymy, zobaczymy i Stwórcę, którego kochamy. Teraz Magdusiu przyrzecz mi, że dopełnisz tego, o co cię przy śmierci matka prosi.—Przyrzekam i dotrzymam słowa, rzekła Magdusia śród głośnych łkań. —Teraz umrę spokojnie zawołała Małgorzata;uściskała jeszcze raz wszystkich, i modląc się skonała.

Zaraz po zgonie poczciwéj Małgorzaty, pani Z. wzięła do siebie Magdusię. Od téj chwili stała się dla niéj matką, dała przyzwoite stanowi jéj wychowanie, i prawie zarówno z swoją córką kochała. Magdusia jéj się téż odwdzięczała, w niczém nie była skrytą, we wszystkiém sumienną, czém mogła okazywała jéj swoje przywiązanie. Przyjemnie było patrzéć, jak Magdusia rano biegła pracować w ogrodzie, ażeby pani Z. codzień cóś nowego zastała; Magdusia starała się przypodobać każdemu; a pani Z. i Eliza obejść się bez niéj ani na chwilę nie mogły. Magdusia tak szczęśliwie przepędziła lat dwanaście: nakoniec ekonom z téj wsi, człowiek dobry i poczciwy widząc iż jest pracowitą, a nadewszystko cnotliwą, prosił pani Z. o jéj rękę. Pani Z. z chęcią na to przystała, a Magdusia niedługo zamieszkała w domu gdzie jéj matka życie skończyła. Rządna gosposia wkrótce odnowiła ogródek, pszczoły rozmnożyła, i miała tę przyjemność że pani Z. z córką często do niéj przychodziła

na wyborną śmietanę i miodek, a w dni świąteczne nieraz hasała u niéj młodzież na obszerném podwórku, przy odgłosie wiejskich skrzypków. Pani Z. przypatrywała się temu z uśmiechem, a Magdusia ściskając ją mówiła: twoje to dzieło, pani, gdyby nie ty, dziś żebrałabym może ze wstydem, a teraz jestem tak szczęśliwą; ale ty, pani. będziesz za to nagrodzoną od Boga bo kto łzy otrze sierocie, o tym Bóg pamięta.

Zofja M.

KWIATKI
NA GROBIE.

Dzień już zapadał, słońce było nisko,
Gdy zamyślony idąc raz cmentarza blisko,
Ujrzałem z rozczuleniem, jak miluchne dziatki
Świeżo rwane rzucały na świeży grób kwiatki—
Nietrwała— rzekłem— będzie z tych kwiatków pamiątka,
Słońce błyśnie — wiatr dmuchnie, i zniknie ta grządka.
A cóż stałego, powiedz, na tym naszym świecie?
Płacząc rzewnie, najstarsze odrzeknie mi dziecię—
Wczora kochana Józia, wdzięczna jak kwiat róży
Miłe nam piosnki śpiewała,
Dziś za mieszkanie grobowiec jéj służy,
Żałość nam po niéj została.

Jgnacy Dobrski.

TĘSKNOTA DO WIOSNY.

„Kiedyż to, kiedy, wiosna nam wróci?“
Mówił raz Józio do taty;
„Kiedy nam wdzięcznie słowik zanuci,
„Kiedy zabłysną nam kwiaty?

„O! bo ta zima taka nieznośna,
„I tak mię nudzi, mój tato!
„Czemuż nam wiecznie nie kwitnie wiosna,
„Wiecznie nie grzeje nas lato?

„W zimie tak dziko — martwo — ponuro,
„Szumiąc z wiatrami śnieg leci,
„I słońce, gdzieś tam skryte za chmurą
„Jakże żałobnie nam świeci!

„Świeci tak blado — tak słabo grzeje,
„Jakże nie lubię go za to;

„Kiedyż się do nas wiosna rozśmieje,
„Ach kiedyż, kiedy mój tato?

„Miesiąc nam Luty wdzięcznie zawitał,
„Tak było lubo na świecie,
„Już i sasanek w błoniach zakwitał,
„Pastuszek nócił na flecie.

„I bliskiéj wiosny były nadzieje,
„Dziś żal z przedwczesnéj otuchy;
„Marzec znów mroźne kurzy zawieje,
„Kwiatek się zwinął w pieluchy.

„I znów tak zimno, dziko, ponuro,
„Szumiąc z wiatrami śnieg leci,
„I słońce gdzieś tam skryte za chmurą
„Jakże żałobnie nam świeci!"

—„Przedwieczną Boga wolę w tém czcijmy,
Rzekł ojciec: „na tym tu świecie,
„Nie ujrzy wiosny, kto nie znał zimy,
„A ty wyrzekasz me dziecię?

„Czekaj cierpliwie, znikną te chmury
„Co nam horyzont zaćmiły,
„Cieplejsze słońce błyśnie nam z góry,
„Powróci wiosny czas miły.

„Zorzą zabłyśnie dzionek majowy,
„Z dalekich krajów słowiki
„Przylecą jeszcze w nasze dąbrowy,
„Pieśnią ożywić gaiki.

„I step dziś mroźną szatą zbielony,
„Kwiecista powódź okryje;
„Ujrzysz świat nowy, cudny, zielony,
„Cała przyroda odżyje.

„Lecz, wiedz mój synu, przeznaczeń siła
„Zimę z kolei mieć chciała,
„Nie takby wiosna radośną była,
„Gdyby bez zmiany nam trwała.

„Więc świętą Boga wolę w tém czcijmy,
„Rzekł ojciec: na tym tu świecie,
„Nie ujrzy wiosny, kto nie znał zimy,
„A ty wyrzekasz me dziecię!"

Jgnacy Dobrski.

WIELKI CZWARTEK.

Zaczął się post święty; już od dni kilkunastu w dworcu królewskim ciszéj, poważniéj, nie słychać głośnych rozmów, nie widać tych wesołych, śmiejących twarzy młodych dzieweczek, które tyle wdzięku nadawały komnacie cnotliwéj królowéj Marji Dobrogniewy *). Ustały wszelkie, lubo zawsze przyzwoite rozrywki, na królewskim stole nie ujrzysz jedno rybę a jarzynę, w kaplicy nie ustają modły, a pobożny Kazimierz, uwolniony z zakonnych ślubów, w tym czasie skruchy i rozpamiętywania, dopełniwszy obowiązków monarchy wykonywa ściśle przepisy klasztoru w któ-

*) Marja księżniczka Ruska poślubiona Kazimierzowi I, siostra Jarosława, przeszedłszy na wyznanie Rrzymsko-katolickie przyjęła imię Dobrogniewy.

rym młodość jego spłynęła, w którym całe życie spędzić zamyślał.— Pod prostą odzieżą nosi ostrą włosiennicę, głowę co w koronie jaśniała posypuje popiołem, kolana do których tylu się możnych mężów schylało, zgina w pokorze do kamiennych stopni, i długie godziny na modlitwie przepędzał.— Czcigodna małżonka jego we wszystkiem szła za męża przykładem;— oprócz modłów i umartwień pomnażała codziennie liczbę dobrodziejstw swoich, gorliwiéj zajmowała się ukształceniem serca i wzniesieniem ducha młodych polek, które zasłużeni w kraju ojcowie jéj królewskiéj poruczyli opiece. — W czasie postu częściéj jak kiedykolwiek ćwiczono się w komnatach królowéj w czytaniu ksiąg łacińskich, nie tyle już dla dogodzenia królowi który to zatrudnienie bardzo lubił i polecał, jak raczéj dla pomnożenia w sobie ducha pobożności, i doskonalenia się w chwale bożéj.

Zwyczajem oddawna przyjętym król Kazimierz w czasie wielkiego postu ważniejsze tylko załatwiał sprawy, i to w cichości, bez przepychu i okazałości, któremi wierny naród otaczać go lubił; — wielkiém zatém zdziwieniem przejęła dwór cały wieść, że w niedzielę *Białą* na dwa tylko tygodnie przed Wielkanocą, w chwili kiedy pobożni rozpoczynają przygotowania do świę-

téj pokuty, Kazimierz Mnich przyjmować będzie uroczyście posłów z Francji przybyłych.

Tak było rzeczywiście, ale miejsce zdziwienia zajęła radość, gdy się dowiedziano że posłowie ci, przybyli z Kluniaku, gdzie się król wychował, przysłani od Odillona Biskupa, który niegdyś był przełożonym polskiego monarchy. Każde takie poselstwo napełniało szczęściem serce pobożnego Kazimierza, cóż dopiero teraźniejsze, za którém w ślad śpieszy dwunastu Benedyktynów, jakby osada, mająca w Polsce rozszerzyć swiatło, naukę, i utwierdzić wiarę prawdziwą. — W obliczu zwykłego swego orszaku przyjął Król Arona z Kluniaku i jego towarzysza; oznajmił że dla mających przybyć zakonników przeznaczył zamek Tyniecki o milę od Krakowa dodając doń blisko sto wsi, ku zaopatrzeniu potrzeb klasztoru; prócz tego miasteczko Lubusz nad rzeką Odrą; a Arona, który mu tak miłą wieść przyniósł, pierwszym Opatem na Tyńcu mianować postanowił. Z pokorą przyjął mąż boży wolę królewską, a pełniąc dalej dane sobie polecenie, złożył w ręce Kazimierza odpisy dwóch hymnów, które przed niedawnym czasem na cześć Bogarodzicy ułożył pobożny i uczony Benedyktyn Hermann, z domu hrabiów Wehringen *).

*) Rożne są zdania o autorze tego hymnu, jedni przypisują go Biskupowi Ademarowi de Monteil drudzy Pio-

Pierwszym z tych hymnów był ów sławny: *Salve Regina!* (Bądź pozdrowiona etc) który w owym czasie przeniesiony do Polski, przez tyle lat, w tylu różnych okolicznościach wzbijał się w niebiosa, który i dziś jeszcze, tak w pańskich swiątyniach, jak w cichym domowym zakątku, wydziera się z serc pełnych wiary, pokory, i czci dla swiętéj dziewicy, od wieków za opiekunkę naszą uznanéj. Drugi hymn; był niemniéj piękny: *Alma redemptoris Mater!*

Potém długo cóś jeszcze mówili z królem posłowie, lecz niezbyt w łacinie biegli słuchacze, zrozumieli tylko że mowa była o panującym we Francji królu Robercie, a ponieważ kraj ten niezajmował jeszcze ziomków naszych tak mocno jak teraz, bliższych szczegółów nie byli ciekawi.

W ostatnich tygodniach postu, pomnożyło się zajęcie na dworze królowéj; przygotowania do spowiedzi, i inne pobożne cwiczenia, wyszywanie ornatów przeznaczonych do Kościołów na swięta Wielkanocne, ciche uczenie się nowo przywiezionych hymnów, a może i przysposa-

---

trowi Biskupowi Kompostelskiemu, rzeczywiście jednakże złożył go Herman z Wehringen Benedyktyn, a póżniej Opat w Reichenau, który umarł w r. 1054. p. Calal. Scripeccl.

bianie ziemskich zapasów na godne uczczenie nadchodzącéj uroczystości, skracało wszystkim poważną i smutną porę.— Nadszedł Wielki czwartek.— Obyczajem rodziców, królestwo zwykli byli w dniu tym w gronie całego dworu swojego obchodzić pańską wieczerzę;— równo z zmrokiem, w jadalni zebrali się mężowie których obecność zawsze potrzebną lub miłą było królowi;— w poważnych szatach, z podgolonym włosem, z białémi na szyi chustkami, czekali w milczeniu przybycia monarchy, a ich postacie z powierzchowności tak do zakonników podobne, swiadczyły żywo, o przywiązaniu narodu do króla, którego chcąc uwolnić od klasztornych ślubów, część jego obowiązków ochoczo wziął na siebie.

Po drugiéj stronie komnaty niewiasty i dziewice z dworu królowéj w kosztownych futrach, w ciemnych sukniach, między którémi już gdzie niegdzie zamorska zawijka albo na wschodzie tkana migała szata, rozmawiały półgłośno, a rozmawiały z zdziwieniem, żywo i ciekawie poglądając na dwa stoły ustawione w środku komnaty. Jakoż, dziwną było rzeczą, że każdy z tych stołów przyrządzonym był tylko na dwanaście osób, kiedy kilkakrotnie większą była liczba osób mających przy nich zasiąść.— Niedługo wszakże ciekawość dręczyła obecnych;— z pierwszą gwiazdką

na niebie, weszli do komnaty służebni, niosąc olejem napełnione lampy, i z żółtego wosku lepione pochodnie. Zaledwie żywe światło rozwidniło okopciałe ściany, otwarły się drzwi od komnat króla, i parami weszło dwunastu starców, w ubogiéj odzieży, z bosemi nogami, i zajęło miejsce przy stole; — za nimi zaś, w równie prostéj szacie, z miedzianą w dłoni nalewką, z ręcznikiem przewieszonym na ręku wszedł Kazimierz Mnich.— I w tejże chwili otwarły się drzwi od komnat królowéj, i parami weszło dwanaście zgrzybiałych niewiast, w ubogiéj odzieży, z bosemi nogami, i zajęło miejsce przy drugim stole, za niemi zaś, z nalewką w dłoni, z ręcznikiem przewieszonym na ręku, z wdziękiem i pokorą szła Marja Dobrogniewa.

Z zdumieniem poglądał dwór cały na to szczególne widowisko, co spostrzegając król rzekł poważnie:

— Dziś obchodzimy ostatnią wieczerzę, którą Pan nasz Jezus Chrystus odprawiał z uczniami swoimi: — jak on dał przykład pokory umywając im nogi, tak i my pragniemy iść śladem jego, i uczynić tę posługę ubogim, tyle od niego ukochanym.—Wyznajemy przytém, że Bóg nie nawiedził nas o tyle łaską swoją, aby nam samym myśl ta była przyszła; — idziemy tylko za przy-

kładem króla francuzkiego, który już od lat kilku ten pobożny zwyczaj u siebie wprowadził *).

Po tych słowach, możny władca i małżonka jego, schylili się do nóg biednych staruszków, a umywszy je, służyli do stołu, podając smaczne lubo postne potrawy, nalewając w czary pokrzepiające napoje.

Patrząc na tak budujący przykład pokory chrześcijańsiéj, polacy i polki poczęły się ubiegać w dopomaganiu królewskiéj parze, i dopiero po należytém nasyceniu biedaków, po hojném ich obdarzeniu, Kazimierz Mnich z żoną dziećmi i dworzanami zasiadł do wieczerzy.

Zwyczaj ten niedługo się powtarzał, po śmierci bowiem pobożnego monarchy Bolesław śmiały zajęty wojną, łowami, lub zabawą, zapominał zwolna obyczajów kwitnących za życia rodziców, i niestety! w końcu nietylko o nich samych, lecz o kraju, obowiązkach, a nawet i o Bogu zapomniał!

Umywanie nóg starcom w Wielki czwartek odnowił (także na krotko) Stanisław August;— teraz zaś, Arcybiskupi dopełniają u nas tego obrzędu.

*) Zwyczaj wprowadził na dwór francuzki król Robert, syn Hugona Kapeta, współczesny Kazimierza I.

P. K.

PORÓWNANIE.

Pani L. zwiedzała raz z swą córką jedynaczką pałac jednego z dawnych książąt polskich, który dzięki staraniom teraźniejszego dziedzica w dość dobrym był stanie. Jeszcze na murach i basztach, widzieć się dawały herby starożytnéj rodziny, a po bogatych obiciach, kosztownych ozdobach komnat poznać można było zamożność świetnéj niegdyś familji. Ale ze wszystkich pokoi które przebiegły, najwięcéj podobała się młodéj Zofji wielka sala, któréj ściany pokryte były pięknemi malowidłami al fresco; żywość farb, śmiałość pendzla i wzniosłe, szczytne obrazy wielkich czynów które przedstawiały, zajęły mocno jéj młodocianny umysł, i żywą wyobraźnią. Zaraz z tamtąd wychodziło się do małego saloniku, choć nie tak kosztownie ale równie gusto-

wnie urządzonego, którego celniejszą ozdobą był mały obrazek mozajkowy. Z początku nie zwrócił on na siebie szczególniejszéj uwagi Zofji, mocno jeszcze zajętéj świetną komnatą. Późniéj nieco, skoro uważniéj przypatrywać mu się zaczęła, podobała jéj się staranna robota, zgodność farb, smak i harmonja panująca wszędzie, a tkliwe sceny pasterskiego życia przeniosły jéj umysł w błogie czasy złotego wieku.

Pomimowolnie może przekładać zaczęła skromną *mozajkę* nad pyszne malowidło *al fresco*; wtedy matka wziąwszy ją za rękę z uczuciem rzekła: Córko moja, jakże życie nasze podobne jest do mozajki! równie jak przeznaczenie kobiety z drobnych się ona składa ogniwek, wtenczas tylko doskonała kiedy są dobrze spojone, i wtenczas tylko mówię, najszlachetniejsze, najtkliwsze obrazy wystawiać może. Świetną sławę, rozgłośne imię mężczyznom zostawmy, nie do nas ono należy. Wielkie, śmiałe, przedsięwzięcia, nadzwyczajne i niepodobne prawie do uwierzenia dzieła, niech napełniają historją ich życia, niech przerażają, dziwią, zachwycają jak malowidło *al fresco*. Dość dla kobiety jeżeli ciche, domowe cnoty zdobić ją będą, wypłaci już ona co była winna Bogu, społeczeństwu i saméj sobie. Nie sądź jednak jedynaczko moja, że przeznaczenie nasze jest małe i nieznaczące; owszem, istota jego jest szczytna

cel wielki i wzniosły. W naszych to bowiem rękach złożono przyszłą sławę rodu ludzkiego, my to kształcimy dla kraju mężów stających się późniéj jego ozdobą, łagodzimy gwałtowne namiętności, uspakajamy umysły unoszone ciągłą żądzą chwały, pragnieniem bogactw i wielkości. Ku dokładnemu wypełnianiu tego więcéj może potrzeba mocy duszy, wytrwania i cierpliwości, niż aby śmiałą ręką sięgnąć po wawrzyn zwycięzki, lub zuchwałym czynem unieśmiertelnić swe imie; tam często miłość własna, tu prawie zawsze przywiązanie jest pobudką. Jednak są takie kobiety, co obdarzone wyobraźnią zbyt żywą, rozognioną jeszcze czytaniem książek bez wyboru, sądzi przeznaczenie nasze niegodném siebie, chcąc się wywyższyć nad płeć swoją inne sobie obiera, i wtenczas to, zarody cnót samych, najlepsze skłonności, mogące ją uczynić zaszczytem płci swojéj, źle skierowane śmieszną ją tylko w oczach świata robią. Gdyby nawet która stanęła u kresu swych życzeń, gdyby nawet historja zapisała jéj imię obok imion wielkich ludzi, w świątyni sławy i nieśmiertelności niéma szczęścia dla niewiasty, znikło ono na zawsze z lubym pokojem jéj lat dziecinnych. Blask czci ją omamił, ale jeżeli chwilkę jest sama, zdala od wrzawy otaczającéj ją ciągle, jeżeli zajrzy w swe serce, nic tam nie znajdzie coby ją pocieszyć mogło. Tam pusto i

głucho. Chętnieby oddała wieniec wawrzynów cisnący jéj skronie, za jedną chwilkę spokojnego szczęścia, jakiém niegdyś pogardziła. Ale próżno! ta tylko będzie prawdziwie szczęśliwą, która nie zboczyła nigdy ze skromnéj ścieżki naszego przeznaczenia, któréj bujna wyobraźnia nie tworzyła sobie urojonego, idealnego szczęścia, któréj umysł nie przedzierał się nigdy po za krańce przeznaczone dla niewiasty, która nie chcąc być nigdy niczém więcéj; w cichości pełni powołanie swoje.

Marja M.

POMOC I POCIECHA

POWIEŚĆ.

Była to wesoła wiosna; zieleniejące drzewa okryte świeżym liściem, cicho szumiały poruszane od zefirów, jedwabna trawka pochyłała nizkie swe czoło, a bez rozkwitły, rozsypywał do koła delikatną balsamiczną woń.

Pojąc się témi roskoszami natury, mały Leoś siedział pod krzaczkiem i uczył się: lecz próżno; godzina mija po godzinie, a on nic jeszcze nie umie, próżno się mozoli, wszystkie starania jego ulatują. Zniecierpliwiony wstaje, zamkniętą książkę kładzie pod pachę i ze zwieszoną główką przechodzi po ogrodzie. Smutny, wyszedł otwartą fórtką na pole okryte bujnémi kłosy, połyskującemi od promieni słonecznych. Nad pozłacaną niwą wznosił się skowronek, goniąc za mo-

tylkami i drobnémi muszkami, które niebaczne na grożące im niebezpieczeństwo, swobodnie bujały w przezroczném powietrzu. Zasępiony chłopczyna nie zważał na te cuda, które się w około niego rozwijały; ocierając oczy, przechodził bez uwagi obok plennych kłosów, obok małego pagórka zasianego kwiatami, na którym stado beczących baranków skubało młodziutką trawkę, a pastuszek siedząc na darni, dął w świeżo wykręconą piszczałkę. Był to wspaniały obraz wiosny; jednak on nie wywierał żadnego wpływu na biédnego Leosia. Jemu nic przyjemném nie było; ani śpiew skowronka, ani brzęk muszki, ani beczenie owieczek, ani nawet głos fujarki. Nieuważny, przechodził obojętnie mimo tych pięknych obrazków natury,— myśląc jedynie o lekcji któréj nie umie, i o wstydzie jaki go spotka gdy jéj nie wyda. Tak idąc — nieznacznie zbliżył się do miejsca, gdzie z pomiędzy nizkich krzaków, wznosił się krzyż drewniany, a na nim wisiał rozpięty Zbawiciel. Tu wstrzymał kroki; spojrzał po zasiebie na ładny domek rodziców, otoczony niebotycznémi topolami— westchnął, wypuścił łez parę i chciał powracać.... Nagle wstrzymują jego kroki następne wyrazy: „Boże dopomóż mi!“ Przelękniony chciał uciekać.... lecz przezwyciężywszy obawę, obejrzał się na krzyż. Tutaj u stóp Boga, ze złożonemi rękoma, klęczy

siwy staruszek.... „Boże! dopomóż mi!“ powtórzył schylając czoło ku ziemi.

Zdziwiony Leoś słyszy te słowa, a promyk nadziei, promyk radości zajrzał do smutnego serca. Nie robiąc i najmniejszego szelestu, stoi nieruchomie za starcem, i patrzy na niego, i słucha modłów, jakie w cichości powtarza......

— „Mój staruszku, rzecze nieśmiało chłopczyna do podnoszącego się z ziemi; powiedz mi, w czém chcesz by ci Bóg dopomógł?

— „Kochane dziecię, jestem bardzo nieszczęśliwym! wyrzekł smutnie zapytany; to co mieć mogłem, zginęło niepowrotnie!... Chata z całą chudobą zniszczała w płomieniach, a kochana żona, jedyna pociecha w nieszczęściu, przez śmierć wydartą mi została. Z całéj rodziny pozostał mi się syn ostatni— lecz i ten niestety! wczoraj jeszcze, znalazł śmierć okropną pod upadającém drzewem! Wszystko więc straciłem; i dla tego codziennie zanoszę modły pod tym krzyżem, i proszę Boga o pomoc w nieszczęściu, i pociechę dla duszy.... I staruszek mówiąc te słowa, ocierał łzy płynące po policzkach, — i ukląkł znowu, znowu długo się modlił, i łzawą rosą oblewał podnóże krzyża.

W jednéj chwili Leoś zapomniał o swojém zmartwieniu, cały zajęty starcem, słuchał jego modlitwy, i razem z nim wznosił oczki ku niebu.

A gdy ten powstał i poszedł, ukląkł w toż samo miejsce, i modlił się słowami dziecięcia: prosił o pomoc w swojém strapieniu ukrzyżowanego Chrystusa, a zaplatając na krzyż drobne swe rączyny, zwracał wzrok aniołka na wizerunek Boga.

Już było dobrze rano, gdy powstawszy z miejsca, z pociechą w sercu powrócił do domu, i rozpoczął na nowo lekcją. I teraz uczył się jeszcze długo, z takiemiż jak pierwéj trudnościami, lecz one go już nie odstraszały, ufał bowiem w pomoc Boga, któren nigdy nie opuszcza cnotliwego dziecięcia, i jest dla niego ojcem najlepszym. Tak też i Leoś, po długich mozołach, przezwyciężywszy wszelkie przeszkody, przyszedł do szkoły z gotową lekcją i uśmiechającém licem. Odtąd codzień jak tylko słońce wyjrzało na ziemię, biegł pod krzyż, i prosił nieba o pomoc i pociechę.

Dzieci! jeżeli kiedy smutek wciśnie się wam do serca, i zniszczy waszą wesołość, wtedy nie płaczcie, napróżno nie wylewajcie łez, gdyż one nic wam nie pomogą; lecz z ufnością biegnijcie złożyć swe zmartwienia u stóp Boga, któren z taką dobrocią słucha prośb dziatek. Wierzcie mi, wy wiele możecie u Niego, a waszą prośbę zaniesie aniołek przed Jego oblicze. Lecz

kochane dzieci! trzeba się modlić szczérze, trzeba ażeby to co wymawiają wasze usta powtórzyło i serce, i żebyście ufały w dobroci Boga. Gdyż wtedy tylko możecie mieć nadzieję wysłuchania modlitwy i spełnienia prośby waszéj.

Ed. Bogusławski.

POWITANIA U RÓŻNYCH NARODÓW.

Wyspiarze sąsiedni wysp Filipińskich, chcąc uczcić kogo, biorą rękę lub nogę jego i twarz nią sobie pocierają.

Lapończycy na znak powitania, przyciskają nos silnie do nosa drugiéj osoby, ten sam zwyczaj panuje u mieszkańców Otahity.

W nowéj Gwinei liść kładą na głowie powitanego.

Mieszkańcy wysp Filipińskich ręce do twarzy zbliżywszy pochylają się bardzo nizko, nogę przytém ze zgiętém kolanem wznoszą do góry.

Japończyk witając na ulicy,zdejmuje jeden pantofel— Astrachańczyk na chwilę sandału się pozbywa.

Królowie czarnych, ze stron Afryki przy powitaniu potrzykroć biorą w usta środkowy palec ręki.

Chińczycy spotkawszy się po długiem niewidzeniu klękają przed sobą, pochylając kilka razy głowę ku ziemi. Naród ten tyle przyjął ceremonii, że aż księgę ułożono przepisującą ilość pokłonów i przyklękań do każdéj okoliczności zastosowanych, a posłowie zagraniczni zanim pokażą się na dworze cesarskim, czterdzieści dni wprzódy ceremonii tych uczyć się muszą.

W południowych prowincyach Chińskiego państwa witają się temi wyrazami: *Y a fan?* Czy zjadłeś swój ryż?

Hollendzy zwykle dużo jedzący, mają dla wszystkich stanów jedno ranne powitanie: *Smaakélyth céten* Dobry masz obiad?

W Kairze zamiast tego pytają się, jak się pocisz? bo u nich skóra sucha jest oznaką śmiertelnéj gorączki.

Dumny hiszpańczyk woła *como estad* v. m.? jak jesteś? czynny żywy i wesoły francuz *comment vous portez vous? „jak nosisz się?“* powtarza.

Anglik przemysłem zajęty, co robisz? pyta: *how do you do?* Wojowniczy rzymianin troskliwie dowiaduje się *„jakże zdrowie? quo modo vales?* a dzisiejszy włoch próżnujący, już tylko *jak stoisz?* ciekawy, *come state?*

Wie befinden sie sich, *jak się znajdujesz?* mówi niemiec ufny własnemu ocenieniu siebie.

Rossyanin wita pytaniem *jak pożywasz?* **какъ вы поживаете.**

Cóż znaczy polskie *jak się masz?*

W T.

LITOŚCIWE DZIECI.

Jest temu lat parę, jak znałam bardzo zdatnego muzyka, którego nazwę Dobruckim. Lecz zdolność a nawet doskonałość nie zawsze jest popłacaną, a szczególniéj dla artystów muzycznych; pan Dobrucki był ubogim, miał wprawdzie lekcje, niektóre utwory jego były rozkupywane, lecz to wszystko nie wystarczało na utrzymanie żony i dwojga dzieci. Bóg go obdarzył zdrowiem, od rana do wieczora chodził na lekcje, bo lube dzieci, człowiek rodząc się z potrzebami, na utrzymanie życia pracować winien; póki jest dzieckiem dobrotliwa ręka rodziców lub opiekunów potrzeby jego opatruje, ale skoro dorośnie w każdym stanie pracować musi. Rozmaite są stany, rozmaicie też, ażeby się stać użytecznym członkiem społeczności, pracować winien.

Pracował i Dobrucki w pocie czoła na kawałek chleba, który od niejakiego czasu codzień się stawał trudniejszym, bo ciężka choroba żony niemal wszystkie jego dochody chłonęła.

Na domiar nieszczęścia, po długiéj i przykréj chorobie pani Dobrucka umarła, wydatki pogrzebowe resztę zapracowanych pieniędzy zabrały. Pani Dobrucka żyła i umarła w Bogu, zdawała się kończyć to życie zdaniem się na wolą Jego, zasmucała ją tylko myśl, że dwoje dzieci to jest syna Stefana mającego lat 12 i Jadwigę o rok młodszą od brata zostawia bez dozoru, bez troskliwości macierzyńskiéj, opieka bowiem ojca który cały dzień prawie za domem przepędzał, nie mogła być dostateczną; lecz Bóg powołując ją do siebie, w nagrodę że szła zawsze drogą cnoty, natchnął wszelkiém dobrem te dwoje małych dzieci. Jadwisia mając w pamięci przykład matki zajęła się domem, a o ile jéj wiek dozwalał, rządziła nim nienajgorzéj; Stefan widząc zamiłowanie ojca w muzyce przykładał się do niéj pilnie, aby wszelkie trudności jakie ta nauka stawia przełamać, i znaczne też czynił postępy. W krótce dom pana Dobruckiego przybrał weselszą postać, bo Bóg nigdy człowiekowi wszystkiego nie zabiera, a lubo ojca i dzieci często na wspomnienie straty jaką ponieśli smętność ogarniała, duszę ich jednak ożywiała nadzieja i wlane

w każdą istotę rozumną przeczucie dnia tego w którym chwała Pana objawi się dla niéj, i połączy ją na wieki z straconémi chwilowo przyjaciołmi. Codzień zwiększały się dochody pana Dobruckiego, codzień mógł staranniejsze wychowanie dzieciom zapewnić, z każdym téż dniem dzieci te kształciły się nie tylko powierzchownie ale i przymioty serca pomnażały.

Nie można ich było nie kochać, w całém sąsiedztwie jako wzór dobrych dzieci je przedstawiano. Jadwisia z natury czuła, łatwo się nad każdym nieszczęśliwym litowała, a to jest cnotą, nie wszyscy bowiem ludzie znają litość, są dzieci, co od urodzenia w ciągłym szczęściu i wygodach wychowane, nie znając biedy, ledwie kiedy na tę myśl trafią, że są ludzie nieszczęliwi, najwięcéj ci są tkliwemi na nędzę, którzy jéj sami doznali, a wiecie lube dzieci jakie koleje przeszli Jadwisia i Stefan.

Jednego dnia p. Dobrucki z swemi dziećmi pojechał dorożką na Pragę. Po spadzistym zjeździe ulicy Bednarskiéj przedstawiła się oczom ich Wisła, rodzinna rzeka nasza, którą Kochanowski *Nieubłaganą* nazwał. Jakoż ta nazwa słusznie jéj się należy, okropne jéj wylewy nie raz i nie jedną rodzinę pozbawiły mienia. Przejechawszy most znaleźli się na przedmieściu Pragskim, zkąd nasza Warszawa najmalowniéj się

przedstawia. U stóp jéj płynie Wisła mieszcząca tyle rozmaitości bawiących oko, za nią na pochyłości góry wznoszą się budynki, pałace, domki świadczące swoim kształtem że z dawnych wieków pochodzą; patrząc na te budowle noszące dawne piętno, w kończatych zwyczajem naszych naddziadów stawianych dachach, mimowolnie nasuwają się nam wspomnienia wieków przeszłych i następstwo pokoleń, kolejno zajmujących te domy, i kolejno zostawiających je innym, wyobraźnia przenosi nas w czasy upłynione, zatrważa nas lub pociesza zmienność losów ludzkich, i czujemy prawdę tych słów Dawida: „Otoś na dłoni wymierzył dni moje, a wiek ludzi jest jako nic przed Tobą.“

Pan Dobrucki zwrócił uwagę swych dzieci na troje wędrownych muzykantów. Ojciec starzec z siwą brodą niósł harfę i zdawał się jeszcze być podporą daleko młodszéj od siebie żony, która z cerą chorobliwą, budową ciała szczupłą i słabowitą opierała się na wysmukłym rosłym i z pięknem obliczem młodzieńcu, co wybujawszy jak trzcina nie długą przyszłość zapowiadał. Patrzcie, lube dzieci, rzekł p. Dobrucki to nasi współ-bracia, może nie źle grają? a chociażby i mniéj doskonale, muzyka zawsze rozwesela; mamy też jéj od niejakiego czasu podostatkiem. Przebiegają nasz kraj różni muzykanci, a nawet

pomiędzy ulicznemi znajdują się talenta skryte, bo tylko przez niemożność niewydobyte. Dawniéj tylko wielcy panowie mieli nadworne kapele, teraz każdy ogródek, każdy kącik publicznéj przechadzki ma swoją. Posłuchajmy ich, może pomiędzy nimi jaki Lipiński, jaka Bolzt się znajdzie *). Stefan dobry skrzypek, Jadwiga biegła na harfie usmiechnęli się na tę myśl ojca, lecz nie z zarozumienia, bo taka przywara godna nagany w innych, obraża dotkliwie, raczéj uśmiechnęli się na tę myśl że wejdą do pobliskiego ogródka, gdzie biedne Trio zmierzało. Ogródek Kosińskiego już był napełniony, lecz też i kilku muzykantów zająwszy przeznaczone miejsce chociaż niezgodnie, ale hucznie odgrywali: *Podróż po Europie* któréj nie jeden z przytomnych z natężoném słuchał uchem. Jadwisi przykro się zrobiło gdy spojrzała na troje wędrownych muzykantów; nieukontentowanie, zawiedzenie malowały się na ich twarzach. Widząc już miejsca zajęte niechętnie opuszczali ogródek, gdzie tyle można się było spodziewać zarobku. Kochany ojcze, rzekła Jadwisia, pojdźmy za nimi; dobrze że od nas jaką złotówkę zarobią. Chętnie drogie dziecię, odrzekł pan Dobrucki, ciesząc się że Jadwisia litościwe serce miała.

*) Słynny skrzypek, sławna harfiarka.

Gdy własnie wychodzili z podwórza, młody modniś pędząc strojnym kabryoletem potrącił biedną harfiarkę, a ta w upadku rękę wybiła. Widok przerażenia i boleści otaczających ją syna i ojca, cierpienie biednéj kobiety, łzy litości dzieciom Dobruckiego wyciskały. Młody szaleniec sprawca złego, mimo usiłowań przytomnych wstrzymujących konie jego, uciekł w galopie.

Biedna harfiarka jęczała z boleści, jéj mąż stał jak wryty, z rozpaczą w oczach, a syn przelękniony szukał pomiędzy otaczającemi wsparcia i spoglądał trwożliwie na ojca. P. Dobrucki zbliżył się do nieszczęśliwéj rodziny, zawołał dorożkarza który na niego i dzieci czekał, kazał umieścić cierpiącą harfiarkę w dorożce, a wsunąwszy kilkanaście złotych starcowi przyrzekł im swoje wsparcie. — Nie tu koniec twéj dobroci kochany ojcze, rzekły prawie wspólnie dzieci pana Dobruckiego, niech nam zostawią swą harfę i skrzypce, a ty pozwól nam, abyśmy dali koncert na prędce na korzyść biednéj rodziny.

W krótce dwa instrumenta nastrojono. Potrzykroć zabrzękło dobrze znane łagodne brzmienie. Struny ręką Jadwisi poruszane wydawały ton harmonijny i mile wtorowały dokładnemu wykonaniu Sonaty Nadermana, przez Stefana tém tkliwiéj odegranéj, że się do niéj łączyło wspomnienie matki, któréj dwoje do-

brych dzieci często ją grywali. Nie trzeba było robić kwesty, każdy wzruszony tak pięknym czynem pospieszał z powiększeniem lub podwojeniem swéj ofiary. Ogólny dochód wynosił Złp. 300. A kiedy biedna rodzina czule dziękowała dzieciom: „Nie mówcie o tém więcéj, rzekły: wszak wypełniliśmy tylko naszą powinność. Nasz ojciec jest także artystą a współ koledzy nawzajem sobie pomagać winni.“

LISTY Z PODRÓŻY

(ciąg dalszy)

LIST V.

Ołomuniec 1 *Lipca* 1840 r.

Tak często pisuję do ciebie, Wandziu kochana, że listy moje prawie dziennikiem nazwaćby można, może i niebardzo wdzięcznaś mi zato, ale trudna rada, odbierać i czytać już musisz,

choćby też przez sam wzgląd na moją radość przy zaczęciu każdego. O, wierz mi kochana Wandziu, ile razy w ciągu podróży do ciebie pisać zamyślam zaraz mi śliczny wasz wiejski domek staje na myśli, i ten ogródek twojém staraniem hodowany, i ów kasztan rozłożysty dziecięcą ręką dziadka twojego zasadzony. Nie myślał może w tenczas jak w tém jedném drzewie miłą i długą po sobie zostawi pamiątkę! Otóż pod tym kasztanem zawsze widzę siedzącą ciebie w dzień niedzielny, ja obok ciebie się znajduję; na twoich kolanach spoczywa teczka rysunkowa, w twoich rękach rączki młodszego braciszka, który z niezwykłym wyrazem zajęcia ku nam kolejno śle ciekawe spojrzenia, a ja opowiadam wam szczegóły mojéj podróży. Przy takiém złudzeniu wyobrażasz sobie jak łatwo znajduje się ochota do nowych gawędek, jak pioro szybko przesuwa po papierze, jak prędko cały list się złoży.

W sobotę zaraz po wyprawieniu listów do Królestwa, ruszyliśmy z nimi razem z Krakowa, tylko w dwie przeciwne strony, one coraz bliżéj, my coraz daléj was będziemy. Przy wyjeździe zastraszył nas deszczyk, mówię prawdziwie zastraszył, bo już myśleliśmy że nie uda nam się wycieczka na kopiec Krakusa, ale przecie łaskawe niebo wypogodziło się trochę, czyli mówiąc

po krakowsku *wesoło pojrzała Bronika* *) a my zboczywszy na wielicki gościniec, stanęliśmy na górze od znacznéj ilości znajdujących się na niéj krzemieni, *Krzemionką* zwanéj. Na jéj szczycie lud poczciwy, co zawsze dobrym panom wdzięcznym być umiał, usypał kopiec czci i pamięci Krakusa poświęcony. Kopiec ten dużo jest mniejszy od kopca Wandy córki tegoż dzielnego książęcia.

Będąc na kopcu Krakusa, to i obserwatorium Twardowskiego widzieć koniecznie potrzeba, mówił nam tatko; wszyscy z radością myśl tę przyjęli i wolno ruszyliśmy ku niemu. Od dzieciństwa słyszałam tysiące nadzwyczajnych rzeczy o tym ciekawym człowieku, a chociaż późniejsze nauki i tłumaczenia osłabiły siłę pierwszych wrażeń, i z czarnoksiężnika zrobił się tylko uczony wyższy geniuszem nad wieku swego pojęcia, jednakże zawsze z pewném uczuciem poszanowania zbliżałam się ku miejscu, gdzie niepojęty, niezrozumiany astronom uciekał od zgiełku, aby w cichości rozważać wielkie dzieła Stwórcy. Wyobraź sobie, to obserwatorium, to tylko skała wynioślejsza nad inne w wyższéj ścianie wąwozu; zimny badacz natury obojętnie spójrzałby

*) Kiedy od zachodu nad górą Stéj Bronisławy zaczną się chmury gromadzić, mówią mieszkańcy Krakowa: »Oj, coś nam się Bronika zasępiła, pewno się rozpłacze«.

na nią zdaleka, my koniecznie przybliżyć się, na szczycie stanąć zapragnęliśmy.

„Jadwiniu kto pierwszy raz około téj skały przechodzi przysięgę, Twardowskiemu składać musi“ powiedział z uśmiechem tatko, i oddalił się trochę szukając dogodnego dla nas wejścia na ścianę wąwozu. Uśmiechnęłam się także i śmiało, kilka kroków naprzód postąpiłam, jużem zupełnie zbliżyła się do tego szczególnego obserwatorium, kiedy nagle z oddali jakiś głos wymówił wolno *ja* a skała stłumionym głosem *ja* odpowiedziała, *Jadwiga* dobitnie głos się odezwał i skała ponuro *Jadwiga* powtorzyła, *przysięgam, Twardowskiemu*, któś pytał, a z wnętrza skały znowa *przysięgam, Twardowskiemu* powtórzono.

Nie dziw się Wandziu, że ja niewierząca dawnym baśniom, jakoś nagle na nie wpadłam myślą, i napół żartem, napół prawdziwie przerażona, cofnęłam się ku Mamie i Brońci, które z całą mocą wstrzymywały uśmiech, przebijający się przez udaną powagę ich twarzy. Co to jest zapytałam prędko i głośno, jest powtórzyła skała, a ja dopiero poznałam ze wstydem, że przysięga cała była żartem tatki powtórzonym przez echo.

Już z zachodzącém słońcem stanęliśmy w *Mogielanie* dla spójrzenia jeszcze raz na Kraków

zatrzymać się trzeba było przed kościołkiem tutejszym na wzgórzu wyniesionym, a wszedłszy z łatwością aż na obszerny mur cmentarza obrócić się ku wielkiemu grodowi, policzyć wznioślejsze wieże, pożegnać kopce, Bielański lasek, z bielącym się prawdziwie na tle ciemnych świerków kościołem. Długo żegnalne rzucaliśmy spojrzenia, mgła wieczorna zaczęła osłaniać przedmioty, a my ku karpatom zwróciliśmy głowy. Tu cudny przedstawił się krajobraz drobnych wśród gór rozruconych chatek, które tak wspaniale zakończają śnieżnych gór szczyty. Zachwycona myślą przesuwałam się pomiędzy górami i nareszcie zdało mi się że się znajduję na samym wierzchołku jednéj z najwyższych. Widziałam wyraźnie pod memi nogami przesuwające się przejrzyste obłoki, nad głową wisiała czarna złowieszcza chmura, a sercem na przemian okropne i miłe władało uczucie.

Nocowaliśmy w Izdebniku, drugi dzień podróży po Galicji niepogoda zaczęła, nie można było dokładnie przyjrzeć się *Wadowu*. Miasteczko *Andrychów* i wiele ładnych wiosek przejechaliśmy tylko zaledwie spójrzawszy na nie, zdziwiła mnie niemało tablica oznaczająca szyld drukarni w tém małém miasteczku.

Jako w dzień świąteczny było dosyć sposobności przyjrzenia się ubiorom galicyan, mało

się wprawdzie różnią od krakowskich,— chustki tylko zbyt wielkie, zabawnie wyglądają na głowach wieśniaczek tutejszych.

Przejeżdżaliśmy *Kenty* porządne miasto sławne urodzeniem Ś. Jana Kantego; *Białę* i *Bilnitę* dwa razem połączone miasta stanowiące granicę między Szląskiem i Galicyą. Gustownie zbudowane obadwa zdaje się stosowane do drogi bitéj, bo więcéj podłużne niż szerokie. Tu po raz pierwszy uderzył mnie widok ubioru szlązaczek. Krótkie nadzwyczaj spódniczki, bardzo fałdziste z błyszczącemi naramiennikami, szeroką kolorową oszyte wstążką; pończochy ponsowe, których przesadna długość zmniejszona sztucznie ułożonemi marszczkami, koszule pięknie haftowane kolorowym jedwabiem. Kobiety zwykle dobréj tuszy, a przynajmniéj takiemi je przedstawia niezmiernie krótki staniczek, dziewczęta z krótkiemi chodzą rękawkami i odkrytą zazwyczaj głową; mężatki szczupłe czepeczki zawieszają ogromnemi chustkami zdobnemi koronką i haftem. Strój mężczyzn lekki i zgrabny podobał mi się, a twarze i postać szlązaków jakiś uroczy mają powab.

Począwszy od samego Podgórza wszędzie kraj piękny i górzysty — jedzie się jakby szerokim wąwozem przez zielone częste pagórki, wyglądają gdzie nie gdzie mroźne karpaty jakby roz-

wijający się kwiat roślin chciały już straszyć zimy obrazem.

Niedojeżdzając do *Skotscha* widziałam wąziutką Wisłę, jeszcze tak blisko rodzinnego źródła zdaje się że swobodniéj i prędzéj płynie. *Teschen* (Cieszyn) piękne miasto nad Elią, szkoda że widząc go tylko w przejeździe nie można nic obszerniéj o niém powiedzieć a pewno wielebym ciekawych znalazła rzeczy.

Bardzo mi się podobał Szląsk i Szlązacy, kraj piękny — lud ochoczy, przyjazny jakże się nie ma podobać? a przytém w ich gościnnéj usłudze, taka przemawia szczerość że mimowolnie kochać ich trzeba.

Zdarzyło nam się słyszeć ziemianina tutejszego rozmowę polską, kiedy okazano z tego powodu zdziwienie, „jak to zawołał urażony alboż my to niemcy?“ odpowiedź i ton jego głosu tyle wzbudziły we mnie zajęcia że przyłączywszy się do mówiących, wszczęłam gawędkę o dawnych czasach, o familji Piastów — wieśniak słuchał z uwagą, odzywał się czasem, a z tego co powiedział widać było, że to wszystko niebyło mu zupełnie obce; i oni mają swoją chistorję — podawaną tradycyą, ale zapewne w sercu przechowaną — bo niezbyt ćwiczona pamięć tak wiernieby obojętnych podań zachować nie mogła.

Między *Friedeck* i *Misnich* dwoma połączone-

mi miastami przejechaliśmy granicę Morawji jeszcze wczoraj— *Frejberg* porządne miasto— obok *Nastechejn* jest wysoka góra na niéj rozwaliny Zamczyska nazwisko nosi *Alttechejn* bardzobym była rada wejść na sam wierzch góry, niepogoda przeszkodziła— obiadowaliśmy w *Weiskirchen*, tu czytałam na oknie napis polski.

Lud Morawski ubiorem więcéj się zbliża do naszego niż szlązacy — chustki na głowach kobiet tworzą szerokie około twarzy wachlarze— pięknie jest w takim ubiorze młodym i rumianym dziewczętom. Morawianie odznaczają się wielką pobożnością— każde z ich miast i wiosek musi mieć kościół i kilka pomników religijnych— na wielu domach wyobrażenia z historji świętéj— wśród pola kaplice, na drzewach obrazy świętych.— Kwiaty lubią— każdy dom prawie zdobić niemi muszą— mężczyźni nawet zatykają je za przepaskę od kapelusza.— Dużo tu widziałam *kaktusów* nie wiem dla czego ten kwiat tak jest lubiony, kwiat niemający żadnéj wartości, bez woni, bez kształtu który zachwyca tylko chwilę pozornym wdziękiem jak piękność ciała bez przymiotów duszy.

Ołomuniec forteca opasana murem nad rzeką Morawą, na któréj brzegach wzniesiony bulwark i długa cienista wyprowadzona alea. Rynek obszerny w środku ratusz dosyć zaniedbany, ale

za to pięknie ozdobna kaplica na cześć S. Trójcy wznosi się wspaniale pomiędzy ratuszem i domami mieszkalnemi — cała z ciosowego kamienia ze świecącemi brązami i piękną rzeźbiarską robotą. — W Ołomuńcu jak we wszystkich dotąd przebytych miastach prawie niema studni, a przynajmniéj widzieć mi się ich nie zdarzyło, tylko na publicznych placach wznoszą się piękne ukształcone wytryski (fontaines), porządnie do nich wymurowane miednice zatrzymują wodę czystą i świeżą, którą z wielką czerpiąc łatwością morawianki w dużych zamkniętych naczyniach przywięiują na plecach, a dobrym podziałem siły ciężkości umniejszają sobie ciężaru. — Są tu sklepy obszerne — i kilka wielkich kawiarni — wśród lata męczyzni piją kawę na ulicy pod wystawą, czytają gazety, palą fajki — jak to dla nas zabawnie się wydawało!

Widziałam katedrę Ołomuńca; duży gmach i wspaniały chociaż nieprzesycony ozdobami — długością wewnętrzną równa się kościołowi Panny Marji w Krakowie — wielki ołtarz bardzo skromny jakby odpowiedni życiu Chrystusa którego wyobrażenie na krzyżu bronzowym całą jest jego ozdobą. Scianę przeznaczoną na ołtarz okrywa adamaszkowy axamit długo wyniesiony w górę gdzie kończy go wystawa w kształcie baldachinu Niedochodząc wielkiego ołtarza po prawéj ręce

znajduje się nagrobek *Marka* biskupa Ołomunieckiego zmarłego w 1565 r. obok niego drugi pomnik z marmuru czerwonego. Na nim dwóch książąt zapewne, jak sądzę po ich mitrach w rycerskiéj zbroi, na tarczach orły morawskie—twarze bardzo podobnych rysów, tylko wieku różnica widzieć się dawała. Ciekawam była bardzo historyi tego pomnika, ciekawa może bardziej jeszcze dla tego że kobieta oprowadzająca nas po kościele całą wymową swego języka z pomocą niemczyzny dowodziła mi że to są dwaj rycerze, ale o ich nazwisku nikt niewie i wiedzieć nie może bo to było bardzo dawno *). Widziałam i pałac Arcybiskupa—mówiono mi o jego znaczeniu i wojsku które narodową ubiera barwą, ale naten czas nie było go w Ołomuńcu, odwiedziłam śliczny na tarasie obok pałacu ogrodek, maleńki wprawdzie jednak zachwycający, jest w nim dwa wytryski jeden naprzeciw środkowych okien mieszkania, drugi wychodzący wsród klatki chowanych ptaszków, ocienionéj cyprysami.

Wieczorem po dziewiątéj godzinie na starym rynku z trzech pułków muzyka przy rzęsistem

---

*) Był to jak dowiedziałam się później pomnik Wacława Króla Czeskiego i Polskiego oraz jego syna tegoż imienia.

swietle pochodni żegnała swego Jenerała, Wiezain, oddalającego się do pułków pozostających we Włoszech. Wielki to był dowód przywiązania podwładnych, rozczulające tony zdaje się jakby swieżo stworzone dla wydania całéj mocy żalu, ozwały się najprzód cicho, pojedynczo, potem wznosiły się i łączyły stopniowo, nareszcie zabrzmiały razem jedną harmonją, okropną, dziką, i wydały się uchu jak gdyby nagłe przejście z cichego cierpienia do nieznającéj granic rozpaczy.

W. T.

POWRÓT WUJA

KOMEDYJA.

OSOBY.

PANI RUSIŃSKA wdowa
ZOSIA jéj córka
MARYNIA jéj siostrzenica sierota
PAN KIZIŃSKI stary kawaler brat pani Rusińskiéj
TEKLUSIA pokojowa
JĘDRZEJ lokaj
KILKORO DZIECI.

Scena I.

ZOSIA I MARYNIA *(siedzą u stolika okrytego różnemi książkami).*

ZOSIA:

Czyś już skończyła zadane tłumaczenie?

MARYNIA *(wstając).*

Oto jest! spodziewam się że pan Dumont będzie ze mnie kontent; bo też lubię *lui faire plaisir*, to taki aimable człowiek; a ty Zosiu co robisz?

ZOSIA.

Piszę do mego brata Zygmunta. Czy ja ci czytałam ostatni list jego?

MARYNIA.

Ten co pisał po swym przybyciu do Paryża? nie jeszcze, chętniebym tenże słyszała,— szczęśliwy Zygmunt! jak mu tam miło być musi!

ZOSIA*(wstając).*

Oto jest słuchaj „Od miesiąca przybyliśmy tu z Włoch kochana Zosiu, i ledwie dziś mogłem znaleść wolną godzinę aby ci donieść o mojém zdrowiu i zatrudnieniach; kochany nasz wuj obrał mi stancyę dogodną, i to szczęściem u niejakiego pana Sławińskiego naszego rodaka, któren osiadłszy tutaj tyle zdolności pokazał, że go umie-

szczono jako nauczyciela w liceum Napoleońskiem. Jego żona także polka, nie uwierzysz kochana Zosiu jakie uczucie sprawia mowa rodowita gdy się mieszka w obcym kraju: widzę jak na to Marynia ramionami wzruszy, ona co tak przekłada język francuzki nad własny — lecz jeżeli ją kiedy los zaprowadzi między cudzoziemców, przekona się ile mowa rodowita miło brzmi w oddaleniu. Większa część dnia schodzi mi tu na naukach, a w wolnych godzinach oprowadza mię łaskawy nasz wuj po mieście, i wszelkie ozdoby i ciekawości téj stolicy cywilizowanego świata pokazuje; — głowa by ci się zawróciła kochana Zosiu na widok tych bogatych sklepów, tych wystawnych domów, gdzie się obrócić cóś nowego, cóś zajmującego — ale wierz mi siostro, Paryż pierwszego tygodnia mię zajął, drugiego zadziwiał, a teraz chętniebym go opuścił dla naszego miłego Rusinowa; ale kiedy mama i wuj inaczéj zarządzili więc tu zostać muszę; twoje listy pocieszać mię będą, opisuj dokładnie co robicie, czym i jak się bawicie, proś Maryni aby dla méj przyjaźni lekcji pana Kurskiego niezaniedbywała, i aby się czasem do twoich listów dopisywała.

MARYNIA.

Jaki ten Zygmunt nudny z tą polszczyzną swoją, to tylko fanfaronada aby się od ogółu odróżnić;

wuj gdy wróci z zagranicy inszego będzie zdania: ale à propos, trzeba by kończyć nasze roboty dla niego.

ZOSIA.

Ja czapeczkę już podszywam *(szyje koło czapeczki)*.

MARYNIA.

To mi pomożesz, bo ja tę nieszczęsną sakiewkę ani mogę skończyć.

ZOSIA.

Dajże ją, mam czas teraz, pan Dumont nieprzyjdzie aż za godzinę.

Scena II.

TEKLUSIA *(też same)*

TEKLUSIA.

Pani mię do panienek przysyła, abyście nieszły do swego ogródka, lecz tu na panią czekały,—pani list odebrała, mnie się zdaje że od pana Kizinskiego.

ZOSIA.

Może kochany wuj wkrótce wróci i przywiezie nam listy od Zygmunta.

MARYNIA.

A o Paryżu ile nam nagada!

TEKLUSIA.

A wiele prezentów panienkom przywiezie! dobrze to mieć takiego opiekuna.

ZOSIA.

On ile możności zastępuje straconego ojca, jednakże jakkolwiek bądź smutno być sierotą.

MARYNIA *(smutno)*

Ty Zosiu masz przynajmniéj matkę, ale ja to prawdziwą jestem sierotą; biednego ojca mego mało co i zapamiętam; Teklusiu czy ty go nie znałaś.

TEKLUSIA.

I owszem, i panienki ojca i pana Rusińskiego znałam, dobrzy to byli i miłosierni panowie; nigdy ubogi z próżnemi rękami od nich nie odchodził; ale oto pani idzie! ***otwiera drzwi i odchodzi.***

Scena III.

PANI RUSIŃSKA *(z listem w ręku)*

Z O S I A. *(całując jéj rękę)*

Kochana mamo!

MARYNIA. *(caluje ją)*

Chére tante!

P. R U S I Ń S K A.

Kochane dzieci, przychodzę do was z dobrą nowiną, brat mój pisze z Wiednia; wraca do nas, w krótce tu przybędzie, kończcie więc wasze roboty, i przygotujcie się na ostry examin.

Z O S I A.

Wcale się mamo nie obawiam, wuj tak łagodny, tak nas kocha.

P. R U S I Ń S K A.

Tém bardziéj trzeba się starać, aby na jego względy zasługiwać, *(siada)* a teraz zdajcież mi dzieci sprawę z waszych dzisiejszych zatrudnień.

M A R Y N I A.

Ja tłumaczyłam na francuzkie,— wyrysowałam ten kwiatek, i nauczyłam się wierszy Lamartina ***Hymne d'un Enfant à son reveil.***

ZOSIA.

Ja mamo rysowałam zamek Krakowski, pisałam do Zygmónta, i uczyłam się Historyi.

P. RUSIŃSKA.

Zawsze to samo! Marysia zaniedbuje dzieje własnego kraju dla obcych, a ty Zosiu obawiam się abyś błędu przeciwnego nie popełniła.— Pięknie to jest swój kraj i jezyk nad insze przekładać, nie trzeba jednak i cudzemi wzgardzać, bo i te nam bardzo potrzebne być mogą tak dla nauki, jak i dla przyjemności.

ZOSIA.

Bądź spokojną mamo, p. Dumont ze mnie kontent, i właśnie wczoraj pochwalił, moją ortografię i sposób pisania.

MARYNIA.

Co do mnie to się przyznaję, że przekładam język francuzki, kto raz zakosztował *w Racinie w Lamartinie i w Lafontainie* temu trudno przychodzi czytać twarde nasze wiersze.

P. RUSIŃSRA.

Bardzo mnie martwi kochana Maryniu ten twój sposób myślenia, nauczyłaś się wzgardzać wszystkiém co jest własne, zwyczaje nasze zdają

ci się naganne a język twardy. I ja znam inne języki, i lubię czytać obcych autorów, lecz nigdy nie zrozumiem jak można przekładać *Lafontaina* nad *Krasickiego*, *Moliera* nad *Fredrę*. Ale dosyć o tém, gdy z nami dłużéj w Rusinowie zabawisz, mam nadzieję że twe przesądy porzucisz; teraz staraycie się obie aby jaką zabawę wujowi przygotować.

Z O S I A.

Ja myślę uwić wianki, ubrać niémi bramę tryumfalną i nad bramą stosowne wiersze ułożyć.

Scena IV.

JĘDRZEJ *(spiesznie wchodzi)*.

J Ę D R Z E J.

Otóż i jedzie pan Kiziński — w ulicy widziałem pojazd z pocztowemi końmi.

P. R U S I Ń S K A.

Niceśmy nie przygotowali na jego przyjęcie!

Jędrzeju, idź przewietrzyć gościnne pokoje; potém okna pozamykaj i każ dawać herbatę.

Scena V.

P. RUSIŃSKA, ZOSIA, MARYNIA i P. KIZIŃSKI *(po podróżnemu).*

P. RUSIŃSKA.

Kochany bracie! (rzuca się w jego objęcie Zosia i Marynia całują jego ręce)

P. KIZIŃSKI.

No! dobrze mi pani siostra wygląda, siostrzenice wyrosły, dalibóg ładne panienki; po tak długiém oddaleniu jakże mi miło znaleść się w gronie rodzinném — i cóż tu słychać?

P. RUSIŃSKA.

Nic szczególnego, Marynia podług twego życzenia już od sześciu miesięcy z nami się znajduje.

P. KIZIŃSKI.

Dobrześ siostra zrobiła, dziewczęta zawsze pod okiem matki, a gdy ją stracą przy boku najbliższéj

krewnéj, wychowane być powinny, nie dosyć bowiem rozum kształcić, trzeba i o sercu myśleć.

P. RUSIŃSKA.

Nadjechałeś nam niespodzianie kochany bracie, nie przygotowałam nic na twoje przyjęcie, pozwól bym wyszła urządzić twoje mieszkanie, wczoraj dopiero malarz robotę ukończył.

Scena VI.

CIŻ SAMI *prócz P. Rusińskiéj.*

ZOSIA.

Może wuj dobrodziéj siądzie *(przystawia krzesło. P. Kiziński siada).*

(MARYNIA *przynosi sakiewki niedokończone)*

Oto są sakiewki którem dla Wuja zrobiła, mais vôtre arrrivée subite m'empécha de finir mon ouvrage.

ZOSIA. *(podaje czapeczkę)*

Oto jest moja czapeczka, racz ją wujaszek spróbować.

P. KIZIŃSKI.

I ja o was niezapomniałem; mam ja ładne fraszki z Paryża, ale nie dam tak łatwo, trzeba mi się pierwéj z waszych postępów popisywać; od roku wyjechałem, musicie już dobrze grać, oto jest przysłany przezemnie fortepian Erarta, Zosiu jako starsza siadaj.

ZOSIA.

A co wujaszek grać każe? warjacje, czy rondo, uwerturę lub trio?

P. KIZIŃSKI.

Oto zagraj mi ładnego mazura, dosyć się już nasłuchałem sztucznéj muzyki.

ZOSIA. *(gra mazura P. Kiziński nuci wesoło)* Zosia wstaje *(P. Kizinski ją całuje)*.

P. KIZIŃSKI.

Dobrze Zosiu, dobrze, wygrałaś zegarek; teraz na ciebie Marysiu koléj, zagraj mi wesołego krakowiaka.

MARYSIA.

Pardon mon oncle! nie grywam tańców; metr mój niepozwala mi tak lekkich rzeczy wygrywać, ale gram za to różne ładne kawałki, ***Belinie-***

go, *Herza*, *Donizettego*, a nawet i *Onzlowa;* którego z tych autorów wujaszek przekłada?

P. KIZIŃSKI.

Może grasz Szopena!

MARYSIA.

Mam jego warjacje, ale te są zatrudne, oto jest bardzo ładny kawałek z opery *Krzyżaki* (gra).

P. KIZIŃSKI. *(wstaje)*

Dosyć Maryniu! widzę że obie macie talent do muzyki, ale jeżeli chcecie czasem ucieszyć starego wuja, to obok *Onzlowa* grywajcie i nasze wesołe mazury i krakowiaki.

Scena VII.

TEKLUSIA. *(drzwi roztwiera i pokazuje wieńce)*

ZOSIA.

Mama nas potrzebuje, może sobie wujaszek zechce spocząć, my zaraz wrócimy.

Scena VIII.

P. KIZIŃSKI SAM.

P. KIZIŃSKI *(zapala cygaro i chodzi).*

Miłe obie, lecz szkoda Maryni— nagle ją opanował szał francuzczyzny— muszę ja to zawczasu wykorzenić— a to by mi była piękna obywatelka!— piękna gospodyni; cóżby na wsi robiła? znudziłaby się na wieki. Oj bieda to bieda z tém modném wychowaniem! Ale coż to słyszę? pewno chcą mi niespodzianą radość sprawić— (śpiew się co raz zbliża, drzwi się otwierają).

Scena IX.

ZOSIA MARYNIA TEKLUSIA *i kilka innych dziewcząt w białych sukniach z niebieskiemi przepaskami trzymając girlandy otaczają pana Kizińskiego śpiewając.*

Witaj gościu ukochany
Oddawna oczekiwany,
Witaj wprogach Rusinowa!
Tu sieroty, smutna wdowa
Opieki twojéj wzywają
W tobie nadzieję składają.

MARYNIA *(wychodzi na przód i recytuje te wiersze).*

Mon chér oncle en ce beau jour
Recevez je vous prie les voeux de mon amour,
Car il me parait aujourd'hui plus facile
De vous exprimer mes pensées dociles,
Je vais toujours tacher, mon cher oncle de vous plaire
Rien ne m'est plus doux que de vous satisfaire.

Wszystkie dziewczynki tańcują, powtarzając pierwszą zwrotkę.

ZOSIA *(występuje i mówi).*

W dzień wszystkim tak miły
Ma muza nieśmiała,
Pragnie nabyć siły
By tobie śpiewała;
Czyjeżby pochwały
Zaszczytniéj tu brzmiały,
Jak tego co trwale
Wspiera dzieci małe;
W miarę więc zasługi
Pędź życia bieg długi
My wdzięczne i tkliwe
Życzém ci byś trawił,
Dnie równie szczęśliwe
Ile są cnotliwe *).

---

*) — **Wiersze w tej komedyjce były napisane przez 9 letnią A, K**

(Dziewczynki znowu tańcują śpiewając pierwszą zwrotkę, Jędrzéj wchodzi z dużą szkatułką — dziewczęta odchodzą — prócz Maryni i Zosi).

JĘDRZÉJ.

Oto szkatułka którąś pan przynieść kazał gdy rzeczy odpakują.

P. KIZIŃSKI.

Postaw ją na stole — (Jędrzéj odchodzi). Dziękuję wam kochane dzieci, prawdziweście mi ukontentowanie sprawiły, przyjmując mię tak serdecznie i tkliwie, muszę wam się choć w części wywdzięczyć! — a najpierw oddaję wam przysłane od Zygmunta upominki — dla ciebie Zosiu jego portret (daje go jéj) — dla ciebie Maryniu tę książkę, jest to zbiór pieśni w ładnéj paryzkiéj oprawie; czytaj je Maryniu nabędziesz może ochoty do ojczystego języka.... Ja każdéj z was przywiózłem zegarek i bransoletki — tobie Zosiu oddaję wszystko boś na to zasłużyła (daje jéj) ty Maryniu dostaniesz tylko bransoletki, zegarek zaś aż mi zagrasz skoczno mazura i odzwyczaisz się od mieszania języka francuzkiego z polskim.

ZOSIA *(całując P. Kizińskiego).*

Jakże podziękować potrafię kochanemu wujaszkowi — jakże mą wdzięczność wyrażę — Ma-

ryniu nie smuć się, ucałuj wuja, on ci przebaczy; (do P. Kizińskiego) wszak to nie jéj wina, wina to modnego wychowania, ona się poprawi, ręczę za nią!

P. KIZIŃSKI.

Kiedy tak mówisz Zosiu więc i zegarek oddaję Maryni, (zawiesza go na jéj szyi) przekonany bowiem jestem że ta mała nauka dostatecznie ją uleczy.

MARYSIA *(rzuca się w objęcie P. Kizińskiego).*

O! na zawsze, na zawsze! odtąd starać się będę godnie nosić imie polki, i zasługiwać na twą łaskę i dobroć kochany wuju.

Henryka K.

JAN WŁASTIMIÉRZ SWOBODA.

„Dopuśćcie dziatkom przychodzić do mnie a nie zabraniajcie im, albowiem takowych jest Królestwo Boże“ Tak powiedział Chrystus.— A więc opie-

kować się dziecinnym niewinnym wiekiem, jest to swięty, wielki obowiązek. Ludzie sumiennie i z zamiłowaniem poswięcający się wychowaniu dziatek, zasługują na wielki szacunek i cześć ze strony przyjaciół ludzkości, szczególniéj zaś, jeżeli ich opiece powierzone są ubogie i osierociałe dzieciny.

Chcę uczynić dla czytelników *Zorzy* wzmiankę o Janie Włastimiérzu Swobodzie, który już znany jest polskiéj publiczności ze swego dzieła przełożonego po polsku przez p. Nowosielskiego: *Wykład praktyczny prowadzenia dzieci małych w ochronie.*— Czech Jan Włastimiérz Swoboda odznaczył się nie tylko jako wyborny nauczyciel małych dzieci, lecz jako autor dzieła wyżéj wspomnionego, i innych. Jan Włastimirz Swoboda urodził się 9 Maja 1800 w Horzepnicy w Taborsku, (w Czechach). Skończywszy kurs filozofii w Pradze, a teologii w Cielowcu (Klagenfurt), powrócił w 1826 r. do swojego kraju. Zostawał przy głównéj farnéj szkole kościoła Sw: Mikołaja (w Pradze), potem zaś od r. 1832 urządziwszy pierwszą ochronę małych dzieci na Hradku, w Pradze, objął kierunek całego zakładu.

Swoboda, prócz tego zaszczytnie znany jest ze zbioru swoich pieśni, razem z muzyką wy-

danych w Pradze, w r. 1836, na korzyść ochrony małych dzieci, na Hradku.

Zbiór ten zawiera 30 pieśni tchnących pobożnością, i że tak powiem głęboko wyrażających niewinne, prostoduszne uczucia małych dzieci. Są to pieśni aniołów. Będąc w Pradze miałem przyjemność słyszeć niektóre z nich: trudno określić uczucia, które wtedy cisną się do duszy. Zbiór ten przyniósł wiele korzyści nie tylko ochronie, lecz i innym małym szkółkom w Pradze. Życzyć należy, ażeby kto je przetłomaczył po polsku.— Słyszałem także, że p. Swoboda ma w rękopismie ułożone przez siebie modlitwy dla małych dzieci.

Czesi słusznie szczycą się tym szanownym mężem, który tak gorliwie poświęca się dla dobra młodego pokolenia swoich rodaków.

Dubrowski.

Przypisek.

Jan Swoboda słodkiego i łagodnego charakteru z natury, małomówny, cierpliwy, wykształcił te przymioty do wysokiego stopnia będąc przez czas niejaki nauczycielem instytutu głuchoniemych w Pradze.— Szacunek powszechny jaki sobie zjednał wypełnianiem ścisłém przyjętych obowiązków, sprawił to, że kiedy komitet zło-

żony z obywateli pragnących założyć w Czechach ochrony dla małych dziatek, szukał męża któremu by tak ważne poruczyć dzieło, wybór padł na Swobodę.— W miesiącu więc kwietniu 1831 r. wysłano go do Wiednia, dla zwiedzenia istniejących już w tém mieście ochron.— Zacny przyjaciel dzieci przyjął chętnie to zlecenie, przypatrzył się pilnie wiedeńskim zakładom, a wróciwszy do Pragi zajął się urządzeniem pierwszéj ochrony na Hradku, udoskonalił ją własnémi spostrzeżeniami, i tam to, pod jego kierunkiem ukształciło się kilku nauczycieli ochron, którzy już to w saméj Pradze, już na prowincjach, już nakoniec w postronnych krajach zajmują się z pożytkiem prowadzeniem małych dzieci.

Jakże to miły i budujący widok, kiedy człowiek wyższémi obdarzony zdolnościami, człowiek mogący w naukowym zawodzie walczyć o pierwszeństwo z wsławionemi mężami, poświęca czas swój i pracę maleńkim dziatkom, i to najczęściéj dziatkom prostych, ubogich rodziców; kiedy zamiast rozwijać i doskonalić ku podziwieniu świata trudną jaką umiejętność, przemyśla nad środkami któremiby łatwiéj rozwinąć młode umysły, udoskonalić dobre skłonności, wrodzone tym małym, niewinnym serduszkom. Takim jest Swoboda w ochronie; powolny, cierpliwy, niezraża się długą, a czasem bezowocną pracą; nagradza, chwali

choćby najdrobniejsze usiłowanie swych uczni, zachęca niedbałych, złe skłonności wykorzenia dobrym przykładem, słowem, kształci to młode pokolenie jak najtroskliwszy ojciec; mówimy to bez przesady, bo i własnych jego dzieci pierwsze wychowanie odbywa się w ochronie.

Domowe życie Jana Swobody równie jest przykładném i pożyteczném. Najczulszy syn dla sędziwéj matki, cnotliwy mąż, dobry ojciec, przy zatrudnieniach swojego stanu dość jeszcze ma czasu by licznym przyjaciołom, już radą, już przysługą, już wreszcie prostą pamięci oznaką, za życzliwość się odpłacać.

Obok codziennego zajęcia w ochronie, Swoboda nie zaniedbuje wyższych jeszcze celów; uznawszy iż dziatki wychodząc z ochrony potrzebują równie starannego lecz wyższego ukształcenia, wszystkie siły swoje zwrócił do tego, by wprowadzić zbawienne zmiany do kościelnych i parafialnych szkółek; — lecz próżne były usiłowania jego; osoby do których się udawał, przyznając słuszność uwagom jego, nie chciały wszelako przedsiębrać tak ważnego i rozległego dzieła. Zrazu więc próżnémi obietnicami, a w końcu zupełną obojętnością zrażony Swododa, widząc ziszczenie szlachetnych życzeń swoich coraz dalszém i niepodobniéjszém chciał przynajmniéj tyle działać ile w jego było mocy. — Wydał jedno

po drugiém, trzy dziełka dla dzieci; *Maly cytatel*, (mały czytelnik) *Maly pisar*, (mały pisarz) i *Maly nemiec*, lecz gdy przełożeni szkółek do dawnéj metody przywykli niechętnie używali dziełek tych, przeznaczonych ku starannemu rozwijaniu młodych umysłów, Swoboda nie mógł znieść obojętnie tylu przeszkód w chwalebnym celu, i postanowił przenieść się do Polski, w nadziei, że tu praca i dobre jego chęci godniéj ocenionemi zostaną.

Oto wyjątek z listu, pisanego przed ośmnastu miesiącami do jednego z przyjaciół, mieszkającego w Warszawie.

......„Prócz tego, prawdziwy pożytek zakładu naszego, niknie wraz z chwilą przejścia wychowanków do szkół parafijalnych, bo tam jeszcze nauczyciele staremu mechanizmowi hołdują. — Mamże na taką stratę czasu i pracy patrzéć obojętnie?... Tak dobry przyjacielu! postanowiłem, jeżeli Warszawianie zechcą mnie użyć jako nauczyciela lubéj młodzieży swojéj, przenieść się do Warszawy duszą i ciałem, i tam byt mój i familji mojéj na przyszłość ubezpieczyć. Tam dopiéro mógłbym okazać, jak młodzież po przejściu z ochron do innych szkół metodycznie, i w tym samym duchu prowadzoną być powinna. Pisz zatém do mnie spiesznie, co, jak, i kiedy? a ja będę gotowym.— Bo czyż i w Polsce nie będę mógł pracować?.. Wszakże Polacy są naj-

serdeczniejszemi braćmi naszémi, a co do polskiéj mowy, téj przy boskiéj pomocy wkrótce się wyuczyć spodziewam.“

Zdrowie Swobody nadwerężone pracą i zmartwieniem, uległo ciągłym niepokojom; ciężka dziewięciomiesięczna choroba zawiesiła działalność jego.— Czy ta, czy inna jaka przyczyna wstrzymała przybycie jego do nas—niewiem, lecz pewną jestem że każdy, umiejący cenić prawdziwą zasługę, choć z daleka, wypłaca szanownemu mężowi winny hołd czci i poważania.

P. K.

DO DZIECIĘCIA.

Czy wiesz ile gwiazdek
Na tle nieba błyska?
O! Bóg je policzył
I dał im nazwiska.

Wiesz ile obłoczków
Po nad ziemią płynie?
O! Bóg je policzył
Żaden mu nie zginie.

Wiesz ile robaczków
Krąży w słońca blasku?
Ile rybek w wodzie?
Ile w morzu piasku?

Pan Bóg je policzył
O dziecinko droga!
Każda jest w opiece
U dobrego Boga.

Czy wiesz ile dziatek
Z łóżeczek powstaje,
I w tkliwych modlitwach
Bogu cześć oddaje?

O! Bóg je policzył,
Ty staniesz w ich rzędzie,
Jeźli twe serduszko
Wielbić Boga będzie.

Stanisław Jachowicz.

JEZUS I DZIECI.

Już zmrok wieczorny szarawym cieniem
Swiętego miasta *) mury otoczył,
Gdy Jezus— strudzon dziennèm uczeniem,
Przed mnogim tłumem na stronę zboczył.
Siedział i myślał: myślał o niebie,
Z którego zstąpił aby ludzi zbawić,
Myślał o Ojcu— któremu siebie,
I swą krew wszystką w ofiarze miał stawić.

W tém kilka świętych matek, zbliża się do Niego,
I prowadzą dziateczki: jedna dwoje— troje,
I proszą Go nieśmiałe: by zlał na nich swoje,
Swięte błogosławieństwo. Lecz uczniowie Jego,
Widząc jak zmordowany, matki odpędzali,
I drobniutkim dzieciątkom iść precz rozkazali,

*) Jerozolima.

A matki zlęknione, i dzieci zlęknione
Drżąc— odchodziły na stronę.
Lecz Jezus je trzazymał; i pieszcząc dzieciny
Z niebiańską łagodnością te rzekł uczniom słowa:
„Pozwólcie! niech maluczcy do mnie przystęp mają,
Gdyż mówię wam: ci nieba uciech nie doznają,
Którzy jak one nie będą bez winy.“

Ed. Bogusławski.

ANIOŁ STRÓŻ.

Dzieci! tam w górze wysoko,
Gdzie niedojrzy człeka oko,
Mieszka Anioł, wasz obrońca,
Mieszka w pięknych stronach nieba,
Tam: gdzie radość jest bez konca,
Gdzie płakać.... cierpieć nietrzeba.
Ah! ztąd on kochane dzieci,
Na skrzydełkach do was leci!

Leci do was — aby chronił
Od występków wiek dziecinny,
By swą strażą was osłonił,
A potém przeniósł w świat inny.

Radujcie się drogie dzieci!
Gdyż Aniołek zawsze z wami;
On to w sercach waszych nieci
Piękne cnoty, miłość wiary,
On to z waszemi modłami
Wzlata w nadziemskie sklepienia,
I składa je na ofiary,
Bogu wszelkiego stworzenia.

On też wam wskaże drogę do nieba,
Tylko go słuchać z nim iść potrzeba.

Ed. Bogusławski.



JAŁMUŻNA.

O jakże litość cnotą jest nadobną!
Patrz, moie dziecię, za jałmużnę drobną,
Co wsparła tego biednego niedolę,
Jaka radość i szczęście błyszczą mu na czole!

Słuchaj:— modli się:— roni łzę radości
Widząc, że twoje lica tak rumiane
Powłóczy smutek,— że już się litości
Otwiera serce twoje młodociane.

Czy widzisz? on cię kocha, błogosławi, prosi
Opatrzność, żeby nad tobą czuwała;
By to, co twoja ręka mu przynosi,
Chroniąc ciebie od złego, stokroć ci oddała.

Rozważ, jak mało tym biednym potrzeba!
Jak łatwo sercu jest uczynić zadość:
Mała jałmużna, mały kęsek chleba,
Skoro dany bez żółci, już im sprawia radość.

O dziecię moje! nigdy nieomijaj
Biednego! nieszczędź mu twoich pieniędzy:
Szukaj go, wspieraj, z serca mu sprzyjaj,
Największém szczęściem jest wspieranie nędzy.

Tak jest, szczęściem największém, rzetelném, a przecie
Do otrzymania najłatwiéjszém w świecie.
Znajdziesz je, pewno, w téj boskiéj iskierce,
Która z dzieciństwa będąc roznieconą,
Późniéj, bliźnich miłością zapali twe serce
I sprawi starość błogosławioną.

Wład. Miniewski.

BUCIK

CZERWONY I CZARNY.

Żal mi ciebie, czarnemu rzekł bucik czerwony,
Żeś nie z takiéj skóreczki, jakto ja zrobiony,

I któż na ciebie spójrzy? kto ciebie nabędzie?
Gdy mój kolor tymczasem wszędzie błyszczéć będzie.
Lecz kto pożyteczniéjszy? czarny powie na to,
Gdy ty służysz na tydzień, ja na całe lato.

Wincentyna T.

STRACH.

— Ludwisiu! przynieś mi téż kłębuszek z bawełną co w drugim pokoju leży na stole.

Tak raz mówiła matka do córeczki.

— Nie przyniosę mamuuiu! odpowie Ludwisia, bo tam ciemno.

— Cóż z tąd? przecież i bez światła trafisz do dużego stołu, co stoi na środku.

— Trafię mamo kòchana, ale ja się boję iść tam gdzie ciemno.

— A to czego? nie wiesz-że to iż Bóg jest w każdém miejscu? że nawet w ciemnościach pa-

trzy na ciebie, i że kiedy on nie zechce nic ci się złego nie stanie?

— Wiem ja to wszystko; ale wiem także że gdzie ciemno tam strachy chodzą, a ja ich się bardzo boję.

— Cóż to za strachy?

— Nie widziałam ich nigdy, ale to musi być cóś okropnego, bo jak sobie pomyślę o nich, to mi serce bije, puk puk puk, o! i teraz przyłóż tu mamo rękę...

— Otóż widzisz Ludwisiu, że ten strach jest w tobie; strach to nie jest rzecz taka żeby ją widzieć można, ale jak sama powiadasz czuje się strach w sercu.

— Jakto mamo?

— Kiedy pomyślisz o czém okropném, boisz się i serce ci bije, ta bojaźń jest to strach; — żeby nas strach nie napadał, nie trzeba myśleć o brzydkich i przerażających rzeczach, a jeżeli przypadkiem co okropnego zobaczymy, nie lękać się, ale sobie pomyśleć— Bóg na mnie patrzy, a aniołek mnie strzeże.

— To się mamo nigdy a nigdy bać nie trzeba?

— Kto ma rozum, wtedy się tylko boi, kiedy widzi prawdziwe niebezpieczeństwo.

— A ty się boisz czasem?

— I ja się boję: pamiętasz, niedawno, kiedyś pomimo mojego zakazu weszła na ławkę co to

w ogrodzie nad samą wodą stoi, i ja nagle na to nadeszłam, był to dla mnie strach prawdziwy, bo wiedziałam że jeżeli się zsuniesz, możesz wpaść w wodę i utonąć.

— To ja byłam twoim strachem mamuniu?

— Tak moje dziecię; i mnie wtenczas tak serce biło, jak tobie bije kiedy myślisz że co strasznego zobaczysz.— Rozumiesz - że teraz Ludwisiu że strachy żadne nie chodzą po ciemnych pokojach?

— Rozumiem mamo! Bóg mnie widzi, a aniołek mię strzeże! — i to mówiąc Ludwisia poskoczyła do drzwi, i przyniosła mamie kłębuszek z bawełną.

P. K.

OBIAD

PIĘCIOGROSZOWY.

Komu w samo południe zdarzyło się przechodzić z ulicy Bednarskiéj ku Bernardynom, widział zapewne mnóstwo osób czekających z rozmaitemi naczyniami przy drzwiach Towarzystwa Dobroczynności, lub wracających już z napełnionym garnuszkiem, tygielkiem lub miseczką; może spiesząc na smaczny obiadek niejeden spojrzał ciekawie w naczynie, a z widoku i zapachu będącéj w niém zupy pomyślał,— nie musi to być dobre!— Tak, zapewne, dla tych co do wytwornego przywykli jadła *zupa rumfordzka* niebardzo powabną się wyda, ale pomyślmy tylko jakiém ona jest dobrodziejstwem dla tych biedaków, którzy słabi, wycieńczeni pracą lub chorobą, pędzą dni smutne w zimnych, wilgotnych izdebkach

starych nadwiślańskich domów, jak im miło być musi przesiedziawszy lub przeleżawszy dzień cały na twardém łożu, ledwie okryci, drżąc z potrzeby i osłabienia, —wyjść z smutnego ukrycia, i ciepłym, pożywnym zasilić się pokarmem.— O! oni nie wybredzają jak się to nam czasem wydarza, przyjmują z wdzięcznością dar boży, błogosławiąc tych przez których ręce Opatrzność zsyła im to wsparcie.

Jednakże są ubodzy, najbardziéj na politowanie zasługujący, największą może znoszący nędzę, którzy niekorzystają z tego dobrodziejstwa.— Są to ubodzy wstydliwi; ludzie pokorni przed Bogiem, lecz dumni przed światem wśród którego niegdyś mieli dostatki i znaczenie.— Ileż to razy zgłodniali, schorzali, przeziębli, tulą się do lichego swego schronienia, pożywając suchy i twardy kawałek chleba, choć o kilkanaście kroków żyźniejszy znaleźliby posiłek;— ależ tam trzebaby stanąć przed wzrokiem ludzkim, trzebaby wyciągnąć rękę;—oni to za wstyd uważają, i najsroższą nędzę nad wstyd przenoszą.

Towarzystwo Dobroczynności zwróciło uwagę na tę klassę ubogich;— w r. 1842 otworzono w zabudowaniach tegoż towarzystwa salę, gdzie codzień o godzinie dwunastéj w południe rozdawane bywają obiady dla osób ubogich.

Ubogi pragnący korzystać z tego dobrodziej-

stwa powinien następujących dopełnić warunków: złożyć świadectwo istotnego ubóstwa i dobrego prowadzenia na ręce opiekuna cyrkułowego, od którego za opłatą Złp. 5 otrzymuje bilet na 30 obiadów. — Osoby zamożne, chcące podobnym biletem zaopatrzyć biedaka, płacą Złp. 8, którato cena i tak nadzwyczaj jest małą.

Teraz, czyja wola, proszę na obiad pięciogroszowy!

W pośrodku długiéj sali, od jednego jej końca do drugiego stoi stół, nakryty czystym obrusem; — po obu stronach jego talerze, żelazne noże i widelce, łyżki cynowe błyszczą czystością, przy każdém nakryciu kawał dobrze wypieczonego chleba, a w niewielkich przedziałach szklanne solniczki solą, i karafki przezroczystą napełnione wodą.

Wybiła dwunasta godzina, zapełniają się ławki przy stole stojące, po jednéj stronie siadają kobiety, po drugiéj mężczyźni. Zebrało się osób sześćdziesiąt. — Ileż to smutków, ile cierpień, ile nędzy znieśli osobno i w różnych stronach ci ludzie, których teraz dobroczynny pomysł w jedno miejsce zgromadza. — Patrzcie, jaka rozmaitość; — tu surdut z cienkiego kiedyś sukna, dziś wytarty, bez barwy ale i bez plamy; tu staroświecka czamara, tu płaszcz szary a przy nim świecące guziki znać przy innéj kiedyś jaśniejące

szacie, tu gruba stara sukmana pełna lat lecz niedziurawa.— I między kobietami jaka różność stroju! jaka mieszanina! jak często z pod płóciennego szlafroka wygląda jedwabna, lub kosztowna niegdyś wełniana chusteczka otulająca szyję staruszki; jak często w czepku z kawałków grubego perkalu zeszytym spostrzeżesz szczątek prawdziwéj koronki; — o! ileż to, ile dowiedzielibyśmy się od tych szczątków innego bytu, gdyby przemówić do nas mogły! — I na twarzach podobna rozmaitość. — Ta staruszka przed niewielu laty matka kilku synów, dziś bez wsparcia, samotna zbliża się do kresu życia, i obojętnie pogląda na wszystko co ją otacza; — ta niewiasta młoda jeszcze, pracuje przez dzień cały, pięć tylko groszy na utrzymanie swoje wydając, bo o mil kilkanaście matka jéj stara i chora przywykła od niéj co miesiąc odbierać wsparcie, a ośmioletnia dziewczynka, jéj córka, dotknięta trudną do uleczenia chorobą, staraniem litościwych osób umieszczona w domu zdrowia, co rano wygląda uścisku matki.— Tu starzec wychudły, blady, z spuszczonym ku ziemi wzrokiem, zdaje się że ważne jakieś układa plany; nieraz w zamyśleniu liczy cóś palcami po stole, zdaje mu się że jeszcze posiada sukienną fabrykę, że od jego rozrządzenia zależą liczni robotnicy, że obowiązkiem jego jeszcze myśleć o dostarczeniu im zajęcia, o utrzy-

maniu ich rodzin; —niestety! za każdém wzniesieniem oczu smutna rzeczywistość wywodzi go z lubego błędu.— Lecz spojrzyjcie w tę stronę czytelnicy *Zorzy*,— między dwóma starcami siedzi dwunastoletni chłopczyk w studenckim mundurze, jakiż to tkliwy i szanowny razem widok! Ten chłopczyk jakąż chęć do nauk mieć musi, jakie zamiłowanie umysłowéj pracy, jaką żądzę wzniesienia się moralnego, kiedy poprzestaje na obiedzie ubogich;— wszakże gdziekolwiek u rzemieślnika znalazłby zaspokojenie wszystkich potrzeb swoich; — lecz on woli znosić niedostatek, byle choć z czasem dojść do zamierzonego celu, a cel ten zapewne szlachetny, czy nim jest pragnienie wsparcia kiedyś ubogich rodziców, czy chęć służenia użytecznie społeczności.— Pomyślmy jak to mało potrzeba człowiekowi, oto za pięć groszy które my tyle razy i tak lekko wydajemy, młodzieniec co kiedyś może będzie chlubą swego kraju, żyje przez dzień cały, i olbrzymie w naukach czyni postępy;— iluby to dzieciom można w ten sposób podać pomocną rękę odmawiając sobie tylko zbytkowych drobnostek, i jak należy cenić wszystko co dla nas Bóg uczynił, jak korzystać z sposobności oświecania się, i z wszelkich ułatwień, których przy pomocy Jego dostarczają nam rodzice!

Otworzyły się drzwi boczne, i dwóch ubogich

będących w zakładzie Towarzystwa Dobroczynności wniosło świecący miedziany kocieł; za nimi młoda Siostra Miłosierdzia weszła z miedzianym w ręku czerpakiem, i przy pomocy dwóch kobiet zaczęła rozdawać jedzenie; dwaj starzy inwalidzi dnia tego na służbie będący roznosili je obecnym, a widok tych starców zaszczytnemi bliznami pokrytych, usługujących biedakom, łzy rozczulenia do oczu patrzących mógłby wywołać.

Już członek Towarzystwa na którego przypadał dozór nad salą, zajął miejsce w rogu stołu, już przed każdym z obecnych dymił z talerza posilny barszcz z kawałkiem mięsa, gdy z pierwszego miejsca powstał siwowłosy starzec;— wzrost jego wysoki, postawa prosta, twarz okazała białym wąsem ozdobna, mimowolne wzbudza uszanowanie, a pogodny wyraz oblicza serce ku niemu pociąga;— on tu najstarszy wiekiem, bo już dziewięćdziesiąt lat sobie liczy, i wszyscy nieznając go nawet, okazują mu pewne względy.— Powstał, i przeżegnawszy się, starym zwyczajem prosił Boga o pobłogosławienie darów ku spożyciu przygotowanych, obecni stojąc powtarzali w myśli wyrazy starca, i dopiéro po uczynionym powtórnie znaku krzyża S. zabrali się do jedzenia.

Przez kilka chwil, tylko szczęk łyżek po talerzach, przerywał milczenie, lecz gdy już każdy

pierwszy apetyt zaspokoił, a inwalidzi kraśne słoniną kartofle roznosić zaczęli, dała się tu i ówdzie słyszeć półgłosem prowadzona rozmowa, i wkrótce możnaby obiadujących wziąść za starych u gościnnego stołu zebranych przyjaciół.— Tylko siwy staruszek zwykle rozmowny i żartobliwy, siedział w milczeniu, i raz po raz ciekawe, niespokojne prawie spojrzenie zwracał na siedzącą naprzeciw niego poważną niewiastę. Prawda że jéj powierzchowność odznaczała się cokolwiek od innych; ciemna suknia czysta lubo wytarta, czarna stara chustka któréj wytarte palmy swiadczyły jeszcze o dawnéj wartości, muślinowy czepek szafirową przewiązany wstążką u szyi biała kryza, i białe u białéj jeszcze ręki mankiety, nadawały staruszce miły pozór swieżości i dobrego bytu, choć twarz licznemi poorana zmarszczkami o niemałych swiadczyła cierpieniach.

Postrzegła ona uwagę swego sąsiada, lecz nie urażając się nią, rzekła z uśmiechem w widocznéj chęci zawiązania rozmowy:

— Czy wolno się spytać co tak Waszmość dobrodziéj w osobie mojéj godnego widzenia znalazłeś?

— Daruj Asani dobrodziejka! ale dalibóg gdyby nie to że oczywiście przy stole siedzę i dar

boży pożywam, tobym myślał że śpię, i o dawnych czasach marzę.

— A toż dla czego?

— Ot dla tego moja mościa dobrodziejko że patrząc na jéj personę zda mi się widzieć damę, która już teraz pewnie w Bogu spoczywa.

— Któż to taki, jeżeli można wiedzieć.?

—Zacna to była pani i obywatelka! nieraz będąc w wojsku i przechodząc mimo jéj domu znalazłem wypoczynek i gościnne przyjęcie; ale to już dawne, dawne czasy! jeszcześ Asani dobrodziéjka dzieckiem wtenczas być musiała:— czterdzieści lat z górą minęło od owego dnia kiedym po raz ostatni był w Augustowskiem, kiedym widział panią K....; sędziwa to już była niewiasta, a jednak patrząc przed siebie przysiągłbym że widzę ją samą, albo jéj obraz.... Ot! marzenie— panie odpuść!

— Marzenie Waszmości nie tak dalekie od prawdy jak się zrazu zdaje;— nie żyje prawda nieboszczka K...., alež córka do matki może być podobną.

— Toż Asani jesteś ową jedyną dzieweczką, ową pieszczotą rodziców i domu całego, którą ja sam nieraz na ręku nosiłem!... A pamiętaszże mnie moja dobrodziko?.... i to mówiąc starzec ze łzami wyciągał rękę na przeciwną stronę stołu.

Pamiętam, odrzekła wzruszona niewiasta, o!

takich ludzi jakim Waszmość byłeś nie zapomina się nigdy. — Szczęśliwą też bo i starość pan Bóg dał Asanu, wyglądasz ledwie na lat pięćdziesiąt, i gdyby nie zbielała głowa i wąsy;.... O! dziwneż to, dziwne są sprawy boże! ktoby nam przed laty był powiedział że się kiedyś u tego zejdziemy stołu.

— Niechaj Bóg nagrodzi tym co go zastawili! dożyłem przy nim ostatniéj niespodziewanéj radości!

Przez kilka chwil jeszcze toczyła się rozmowa, o wypadkach lat ubiegłych, o zmianie losu, o znajomych, przyjaciołach, nakoniec staruszek widząc że współstołownicy nietyle co on zajęci wypróżnili talerze, powstał, i dopełniając przyjętego dobrowolnie obowiązku, wzruszonym głosem odmówił dziękczynienie, potém zarzucił szarą czujkę na ramię, a białą czapkę pod lewą ręką trzymając, prawą podał córce nieboszczki K.... i z starodawną grzecznością wyprowadził ją z sali.

Kto chce poznać wzór mego obrazu, niech w czasie pięciogroszowego obiadu spojrzy na pierwsze miejsce po prawéj stronie stołu; sędziwą zaś niewiastę można pewno zobaczyć w niejednym zamożnym domu, bo choć oną niczyjego wsparcia przyjąć nie chce, zachowała jednakże niektóre dawne stosunki, i znosząc pokornie

zmianę losu swego, nie obwinia o nią ludzi, nie wstydzi się ubóstwa, bo wszakże Chrystus rzekł: „błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

P. K.

GRA W ZIELONE.

Kwietniowe słońce łagodnie pojrzało ku ziemi, ponętném ciepłem do życia ją zachęcało, jakby czuła matka uściskiem, obietnicą pieszczoty budząca ze snu dziecię. I udało mu się; z pod zeschłego liścia, napół pokrywającego obszerny trawnik w dziedzińcu wiejskiego dworku, pierwsza śmielsza trawka chwiejącą wychyliła główkę, zapowiadając wielu siostr swoich przybycie. Zobaczył ją biegający po dziedzińcu Władzio, klasnął w rączki pełen niewinnéj radości, nachylił się ku niéj, ostrożnie przy samym urwał korzonku i tryumfalnie w dwoch wzniesionych w górę unosząc ją paluszkach, wbiegł do dwor-

ku, przebył szybko kilka pokoi i w ostatnim się zatrzymał nareszcie.

Przy okrągłym stoliku siedziało trzy dziewczynki, siostrzyczki jego. Najstarsza trzynastoletnia Andzia kończyła pilnie sukienkę swoją, różową żaknocikową; już tylko stanik i krótkie rękawki wązkim miała oszyć tiuliczkiem, już nawet kilka ściegów zgrabna zrobiła rączką, a za każdym powiększający się uśmiech rumianych usteczek, nowego wdzięku pogodnéj dodawał twarzyczce; przy niéj siedząca dziewięcioletnia Alinka czytała pewnym i odznaczającym się głosem, listy Elżbietki Rzeczyckiéj, ale leżąca przed nią na stoliku mała, zaczęta koszulka, dowodziła świeżością i dokładnością pracy, że igiełka w rączce Alinki równie szczęśliwie się obraca. Opodal niéj druga z rzędu młodsza rokiem od Andzi Karolka oglądała niedbale rękaw także różowéj sukienki, który po dwukrotném pruciu po trzeci raz szyć zaczynała. Nareszcie kończąca to drobne kółko matka, również z robótką w ręku, poglądała troskliwie na dzieweczki swoje; to dodała słówko tłumaczenia do czytania Alinki, to z wyrazem szczęścia ku Andzi powiodła spójrzenie; ależ najczęściéj wzrok jéj troskliwy na Karolkę się zwracał. Jedyna z jéj dzieci nie odpowiadała jéj oczekiwaniom, a opieszałością i roztargnieniem przy każdém zajęciu

raniła mocno serce matki która jednak nie odepchnęła jéj od swego serca ale łagodnie i ciągle do dobrego zachęcając, Bogu resztę zostawiła, w jego łasce pocieszającą widziała nadzieję.

Patrzcie siostrzyczki! zawołał, stając nagle przed niemi zadyszany Władzio, pierwsza tegoroczna trawka zazieleniła się na dziedzińcu, jutro tysiące ich wyjdzie, a pojutrze!... O, siostrzyczki! któraż ze mną w zielone grać zechce?

— Ja, zawołała skwapliwie Karolka, i rada nowemu roztargnieniu, zatrzymując robotę, oparła niedbale rączki o stolik, a oczki wlepiła w pytającego Władzia.

Ja, chciała powiedzieć Alinka, ale spostrzegłszy uprzedzenie siostrzyczki, dodała: o! tak, z Karolką grać ci życzę, i zawczasu winszuję wygranéj, bo ona taka zawsze roztargniona, taka zapominalska, ręczę, dziś jeszcze w wieczór.... Wtém zatrzymała się nagle, żywe jéj oczko zwróciwszy się figlarnie ku zarumienionéj Karolci, spostrzegło łezkę, co jak perełka szybko stoczyła się po jéj twarzyczce; łezka ta aż do głębi serca ubodła Alinkę, pół-uśmiech skonał na rumianych usteczkach, a miejsce żarciku nieskończonego, głęboki żal zastąpił. Poskoczyła ku siostrze, objęła ją rączkami i czułemi obsypując uściski, przepraszała za lekkomyślne słówko.

— No, no, już dosyć tych pieszczot, powiedział

niecierpliwy Władzio, Karolka pierwsza się odezwała, z Karolką zaczynam grać w zielone. I przedwoił listek, połowę wręczył siostrze, połowę sobie zostawił, a uśmiechając się wdzięcznie, zanucił zwrotkę ulubionego poety.

Ta gra tém się prawem chlubi:
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub utraci innym kształtem,
Ten— je opłaci ryczałtem.

— Tak, tak panno siostro, a wygrana będzie suta, nieprawdaż? śliczna karmazynowa sakiewka od ciebie, albo..... no, wybieraj sama, gdyby nieszczęśliwym trafem na mnie przegrana wypadła......

— Natenczas, rzekła nieśmiało Karolka, darujeszmi który z twoich rysunków.

—O, bardzo chętnie, bylebyś tylko nie wybrała tego dziarskiego na koniu ułana, albo tych uzbrojeń rzymskich rycerzy, na nic się nie przydadzą dziewczynie, dla was domki, ptaszki, kwiatki. Ale, ale, nie ułożyliśmy wszystkich warunków; już to jak zwykle gra trwa do Zielonych świątek, przez ten czas wolno nam wzajemnie o każdéj dnia porze żądać pokazania noszonego przy sobie zielonego, zielone to ma być świeże

zawsze, rwane na polu, w ogrodzie, na dziedzińcu, ale broń Boże z wazonika.

I rwane własną ręką, dodała matka, ukrywając w tém myśl nową. Przystały dzieci, i podaną dłonią stwierdziły układ zawarty; potém znowu do dawnych zajęć wróciły dziewczynki — a Władzio wyręczając Alinkę odczytał im jeden list Elżbietki, bo właśnie przyszedł z kolei opis napadu tatarów na dwór Topolówki, a on tak opisy wojenne lubił!

Karolka tą razą chętniéj wzięła się do szycia, ale jéj jeszcze niesporo szła robota, często błyszcząca igiełka bezczynnie zatrzymywała się w paluszkach, często leniwie przesuwała się przez żaknocik; tylko że te przerwy już nie sama sprowadzała opieszałość, jakaś myśl ważna krążyła po główce dziewczynki, w błyszczących oczkach, w uśmiechu twarzyczki się malowała. I kiedy nawet ze zbliżającym się wieczorem, siostry jéj wybiegły na obszerny dziedziniec i razem z braciszkiem gwarne rozpoczęły zabawy, ona zamyślona, usiadła spokojnie na ławeczce pod wystawą i do żadnéj należeć nie chciało.

Nazajutrz zaledwie piątą godzinę bijący zegar ogłosił, Karolka zerwała się z łóżeczka, a bojąc się aby jéj Władzio nie uprzedził w wyszukaniu zielonego, zarzuciła śpiesznie lekki szlafroczek na siebie i wybiegła do ogrodu. Przebyła

szybko długą lipową aleję, a dostawszy się na łączkę okrążającą zgrabną altankę, pochyliła się ku ziemi dla zerwania jakiego drobnego ziółka. Pomimo kilkodniowego ciepła, pomimo drobnych deszczyków zasilających ziemię, jeszcze nie bardzo było zielono na trawnikach, a młode listeczki jeszcze tuliły się skwapliwie do zżółkłych przeszłorocznych roślinek, jeszcze się pod zeschłym liściem ukrywały. Bo i ziółkom podobnie jak ludziom, niepilno z pod czułéj macierzyńskiéj opieki w świat obojętny uciekać, i one tém silniejsze późniejszym przeciwnościom stawią czoło, im dłużéj téj dobroczynnéj doznawały uchrony. Musiała więc Karolka odgarniać zwierzchnią powłokę; sięgnęła po fijolkowy listek i nagle ją cóś silnie ukłóło w paluszek; nachyla się, ciekawa powodu bólu, i widzi że niebaczném poruszeniem zniszczyła małe mrowisko. Przypatruje się z zajęciem ruchowi do jakiego obawa skłoniła tyle drobnych istotek, widzi, jak każda z nich czynnie zabiera się do ocalenia i siebie i swojéj własności: ta unosi ciężar żywicy, wielkość jéj saméj przechodzący, tamta wyrównywającą sobie młodą mrówkę obejmuje i szybko z nią uchodzi, te już po drugi wracają zabór, inne wśród ziemi drogę towarzyszkom gotują. Coraz to uciekający szereg rzednieje — już tylko kilka słabszych lekko się przemyka — i ot już

wszystko zniknęło i żywności stosek i młodych gromadka i troskliwi rodzice, gdzie podziemnemi drogami bezpieczniejszego szukają schronienia.

Karolka w zadumieniu na ten obraz życia i pracy spogląda. Mrówka, pomyślała sobie, i cóż-to jest ta mrówka?— bezrozumne stworzenie, a tak słabe, że jedno lekkie poruszenie mojéj ręki, życia go pozbawić może, jedno niebaczne stąpienie, całą rodzinę zniszczyćby mogło. W porównaniu téj mrówki— ja, mędrzec— ja, olbrzym; a niechżeby kto czyny nasze chciał porównać.....

„Boże daruj mi“, zawołała, a uklękłszy na murawie rączki na piersiach złożywszy, gorące modły zasyłała do Boga, anioła stróża opiece polecała przedsięwzięcia swoje. Wtém z drugiéj strony ogrodu jakiś śpiew dźwięczny doszedł jéj uszu przysłuchuje mu się uważnie, była to pieśń przy pracy Karpińskiego, którą pobożny ogrodnik zwykł był dzienne rozpoczynać zatrudnienia. Karolka znała tę pieśń dobrze, ale nigdy prawdziwie nie zastanowiła się nad jéj znaczeniem, dzisiaj więc z niewymownym wzruszeniem słuchała téj zwrotki.

Wszystko cię, mój Boże, chwali,
Aleśmy i to poznali;
Że najmilszą ci się stała,
Pracującéj ręki chwała.

Powtórzyła ją z uniesieniem i łzy rozczulenia i żalu stoczyły się po jéj twarzy; lekko ktoś dotknął jéj ramienia, obraca się i spostrzega matkę, która korzystając z jéj rannego wstania chciała probować jeszcze łagodnych przestróg skutku, przy wschodzącém słońcu, przy budzącéj się z uśpienia naturze.

Już nie potrzeba było napomnień, matka z łzawych, z ożywionych spójrzeń wyczytała myśl piękną poprawy, uściskiem tylko do wytrwałości zachęcała.

Karolka dotrzymała przyrzeczeń, silném postanowieniem przełamała pierwsze trudności, pracowała chętnie i gorliwie, Bóg dopomagał jéj chęciom, anioł stróż przez usta matki w razach trudniéjszych przemawiał i wkrótce zrównała pracowitéj Andzi i chętnéj Alince.

O zieloném nie zapomniała nigdy, zawsze świeży bukiecik jaśniał przy jéj sukience; jednakże w dzień Zielonych-świątek przyniosła braciszkowi śliczną w wolnych chwilach wypracowaną sakiewkę na któréj srebrnemi wyszyła paciorkami „wdzięczna za grę w zielone.“

W. T.

Rozmowa z Dziadunieiu

O JERZYM OSSOLIŃSKIM.

Pogodne czerwcowe słońce, łagodnie ostatnim promieniem żegnało zieloną łączkę leżącą w pobliżu drewnianego wiejskiego domku; na niéj pląsało ochoczo troje swobodnych dziatek, rumieńcem zdrowia ozdobnych, uśmiechem szczęścia bogatych. Wtém z domku wyszedł powolnym krokiem starzec sędziwy, usiadł pod rozłożystéj lipy cieniem i z lubą radością w oku, przyglądać się zaczął niewinnym dziatek igraszkom. Długie widać przeżył lata, czas mu już włos posrebrzył, doświadczenia pogodne zorały czoło, ciężar życia ku ziemi pochylił, spójrzenie tylko dawną, młodzieńczą zachowało żywość, a wrodzony uśmiech twarzy, malując błogi stan duszy, przyjemną czynił sędziwość jego.

Ujrzały go bawiące gwarnie dziatki, i jakby jedną wiedzione myślą poskoczyły ku niemu, ucałowały drogie ręce i okryły go tysiącznemi pieszczoty; a potém średnia z rodzeństwa Kaziunia patrząc mu wdzięcznie w oczy zapytała pieszczotliwie.

— „Prawda, dziaduniu! dziś śliczną będziemy mieli powiastkę?“

— „O zasłużyliśmy na co pięknego, dodał, starszy jéj braciszek Zygmuś.

— „Powiastkę, powiastkę, dziadunio nam powie, wołała radośnie Bronisia, i zaczęła znowu całować ręce sędziwego dziadka.

— A pókiż — to będzie tych powiastek? rzekł z uśmiechem starzec, wszystkie wam już wypowiedziałem: już żadnéj nie pamiętam.

— Ej, dziadunio chyba żartuje, przerwała bojaźliwie Bronisia; dziadunio wie ich tyle, że gdyby codzień dziesięć nam powiedział, to-by jeszcze nadługo wystarczyło.

— No — ale cóż za korzyść z tych wszystkich powiastek? rzekł znowu poważny starzec, to tylko małych dzieci zabawka; wszakże Zygmuś dwunasty rok liczy, a Kaziunia już dziesięć skończyła latek; o! tak, już wam nigdy powiastek mówić nie będę. Na to oświadczenie spuściły główki dzieci, ale dziadunio dodał jeszcze:

Zygmusiu! przynieś ostrożnie tę dużą tekę, co na mojém biórku leży.

Radość powróciła na twarzyczki dziewczynek, bo owa zielona teka na którą zawsze z takiém uszanowaniem spoglądały dzieci, same zamykała ryciny; Zygmuś zaś poskoczył ochoczo, i wrócił wkrótce szacowny przynosząc ciężar. Scisnęły się w wąziutkie kółko dzieci, a starzec po krótkim przeglądzie wybrał jednę dużą, kolorowaną rycinę i ułożywszy ją wygodnie, tak mówić zaczął.

„Rycina ta przedstawia jedno z głośnych zdarzeń pierwszych chwil panowania Władysława IV; wykonana za jego czasu w Rzymie, jest bardzo starożytnym i miłym zabytkiem“.

Zygmuś. Mnie się zdaje że to będzie wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu, tak domyślam się po przepychu całego orszaku, po ubiorach i powadze osób odmalowanych.

Dziadunio. Zgadujesz, w saméj rzeczy jest-to ten sławny wjazd, o którym już przy historji słyszałeś. Ala zanim do bliższego oglądania ryciny przystąpimy, powiedźcie mi dziatki któż-to był ten Jerzy Ossoliński? Kiedy i czém się odznaczył?

Zygmuś. Jerzy Ossoliński syn Zbigniewa Ossolińskiego wojewody podlaskiego, urodził się za panowania Zygmunta III. W młodym bardzo wie-

ku ukończywszy świetnie nauki i zwiedziwszy potém obce kraje, dwa lata dworsko i wojskowo służył, a potém w ostatnich latach panowania Zygmunta III odznaczył się poselstwem do Jakóba króla angielskiego, gdzie wymową swoją wielkie zjednał sobie względy i wszelkich prośb swoich pomyślny otrzymał skutek. Mowa jego łacińska tak wielce podobała się anglikom, iż w krótkim czasie pokazała się drukowana w łacińskim, angielskim, hiszpańskim i niemieckim języku i tak w Londynie poszukiwaną była, iż jeden księgarz w jednym dniu kilkanaście tysięcy exemplarzy sprzedał.

Wymowa ta i cała umiejętność z jaką się Jerzy Ossoliński w tém poselstwie sprawił, tyle mu u wstępującego na tron Władysława IV zjednała względów, że kiedy podług zwyczaju miał uwiadamiać obcych monarchów o swojéj koronacji, a przytém chciał użyć Ojca S. powagi do zapobieżenia niesnaskom i rozterkom jakie między duchownymi i świeckimi panami powstały, jego posłem do Rzymu mianował.— To poselstwo oraz późniejsze do Cesarza i Rzeszy niemieckiéj z równą imienia swego chwałą odbył. Za Jana Kazimierza był kanclerzem i zdrową radą odznaczył się w sprawie kozaczyzny, a powtórnie wezwany na posła do Rzymu i Niemiec

w sam dzień wyjazdu appoplexją tknięty, nagle umarł w 55 roku życia swojego.

Dziadunio. Ślicznie Zygmusiu, cieszy mnie staranie z jakiém przechowujesz pamięć człowieka, który tyloma usługami wywiązał się krajowi swojemu.

Kaziunia. Czy prawda dziaduniu że i ten ołtarz hebanowy w Częstochowie, cały srebrem powleczony, który podobno więcéj sta tysięcy złotych kosztował, Ossolińskiego fundacji.

Dziadunio. Tak, dziecię kochane, między wszystkiemi jego czynami najpierwsze miejsce trzymała pobożność, a skarbów któremi go monarchowie obsypywali zawsze na piękne używał cele. On się przyczynił do fundacji księży Kamedułów na Bielanach pod Warszawą, panny Karmelitki bose Ś. Teresy w Warszawie przy Ś. Trójcy założył; szkoły jezuickie w Bydgoszczy ustanowił i uposażył, dokończył stawić kościoła księży Dominikanów w Klimuntowie rodzinném gnieździe swojém, tamże szpital bardzo obszerny dla ubogich wystawił, do którego zebrawszy tułających się żebraków, swoim kosztem, odziewał i żywił. Ś. Piusa męczennika kości z wielką wspaniałością do Ossolina sprowadził; a dopełniając danego sobie ślubu w Klimuntowie kościół Ś. Józefowi, a w Gołębiu dom Loretański Najświętszéj Matce wybudował.

Zygmuś. Papież go tytułem księcia ozdobił.

Kaziunia. I cesarz austryacki także, ale on nigdy tytułu tego nie używał, nie chciał się nim równości obywatelskiéj sprzeciwiać.

Zygmuś Za jego radą i wniesieniem na sejmie za Władysława IV. ustanowiono pierwszy raz pocztę publiczną.

Bronisia. Ależ wy tylko sami mówicie, przecież to dziadunio miał nam śliczny obrazek tłumaczyć.

Dziadunio. Prawda słońce już zachodzi, mrok nam niedługo na przeszkodzie stanąć może, otóż zbliżcie się i posłuchajcie uważnie.

Z Loretu jeszcze wysłał Ossoliński sufragana Gębickiego przed sobą do Rzymu, aby tam wszystko na jego przybycie przygotował i pompę wjazdu z ministrem papiezkim ułożył. Na sześć mil włoskich spotykać już zaczął panów rzymskich i posłów z różnych narodów, którzy mu ciągle towarzyszyli, przybył też naprzeciw Ossolińskiego i Kardynał de Torres protektor polski. Honor ten był osobliwszy i dla posła i dla narodu. W tak licznem gronie przybył Ossoliński aż pod mury Rzymu, gdzie w pałacu ogrodowym Juljusza Papieża stanął, i tam przez siedm dni do uroczystego wjazdu przygotowania czynił.

Teraz przypatrzcie się dobrze — oto na czele jedzie dwóch furjerów Ossolińskiego, po polsku,

w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych rumakach. Za nimi wozy w liczbie 22 suknem karmazynowém pokryte, z wyszytemi posła herbami.

Po nich następuje dziesięć wielbłądów z dzwonkami na szyjach srebrnemi, wszystkie dekami jedwabnemi tkanemi złotem pokryte, a prowadzą ich persowie, narodu swego obyczajem, bogato ubrani. Tuż za nimi czterech trębaczów, konno, w polskie zielone axamitne suknie ze złotemi petlicami przybranych; daléj gwardja posła z 34 ludzi złożona, konie pod nimi piękne, sami w sukniach jedwabnych złotem przeszywanych, mają flinty i pistolety i pióra białe u czapek:

Tu dopiero następuje chorągiew papiezka z swoimi trębaczami nazwana Cavalegiere z saméj szlachty złożona; a po niéj dworscy kardynałów, każdy ma na ramieniu kapelusz kardynalski. Blisko nich pokojowi posła w liczbie 30 na dzielnych koniach, w rzędach srebrnych; wszyscy barwiasto w suknie polskie axamitne koloru niebieskiego ubrani, mając przy sobie sahajdaki w srebro oprawne tureckim zwyczajem.

Poprzedza ich giermek posła Chociszewski, starzec poważny, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem perskim strzałę w ręku trzymający, z skrzydłami do kulbaki przypiętemi; suknie na nim złotem perłami i kamieniami drogiemi tak bo-

gato ozdobione iż wszystkich na siebie oczy i podziwienie obraca.

Za pokojowemi, masztalerze po persku bogato odziani, prowadzą pięć najdzielniéjszych koni tureckich. Widzicie, na każdym rząd i kulbaka kamieniami wysadzana, na jednym szczególniéj koniu, siedzenie było podobno samemi djamentami całe okryte, a na czole konia sztuka z klejnotów tak bogata iż ją szacowano na 20 tysięcy szkudów co blisko 10 tysięcy czerwonych złotych wynosi.

Zygmuś. Za czém-że to błyszczącém z takim podziwem ten włoch sie schyla?

Dziadunio. Ach, bo u trzech z tych koni podkowy były złote i umyślnie tak lekko przybite że mogły odpadać, jakoż kilka z nich pospólstwu się dostało.

Bronisia. Cóż znaczy ten koniuszy z buławą srebrną?

Dziadunio. On prowadzi dwudziestu dworzan poselskich, bogato ubranych, przy złotych karabelach. Tuż za nimi jadą dworzanie posła hiszpańskiego, oraz wielka liczba kardynalskich i innych panów krewnych.

Patrzcie, po niejakim oddziale jedzie dwudziestu przedniéjszych dworzan polskich, na przepych ustrojonych, którym przodkuje Jakób Zieliński, marszałek dworu, mający w ręku buławę sre-

brną. Po bokach jego dwaj kawalerowie. Za nimi z orszakiem kawalerów francuzkich postępuje książę de Richemont posła francuzkiego krewny, za nim dworzanie papiescy.

Daléj różni panowie polscy, a każdy w towarzystwie dwóch kawalerów rzymskich po bokach jadących.

Teraz najwięcéj ciekawości wzbudzający sekretarz królewski Cieklińskí. Na dzielnym arabskim koniu jadący, zręczne czyni obroty, a łańcuch złoty do musztuka przypięty, koń pod nim osobliwszą sprawnością w drobne kawałki szarpie i pospólstwu na łup rozruca. Niemniej zajmuje i suknia jego petlicami z klejnotów drogich ozdobiona. Za nim także na przepych ustrojeni: Zebrzydowski, Teodor hrabia Tarnowski, Potocki bracławski, Gąsiewski smoleński, dwaj Firlejowie sendomirscy, Alexander Lubomirski ruski, wojewodzicowie, wszyscy na dzielnych rumakach.

Najbardziéj jednak co do drogości szat celuje Mikołaj Ossoliński synowiec posła, Grudziński wojewodzic kaliski, Daniłowicz Starosta parczowski.

Przy samym pośle po lewéj ręce, jedzie Gębicki Sufragan gnieźnieński, sekretarz poselstwa, po bokach jego 30 piechoty polskiéj pięknie ubranéj, z guzami i piórami srebrnemi.

Poseł ma na sobie suknie bogato złotem haftowane i tak przy żupanie jako i zwierzchniéj szacie po dwadzieścia guzów sporych, każdy z jednego djamentu składający się, i po dwadzieścia petlic djamentowych. Karabela złota klejnotami sadzona, na 20 tysięcy złotych polskich szacowana. Siedzi na dzielnym tureckim rumaku, mającym podkowy złote, na głowie pióra czarne, a przy uszach czuby gęsto djamentami przeplatane. Całe siedzenie nawet strzemiona, drogiemi klejnotami sadzone.

Zygmuś. Ale co za postawa! jaka twarz mężka i piękna!

Dziadunio. Otóż i cała rycina wytłumaczona.

Kaziunia. Jakże się rzymianie temu wjazdowi dziwić musieli.

Dziadunio. Nietylko rzymianie, ale wszyscy zgromadzeni cudzoziemcy twierdzili, że w życiu swojém tak wspaniałego wjazdu nie widzieli.

Bronisia. O śliczny obrazek, dziękujemy dziadzi.

W. T.

OFIARA
PIERWSZEGO KWIATKA.

Jeszcze zima niezupełnie opuściła naszą krainę, jeszcze niewszystkie pączki otwierać się zaczęły i ziemia w wielu miejscach ostrą i nierozmarzłą się wydawała, kiedy razu jednego, biegło przez lasek sześcioletnie dziecię.

Mimo przykréj drogi, mimo tylko szmatkiem owiniętych nóżek, pospieszał chłopczyna niemal coraz żwawiéj, odgarniając kiedy-niekiedy jasne włoski nasuwające mu się na czoło. Zatrzymał się wreszcie, zboczył już i tak z krętéj ścieżki, podskoczył wlewo, to znowu na-prawo, a nakoniec krzykiem radosnym pokazał, że dobiegł kresu swych życzeń. Pod maleńkim jałowcowym krzaczkiem, był śliczny, świeżuchny, dopiero-co rozwity pierwiosnek. „Ach cóż-to za radość, rzekł sam do siebie, śliczna panienka dotrzyma

obietnicy i bez wątpienia, da mi jeszcze co więcéj nad okrągłą, białą złotówkę. Ileż ja sobie rzeczy za nią zakupię... a kto wie, może..... i w uniesieniu dziecięcém, spójrzawszy na przeziębłe nóżyny, trzewiczki! zawołał głośno.

I urwał kwiatek nadobny, a wziąwszy go ostrożnie w rękę ku udeptanéj pośpieszył ścieżce. I biegł znowu bez wytchnienia póki nie ujrzał szerokiéj, wysadzonéj drogi, do ładnego prowadzącéj dworku. Lecz tu na samym skręcie stoi kapliczka, a mimo wielkiego pośpiechu, jakże-tu nie wejść do niéj, nie ucałować drogiego obrazu Najswiętszéj Dziewicy którą mateńka nim zasnęła nazawsze, kochać jak drugą matkę przykazała. Wszedł więc chłopczyna niepewnym krokiem, ukląkł przed obrazem, złożył drobne rączki i modlić się, polecać opiece Matki Boskiéj zaczął, tak jak matka jeszcze uczyła; a twarz jéj tak mu się wydała piękną, takim tchnęła dobroci wyrazem, że złożyć przed nią w ofierze kwiatek, tyle przed chwilą ceniony, niczém mu się teraz zdało, byłby chętnie dał co więcéj jeszcze. Złożywszy pierwiosnek przed obrazem, pełen lubéj radości opuścił kapliczkę, już i ponętne zabawki i ciepłe trzewiczki zniknęły z myśli, lecz nigdy jeszcze tak swobodnym, tak pełnym dobréj myśli się nie czuł.

Boska dziewica nie opuściła dziecięcia co tak

wcześnie jéj opieki wzywało. Janek wyrosł zdrowo na uczciwego i użytecznego człowieka, Bóg mu błogosławił, kochali ludzie, bo pamiętał na słowa matki, nie wachał się uczynić ofiary dla téj, która mu pierwszą zastąpić miała.

Julja. G.

ULUBIONE KWIATKI.

(przypowieść z niemieckiego).

W piękny dzień wiośniany Władzio, Staś i Polcia przechadzali się po obszernym rodzicielskim ogrodzie. Radosne śpiewy ptasząt obijały się o ich uszy, zalatywała ich woń kwiatków usmiechających się do ożywczéj rosy, do promyka porannego słońca.

Dzieci radośnie spoglądały wokoło siebie, a przebiegając wesoło z wzgórka na wzgórek, zrywały różnobarwne kwiatki, wielbiły śpiewem

wspaniałość wiosny, dobroć stwórcy zdobiącego ziemię tak rodzinnemi płody.

Wiosna ich życia z wiosną roku w tak lubéj była zgodzie!

Słuchajcie! Władzio zawoła, niech każde idzie w inną stronę, wyszuka i zerwie najmilszy sobie kwiatek, a potém wszyscy w altance się zejdziemy.

O! dobrze, dobrze, zawołały dzieci i zachwycone podaną myślą, rozbiegły się po ogrodzie szukać ulubionych kwiatków.

Po niedługiéj chwili, wszystko troje zbiega się na drodze do altanki, każde trzymało w ręku pęczek najmilszych sobie kwiatków, zdaleka wznosząc z nim ręce do góry oznajmiało radośnie innym swój wybór;— nareszcie zgromadzili się w altanie i ułożyli razem, powiedzieć sobie wzajemnie powód wyboru.

Władzio najstarszy, obrał fijołek. Widzicie, mówił, on kwitnie i woni w skromnéj cichości, pod cieniem liścia. Jego przymioty są tak tajemnicze, jak słodkie i dobroczynne zbliżenie się wiosny. Człowiek go lubi i szacuje, poeci opiewają, kto tylko powraca z łąki z niego przynosi bukiety, i zowie piérwszém dziecięciem wiosny, kwiatkiem skromności. Dla tego wybrałem fijołek.

To mówiąc Władzio dał Stasiowi i Polci po kilka swoich fijołków. z radością dar ten przyjęli bo to były ulubione kwiatki ich brata.

Stasio z kolei przystąpił ze swoim bukietem; ten upodobał sobie lilję polną co rośnie pod cieniem krzewin, i wznosi w góre dzwoneczki swoje rozwiłe, jak perły w rząd ułożone, jaśniejącéj białości jak światło dzienne.

Mój kwiatek, powiedział,niewinność oznacza, czystość serca nim się małuje, on mi jeszcze zwiastuje

wielką miłość tego, co tak wspaniale niebo gwiazdami, ziemię kwiatem ustroił. Wszakże to lilję polną nazwano symbolem uczuć ojcowskich najwyższéj istoty w któwéj wszystko żyje; dla tego ją wybrałem sobie.

Tak się Staś tlumaczył — i z wdzięcznym uśmiechem podał braciszkowi i siostrze część kwiatków swoich; przyjęli je z radością i poszanowaniem, a lilja polna uroczystą się stała dla nich.

Koléj przyszła na miłą Polcię. Ona niezapominajki zerwała. Bracia! mowiła, znalazłam je nad brzegiem strumyka: tam błyszczą jak gwiazdki na niebie, pochyliwszy skromne czoła nad brzeg przejrzystéj wody zdobią ją, wieńczą przecudnie. Nazywają je obrazem przywiązania i czułości,one będą mi zawsze ulubionym kwiatkiem.

I ściskając czule braciszków, wręczyła każdemu gałązkę niezapominajek; bracia jéj uśmiechem zapłacili, a anieli stróże dzieci, uśmiechnęli się na widok lubego niewinności związku.

Teraz z ulubionych kwiatków splećmy dwa wieńce, mówiła Polcia, i kochanym rodzicom je dajmy.

I tak się stało— po krótkiéj, chwili uszczęśliwione dzieci zaniosły wieńce rodzicom, opowiadając im przyczynę wyboru kwiatków.

Ojciec i matka z wyrazem szczęścia spoglądali na dziatki swoje. Sliczny wieniec, powiedzieli skromność niewinność i przywiązanie. Widzicie jak każdy kwiatek drugiego piękność podnosi, jak się wzajemnie zdobią a z ich połączenia jak cudowny utworzył się wieniec.

O jeszcze cóś brakuje, zawołały dzieci, i w dowód wdzięczności wsunęły wieńce na głowę ojca i matki. *W. T.*

ESTETYCZNOŚĆ
ZWYCZAJÓW I OBRZĘDÓW.

Przejdźmy wzdłuż i wszerz świat cały— zwiedźmy ziemię, siedlisko nasze, zwiedźmy wszystkie kraje które tam napotkamy— poznajmy ludy tam zamieszkałe, a ujrzymy że każdy ma pewne zwyczaje, pewne obrzędy stanowiące narodowość jego. I cóż są te zwyczaje, te obrzędy? Czcza forma, niedorzeczność, świadectwo ciemnoty— odpowiedziałby niejeden. Lecz ja nie jestem tego zdania— przeciwnie, utrzymuję że naród zabytki przodków swych wysoko cenić powinien.

Nie ma zwyczaju, nie ma obrzędu, któryby, nie miał w sobie czegoś poetycznego, wzniosłego, a zatém estetycznego. Główną tego przyczyną jest, że czyn, że wydarzenie które im dało początek, nie mogło być pospolite, musiało być ko-

niecznie nadzwyczajne, ważne, piękne, poetyczne; obrzędy zatém i zwyczaje uważać możemy jako pewien rodzaj uświęcenia i podania, w pewnéj formie, potomności, czynu, lub wydarzenia pamięci godnego.

Każdy naród ma swoję gminną poezją — poezja ta w licznych pojawia się kształtach, rozmaitą przybiera formę i ukazuje nam się już to w piosnce czyli słowie, już w zwyczaju lub obrzędzie, czyli czynie. Pieśń jest wspomnieniem poezji uczuć — zwyczaj i obrzęd poezji czynu, nie od rzeczy będzie, sądzę przytoczyć parę przykładów. Nie będę ich szukał daleko, nasza ziemia okwita w pomniki tego rodzaju. Wyjrzyjmy w czasie pięknego wieczora Zielonych-świątek, na piękne krakowskie równiny, całe ujrzymy pokryte mnóstwem gorejących stosów. I cóż to jest? — zwyczaj, obrzęd narodowy *sobotki* zwany. Początek, źródło jego w pogańskich, zapadłych starożytności wiekach, uroczystość ta była niegdyś ustanowioną na cześć bożka Kupały, a dziś, dziś jest pomnikiem pogańskich, minionych czasów, pomnikiem poetycznéj mitologji sławian. — Wyjdźmy w dzień oktawy Bożego-ciała, po marjackiéj processji w Krakowie, ku Zwierzeńcowi, a ujrzymy tłumy ludu wszelkiego stanu, wieku, płci, zbiegające się w to miejsce, radość igra na licach wszystkich;

i cóż ich tam ściąga? pamiątka, zwyczaj— *konik* zwierzeniecki. Oto patrz, już się ukazał, pląsa swobodnie między uciekającym tłumem włóczek, w tatarskiéj odzieży, na sztucznie sporządzonym biegunie. I cóż to ma za znaczenie? zapytasz — Oto w takiej saméj odzieży, na koniu przybiegł niegdyś włóczek do Krakowa w czasie marjackiéj processji z doniesieniem że tatarzy na Zwierzeńcu— lud na tę wieść churmem się sunął na wroga chrześcijaństwa, zastępy nieprzyjaciół pierzchnęły, gród krakowski uratowany, a lud wdzięcznością zdjęty, ku czci włóczka-zbawcy obchód *konika* ustanowił. I już wieki minęły i rana od tatarów zadana oddawna zagojona, a uczucie wdzięczności żyje ciągle w łonie narodu. I tak rok rocznie biegnie włóczek do Krakowa i znów wraca aby pląsając łodzią po Wiśle czekał przyszłéj oktawy Bożego-ciała. Tysiące możnaby podobnych przytoczyć przykładów, które wywołały uczucie święte, poetyczne, piękno. Nie potępiajmy więc zwyczajów i obrzędów, owszem starajmy się o ich utrzymanie.

J. W. S

O PRZYKROŚCIACH I SZCZĘŚCIU MŁODOCIANEGO WIEKU.

List I.

Nietak często pisuję do ciebie, kochana Mineczko, jak obiecywałam; ale bo téż i pobyt mój w domu nie tak jest wesołym, jak go sobie malowałam zdaleka.— Nie myśl, luba moja, żeby mi na czém zbywało, żeby mi rodzice za-mało okazywali troskliwości, i owszem! mam wszystko co tylko do wygód a nawet i do zbytków zapragnąć mogę, a mama, ojciec i siostra zajmują się mną— doprawdy zanadto!— Co to za różnica od owego swobodnego, szczęśliwego życia u babuni! tam, nikt mię nie zapytał co robię, gdzie idę?— bujałam sobie po domu, lasku i ogrodzie jak ptaszek wesoły, słuchałam piosnek żniwiarzy i powieści prządek, a dobra babunia zajęta gospodarstwem ledwie kiedy-niekiedy spytała:— a

gdzie tam Alisia?— Tu zupełnie co innego! nie można zaspać długo, bo o siódméj wszyscy się schodzą na śniadanie, jakżeby to wyglądało gdybym ja jedna nie zeszła? niemożna wybiedz z domu o każdéj porze, bo ja i siostra przez mamy pokój przechodzić musimy; — niemożna wyjść do czeladni, bo służące dziwny mają zwyczaj pytania zaraz czego potrzebuję;— i popróżnować nawet niepodobna, bo kiedy się zejdziemy wieczorem, o niczém nie snuje się rozmowa jak o zajęciu dnia całego, każdy opowiada co robił, co widział, a nawet co myślał, pojmujesz zatém że i mnie trzeba cóś robić, jeżeli codzień niechcę się płonić ze wstydu, tymczasem na nieszczęście robota idzie mi niezręcznie i niesporo, co widząc siostra moja każdego dnia godzinę całą poświęca na wydoskonaleniu mnie w ręcznych kobiecych zatrudnieniach;— co to za męka! I wystaw sobie, Minko kochana, że mi nawet rozerwać się niewolno!— Raz wybiegłam przed dom wieczorem a widząc młodą wieśniaczkę zaganiającą gęsi z pola weszłam z nią w rozmowę, wesoła to jakaś była dziewczyna, bawiła mnie niezmiernie opowiadaniem różnych przygód swego pasterskiego życia, gdy wtém, wyszła mama, i stanowczo choć łagodnie zabroniła nadal podobnych pogadanek.

Niewiedząc gdzie szukać zabawy, a przynaj-

mniej swobody, wpadłam do bibloteki, i ująwszy pierwszą książkę co mi wpadła do ręki, zatopiłam się w czytaniu, ojciec przechodząc przez pokój zbliżył się do mnie, by tytuł dzieła zobaczyć, i odszedł. — Przez cały dzień cieszyłam się ową książką, pożerałam wzrokiem kartki, bo to były jakieś czarodziejskie powieści, alež niestety! niedługo trwała radość, ten dzień zupełnie swobodny był tylko sidełkiem.— Wieczorem, po herbacie zachęcona pytaniami ojca, poczęłam opowiadać wszystko co mię mocniéj zajęło; ojciec dziwił się mojéj pamięci, chwalił dobre wysłowienie, a w końcu dodał: — tylkoż Alisiu szkoda czasu na takie baśnie, — czytaj lepiéj tę oto książkę, a co wieczór, tak jak dziś opowiesz mi coś czytała.— I dał mi — historję Bandkiego!— Czytam ją, bo i cóż mam czynić, ale jakże mię to wszystko nudzi! Och! jakżebym chciała przespać trzy lata, i zbudzić się panną, taką jak moja siostra! szczęśliwa! jéj się nikt nie pyta co robi, co czyta? gdzie wychodzi? kiedyżto kiedy przyjdzie i dla mnie czas tak błogi!— Wszyscy wysławiają młodość, ależ wyznaj sama Mineczko że wiek młodociany najwięcéj ma przykrości, nieprawdaż?

Pisz do mnie co-prędzéj kochana! twój list będzie dla mnie pociechą, ty podzielisz mój smutek, bo na domiar cierpienia, u nas w domu

nikomu ani na myśl nie przyjdzie, abym ja miała jakie do zmartwień powody.

Alina. S.

List II.

Ile mnie ucieszyłaś, kochana Alisiu, oznaką twojéj pamięci, tyle zasmucasz utyskiwaniem, że zbyt ścisły dozór rodziców nad tobą krępuje twoję wolność, tak niebezpieczną dla nas młodych. — Prawdziwie przykro mi że tak pisze osoba czternasty rok licząca, któréj poznanie powinnoby już ocenić całą wartość troskliwości i czuwania rodziców nad nami. — Lecz nie chcę cię od razu obwiniać, i wolę te utyskiwania przypisać raczéj jakiemuś przystępowi marzenia bez myśli niż złéj woli, bo téż-to nie ty jedna między nami działasz i mówisz bez zastanowienia. Jednakże starsza od ciebie, powinnam cię naprowadzić na drogę rozwagi jeżeli z niéj zeszłaś, — Uważ sama, czy da się co porównać z szczęściem dziecięcia zostającego pod opieką rodziców, którzy wszystkie swoje myśli, starania, trudy, i nieraz utrapienia

odnoszą do szczęścia dzieci swoich, potrzeby nasze przewidują i uprzedzają, i o zabezpieczenie przyszłego naszego losu tak są troskliwi, a sami za to wszystko nie wymagają innéj od ciebie nagrody, jak tylko, ażebyś uporem lub nieufnością nie przeszkadzała im w prowadzeniu się drogą cnoty i szczęścia.

Kochana Alisiu! aby poznać, aby ocenić to błogie położenie nasze, nie potrzeba wieku doświadczonego, wiadomości, ani nauki, dość jest mieć serce czułe, i przejąć się zasadami moralności chrześcijańskiéj.— Przypomnij sobie tę troskliwość mamy,w czasie ostatniej twojéj choroby.— Albo czy nie wprzód masz stół zastawiony nim zapragniesz posiłku, czy nie wprzód otrzymujesz nowe suknie nim spostrzeżesz że się dawne niszczyć zaczynają? Ta troskliwość, to uprzedzanie jest rzeczywiście szczęściem jakiego się w późniéjszym wieku spodziewać nie możemy.— Jeżeli zaś rodzice nie dozwalają ci jakich niebezpiecznych zabaw, jeżeli strzegą byś nie obcowała z osobami inaczéj jak ty wychowanemi, jestże to niewolą? O! bynajmniéj. Zresztą ta ciągła baczność jest obowiązkiem rodziców, a ty Alisiu, z narzekaniem swojém podobną jesteś do owego dziecięcia, które znalazłszy jadowitego robaka, płakało przez dzień cały, że matka do ręki wziąść mu go nie pozwoliła.— Lecz ufam ja dobremu sercu twojemu;

pewną jestem, że zdasz się na wolę rodziców z zupełném zaufaniem, i kończę list mój temi wierszami naszego poety Zimorowicza:

Trzykroć szczęśliwy wiek kwitnącéj młodzi,
Która pod pieczą czułą jeszcze chodzi,
Wiek z każdéj strony
Błogosławiony.

Wilchelmina. S.

Pokłask i Błogosławieństwo.

Czy znacie dziewicę, piękną jak młodzieńcze marzenie, świeżą jak rozkwitające róży łono, z myślą jasną jak jutrzenka, dziewicę nadobną, wielbioną? — Czy w tańcu lekkim i uroczym, cały skarb wdzięków swoich rozwinie, czy w łonie jéj boskiém ożywiona natchnieniem iskra poezji zabłyśnie, lub harmonijna z piersi wydobędzie się piosnka, czy też w towarzystwie zadzi-

wia dowcipem i trafnością sądu, zawsze równie powabna i miła, zawsze zachwyca i uwielbienie wzbudza. — Więc ona bardzo szczęśliwą być powinna, więc życie jéj powinno być jasne, pogodne, jak jéj dni opiekuńcza gwiazda, co się w nadobne wpatruje oblicze. — Dziewico! jestżeś szczęśliwą? pełneż jest serce twoje? na niczém-że mu nie zbywa? uśmiech igra na ust twych purpurze, oko błękitne nadziemskim jaśnieje blaskiem, ale ja nie wierzę tobie, nie wierzę tym powierzchownym oznakom zadowolenia; w twojém sercu jest jakaś tęsknota, jakiś smutek; — czyż nie znudziły cię hołdy których jesteś przedmiotem? czy nie sprzykrzyły ci się pochwały jakiemi cię obsypują? czy może zdradliwy robak zazdrości nieczystém tchnieniem rumiane kazi lice? ... ja nie wiem tego, ale wiem że nie jesteś szczęśliwą, bo się czujesz wyższą nad tłum co cię otacza.

* *
*

Czy znacie niewiastę, co często w najpiękniéjszych chwilach życia swojego, opuszcza świat i ułudne jego rozkosze, zrywa związki z krainą złotych marzeń, ażeby pędzić dni swoje wśród nędzy i utrapienia? Czy znacie niewiastę, co potrzebując pociechy wyrzeka się saméj siebie, zapomina o sobie by nieść pociechę nieszczęściu i nędzy, by zamknąć zgrzybiałego starca powiekę,

by zastąpić matkę sierocie, czy znacie Siostrę Miłosierdzia? Jakże jéj poświęcenie pokorne i wzniosłe, jak godne poszanowania! a jakiż jest cel tego poświęcenia, téj pracy? jaka jéj nagroda?— Oto nędzarz przy którego łożu niejedną bezsenną noc spędziła powie jéj: Niech Bóg wam to nagrodzi! i to błogosławieństwo powtórzy głos tłumu nieszczęśliwych, co jéj staraniom ulgę w cierpieniach życia winni, a te słowa jak echo dobroczynne odbiją się w duszy zakonnicy, i napełnią jéj serce szczęściem nadziemskiém, szczęściem boskiego zachwycenia.— O! ona jest szczęśliwą! choć nie śmieją się jéj lica, choć łza błyszczy w jéj oku, ja wierzę jéj szczęściu.

Alfonsina K.

CASA BIANCA
(*Kaza Bianka*)

Syn korsykanina tegoż nazwiska, który jako kapitan służył w marynarce francuzkiéj, i w czasie sławnéj bitwy pod *Abukir* dowodził o krętem *Wschód*. Młodzieniec mający wtedy lat trzynaście wolał zginąć, niż opuścić przeznaczone sobie od ojca stanowisko, choć się okręt zapalił i cała osada go opuściła. — Pani Montgolfier opisała ten wypadek po francuzku, część tego opisu umieszczam, dla naszych czytelników w przekładzie.

... J dziecię samo jedno wśród płonącéj nawy
Stoi na opuszczonym przez mężów pokładzie;
Gdzie spójrzy, kłęby dymu, albo płomień krwawy,
Albo stosy poległych oku na zawadzie.—

Sam wpośród wichrów swistu, wśród burzy zamętu
Stoi smiało, chwyciwszy twardy maszt w objęcia,
A wały szalejące po bokach okrętu
Cichną, słabną, zdumiałe odwagą dziecięcia.

Cóż jemu śmierć, lub życie? czy zginąć od razu,
Czy w powolnych męczarniach młode dni zakończyć,
On żołnierz! a bez wodza, bez ojca rozkazu
Niewolno mu z ginącym statkiem się rozłączyć.

Lecz któż wyda ten rozkaz? zielonawe wody
Co rannych i zabitych w jednym łączą grobie,
Porwały twego wodza bohaterze młody,
Już z ich głębi głos ojca nie odpowie tobie!

Ojcze!.. wołał młodzieniec:... w długą chwilę potém
Ojcze! rzekł: czym nie spełnił jeszcze twojéj woli?
A rozpalone działa powtarzanym grzmotem
Zahuczały w odpowiedź rozpacznie, powoli....

Ojcze!... wytężył piersi ostatnim wykrzykiem,
Ojcze! jam tu sam jeden, okręt płonie wkoło!
Lecz jak wąż migający jaskrawym językiem
Ogień, dymem i żarem straszy młode czoło.

Długie włosy dziecięcia na wiatry puszczone
Jeszcze mu po ramioniach spływają w pierścienie,
Twarz spokojna, a oczy choć blaskiem olśnione
Poglądają bez trwogi w syczące płomienie.

One świszczą i grożą;— po masztach po linach,
Po rozpostartych żaglach na pokład zstępują.
Wre ołów i żelazo, miedź kipi w szczelinach,
Nawet z zwycięzkiéj flagi iskry ulatują.

Młodzieniec jeszcze stoi.... chwila ciszy-nagle
Huk się rozległ straszliwy, jękło morskie łono
A pręty, belki, trzaski, zpopielone żagle
Pokryły je szeroko żałobną zasłoną,
Jak gdyby uczcić chciały przestrzeń mętnéj wody,
Pod którą spoczął z chwałą korsykanin młody.

P. K.

PRZELOT ANIOŁA.

Kiedy ciągłych prac ciężarem,
Albo zabaw naszych gwarem
Droga matka utrudzona,
Chciała spocząć jaką chwilę;
To nas tuliła do łona,
Poglądała ku nam mile
I mówiła: „cicho, dzieci!
Cicho! — aniołek przeleci.“
A my wtenczas dłoń do dłoni
Podały w lubém milczeniu,
Każdéj oko w górę goni,
A każdéj dusza w spojrzeniu.
Nic nie widać — lecz wśród ciszy
Zda się każdéj, że prawdziwie
Słodki głos anioła słyszy;
A ten głos tak nóci tkliwie
Że wszystkich serca z roskoszą,
Aż ku niebu się unoszą!
Cóż tę radość w duszy nieci?
Gdzież był anioł? Zkąd te pienia?
—On w sercach posłusznych dzieci
Nócił poklaskiem sumienia.

W. T.

PIOTR DUNIN.

Kiedy sława Bolesława Krzywoustego rozeszła się po Europie, kiedy bliscy i postronni sąsiedzi podziwiali męztwo jego w bitwach i mądrość w rządach, młodzi ludzie chciwi walk i chwały poczęli ze wszech stron zjeżdzać się na dwór polski;— pomiędzy nimi był także Piotr młodzieniec z zacnéj i zamożnéj dnńskiéj rodziny. „Ten (jak mówi Kromer) wielką biegłością dowcipu swojego, cnotą, układnością i przyjemnością obyczajów, do tego, za okoliczném króla duńskiego poleceniem, rychło się w łaskę i przyjaźń Bolesława tak wcisnął, że potém od niego wielą wielkich majętności, a naprzód powiatem Skrzyńskim był zbogacony; nadto od tegoż Bolesława obdarzonym został małżonką w domu starożytnym książąt ruskich zrodzoną, która So-

biesławy pierwszéj żony księcia polskiego krwią dosięgała.

Piotr Duńczyk *) nauczył się języka polskiego, stosował się we wszystkiém do obyczajów krajowych, przytém cnotą i odwagą tyle sobie zjednał poważania, że mu lubo obcemu nikt szczęścia tak wielkiego niezazdrościł uważając je za zasłużone. Tak więc ugruntowawszy w Polsce pomyślność swoją, Piotr nie zerwał wszelako związków z Danją, i owszem zostawał zawsze w stosunkach z ojcem swoim Wilhelmem, który znaczeniem, powagą, a szczególniéj przyjaźnią i zaufaniem Henryka, króla swego, zaszczycał się.

W roku 1124 Abel brat króla, chciwy rządów, zamordował brata swego, i przy pomocy niecnych stronników opanował berło; lecz skarby królewskie powierzone pieczy Wilhelma, uszły wiedzy i ręki jego, a cnotliwy starzec w niepewności czy długo własność zmarłego monarchy pozostanie w ukryciu, przesłał wiadomość o wszystkiém co zaszło synowi swemu Piotrowi, z prośbą, aby zebrawszy poczet zbrojnych pospieszył do Danji, i raczéj do Polski uwiózł powierzony zakład, niżby go zabrać miał Abel, dla zbrodni i okrucieństwa od wszystkich duńczyków nienawidzony.

---

*) Bielski nazywa go Duńczykiem, Kromer Duninem.

Piotr Dunin nie chciał w tak ważnéj sprawie działać samowolnie, uwiadomił zatém polskiego książęcia o żądaniu ojca swego, błagając o radę i pomoc, któréj mu téż Bolesław nie odmówił, nietylko bowiem chciał wesprzeć męża zasługującego na przyjaźń i szacunek u niego, lecz pragnął swoją i rycerstwa swego sławę rozszerzyć w obcym kraju, i uwolnić szlachetny naród od jarzma przywłaściciela.

Przysposobiwszy potrzebne do tego okręty Bolesław z Duninem i hufcami swemi siada na nie, z pomyślnym wiatrem wkrótce na duńskie brzegi wysiada; a ogłosiwszy że jedynie w celu dopomożenia duńczykom i ukarania bratobójcy Abla, nie zaś w chęci zaborów i osobistych korzyści przybywa, postępuje ku twierdzom i obronnym zamkom, jedne siłą zabiera, inne dobrowolnie mu się poddają, i wszędzie księcia i żołnierzy polskich witają jako wybawców, jako przyjaciół. Przerażony wieściami takiemi Abel i stronnicy jego pierzchnęli w niedostępne ustronia; — Bolesław bez trudności całą Danją opanowawszy, pozostał w niéj czas jakiś by porządek i zaburzoną spokojność przywrócić, korony jednakże, którą mu część duńczyków ofiarowała, odmówił, tylko jako wynagrodzenie kosztów wojennych, przyjął skarby dotąd pod strażą Wilchelma zostające, a zabrawszy z sobą nie

tylko Piotra Dunina, lecz ojca jego i całą familję wraz z majątkami, powrócił do Polski, zostawiając w sercach duńskiego narodu wdzięczną i życzliwą pamięć o sobie.

Piotr postępując w lata i powagę nietylko świeckiemi zajmował się sprawami; nadzwyczaj pobożny pobudował bardzo wiele kościołów i klasztorów, zkąd urosło o nim podanie, jakoby siedmdziesiąt siedm kościołów z ciosowego kamienia wystawił i uposażył *). Będąc z ramienia Bolesława starostą kruszwickim i kaliskim, często z jednego do drugiego miasta przejeżdzał, w Koninie zatém, gdzie mu właśnie półowa drogi wypadała, kazał na cmętarzu przy farnym kościele postawić słup wielki, kamienny, który przez długie lata kolumną Duninową zwano.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego, i podzieleniu kraju między synów jego, gdy Władysław książę krakowski najstarszy z braci, nieprzestając na swoim dziale pokusił się o ich dzierżawy, Wszebor wojewoda sandomierski i hetman rycerstwa, wraz z Piotrem Duninem przekładali mu, by chciwych zamiarów zaniechał, upewniając że z sprzeczek rozpoczętych między książętami najgorsze wyniknąć mogły skutki. — Władysław słabego będą umysłu i przywykły radzić

*) Kromer ks. V.

się we wszystkiém żony swojéj Krystyny, opowiedział jéj, postępek dwóch owych panów, powtarzając nawet surowe wyrazy Piotra na Skrzynnie, których tenże na mocy wieku i dawnych zasług dozwolił sobie. — Córa i wnuczka niemieckich cesarzów zapaliła się gniewem przeciw człowiekowi, który zamiarom jéj stawał na przeszkodzie (ona to bowiem bardziéj niż mąż jéj, władzy nad całą Polską pragnęła); a widząc że opór tak znakomitego męża niełatwo jéj będzie zwyciężyć, przemyśliwała jakimby sposobem zaszkodzić mu, i usunąć z swéj drogi.— Dunin lubo roztropny zwykle, obruszony pewnego razu dotkliwym żartem książęcia, odpowiedział mu w śmiały i niekorzystny dla Krystyny sposób, czém większą sobie jeszcze nienawiść jéj ściągnął, i wkrótce doznał szkodliwych skutków jéj gniewu.

Pomimo nalegań żony, Władysław nie śmiał szkodzić ani upokarzać bez przyczyny Dunina, tak cenionego i szanowanego od książęcego ojca i od całego narodu, ale Krystyna, cudzoziemka, nie dała się tym wstrzymać, i poleciła przychylnym sobie dworzanom, by Piotra jakimkolwiek sposobem ująć i w moc jéj oddać starali się.— Długo żaden nie odważył się targnąć na prawego męża, aż nakoniec kiedy Dunin wydając córkę swoją za mąż w Wrocławiu świetne wyprawiał gody, Dobiesz z nakomitéj pochodzący rodziny,

i powiernik Krystyny napadł nań z nienacka, a korzystając z tłumu i koniecznego w takich uroczystościach nieporządku, schwycił tajemnie Piotra i zawiódł go przed oblicze Krystyny.

Mściwa niewiasta okrutnie postąpiła z przeciwnikiem swoim, albowiem nietylko że go uwięzić lecz i wzroku pozbawić kazała.— Później uwolniony Dunin żył jeszcze lat pięć, a Długosz i inni kronikarze wspominają że mu wzrok cudownym sposobem przywrócony został, przypisując to zasłudze, cnotom i pobożności jego.

Piotr Dunin, pan na Skrzynnie, krakowski, kruszwicki i kaliski starosta umarł w roku 1146 pochowany w Wrocławiu, w kościele świętego Wincentego, który sam był wystawił.— Był on głową rodziny Duninów którym jeszcze Bolesław Krzywousty nadał za herb łabędzia w czerwoném polu.— Potomkowie jego zaszczytnie zasłużyli się przybranéj ojczyźnie swojéj, między innemi Piotr Dunin podkomorzy sandomierski, który za panowania Kazimierza Jagielończyka w bitwie w Pucku zbił krzyżaków i bogate na nich zdobył łupy; a w ostatnich czasach, zmarły niedawno Marcin Dunin arcybiskup gnieźnieński i poznański, znany z prawości, pobożności i gorliwości swojéj.

P. K,

O SŁONIU.

Nietylko wielkością słoń przewyższa inne zwierzęta, jego siła, odwaga, przywiązanie, pamięć, a bardziéj jeszcze wdzięczność, umiarkowanie i posłuszeństwo, czynią go godnym pierwszeństwa pomiędzy wszystkiemi istotami które Stwórca poddał mocy człowieka. W stanie dzikim nigdy nie jest drapieżnym, krew żadnego nie ma dla niego powabu, a siły swojéj używa tylko w obronie siebie, lub w innych słoni potrzebie. Rzadko go samotnym spostrzedz można, lubi żyć gromadnie. Zachwycający jest widok przechodzącéj gromady słoni, każdy ma naznaczone miejsce; najstarszy przodkuje, drugi z kolei wieku postępuje na końcu, w środku idą młode i słabe, oraz matki unoszące trąbami dzieci swoje. Tego porządku jednak pilnują tylko wtenczas

kiedy idą paść się na uprawnych polach; w lasach i na ustroniu są wolniejsze nie obawiając się napaści ludzkich, jednakże zawsze trzymają się blisko siebie, aby w razie napadu łatwiéjszą nieść sobie pomoc mogły. Zdarza się czasem że się który zabłąka, takiego ścigają myśliwi; bo kiedy znajdują się w gromadzie, nierozsądkiem byłoby je zaczepiać. Wprost rzucają się na nieprzyjaciela; biada temu ktoby się wtenczas posunąć ku nim ośmielił, przebiją go kłami, albo porwawszy trąbą, rzucą nim jak kamieniem o ziemię i dodeptają nogami.

Starożytni uważali słonia jako cud natury, i mieli dla niego pewien rodzaj poszanowania. Ludy wierzące w metempsykozę, dziś jeszcze mniemają że postać tak wspaniałą musi koniecznie ożywiać dusza króla, albo jakiego wielkiego człowieka. W Siam, Laos i Pegu, słoniom białym oddają cześć, jako cieniom żyjącym, cesarzów indyjskich. Każdy ma pałac, dwór składający się z licznéj służby; w złotych naczyniach podają mu wyborne potrawy, stroją wspaniale i uwalniają od wszelkiéj pracy i posłuszeństwa.

Chwytanie słoni wiele podaje trudności, muszą całą przestrzeń w któréj się on znajduje otoczyć palisadami, albo napędzać go w wielkie doły umyślnie na ten cel kopane. Schwytany i połączony ze słoniami przyswojonemi, łatwo

daje się ugłaskać pieszczotami, groźbą lub postrachem razów, i staje się najłagodniéjszym i najposłuszniejszym ze wszystkich zwierząt.

Bardzo przywiązuje się do chodującego go człowieka, szuka sposobów okazania mu wdzięczności swojéj tysiącznemi pieszczotami i zgadywaniem chęci jego. Krótki preciąg czasu wystarcza mu do zrozumienia znaków i zmian głosu pana; a czy-to on rozkazuje, czy się gniewa, czy oświadcza radość swoją, zawsze go słoń zrozumié i wykona wolą jego, ale to zawsze dzieje się z pewném zastanowieniem, bo zwierzę to którego charakter zdaje się zgadzać z powagą postaci, równie jest rozważne przy okazaniu roztropności swojéj jak i przy zwykłych poruszeniach ciała. Po kilku tygodniach pracy nad nim, nietylko zgina kolana dla dogodności pragnących wsiąść na niego, ale głaszcze trąbą ulubionych sobie, i kłania się wskazanym osobom. Lubi ozdoby i widoczną okazuje radość, kiedy go pokrywają błyszczącém nakryciem, albo go w złocone zdobią zaprzęgi.

Pracuje chętnie, wielkie ciężary bez opierania się ciągnie, ale traci chęć zupełnie jeśli go ukarzą niesłusznie, albo nie okażą mu dosyć zadowolenia za podjęte trudy.

Szczególną jest u słonia małość oczu w porównaniu z objętością całego ciała, ale niefo-

remność tę nagradza sowicie, patetyczny i czuły ich wyraz; malujący dokładnie słodycz, przychylność, uwagę, roztropność i przenikliwość. Słuch i węch ma wyborny. Rozkoszuje się dźwiękiem muzyki i nadzwyczaj lubi wszelkie wonie.

Łatwo nauczyć go można wybijania taktu, poruszania się z nim zgodnie, i łączenia niejakich dźwięków do trąb i bębna odgłosów. Kwiat pomarańczowy najbardziej lubi, a jeżeli mu się zdarzy spotkać pomarańczowe drzewo, ogołaca go trąbą z całéj zieloności, i zjada owoce, kwiaty, liście, a młode drzewka nawet zupełnie pożera.

Siedlisko dotykalnego czucia u słonia jest tylko w trąbie; zadziwiająca ta trąba jest tém dla niego, czém ręka dla człowieka, a zbudowana w taki sposób, że zwierzę może dowolnie przedłużać ją, skurczać, giąć i obracać na wszystkie strony. Na końcu trąby znajduje się wypukłość przedłużająca się z wierszchu w kształcie palca, jéj słoń używa z niezrównaną zręcznością do podnoszenia z ziemi najdrobniejszéj monety, do zrywania po jednym kwiatku z krzaczka, do rozwiązywania węzłów, zamykania i otwierania drzwi zamkami opatrzonych, a nawet do kreślenia kształtnych głosek, narządziem wielkości pióra zwyczajnego.

Imbardziéj zastanawiamy się nad trąbą słonia i całą jéj zręcznością, tem-łatwiéj przyznać mu-

simy że z wszystkich narzędzi jakiemi Stwórca opatrzył najulubieńsze stworzenia swoje, ona jest najdokładniéjszém i największego podziwienia godném dziełem.

Kiedy posiadacz słonia chce go zmusić do wykonania jakiego trudnego dzieła, do którego zwierzę zupełny wstręt okazuje, natenczas przyrzeka mu dać araku albo co z ulubionych jego potraw lub napojów, a słoń podwaja usiłowania; ale biada temu, ktoby igraszkę z przyrzeczeń robił, nie minie go sroga zemsta, czującego krzywdę zwierzęcia.

W Dekan zdarzył się następujący wypadek. Słoń zawiedziony przez swego pana, silném uderzeniem odebrał mu życie. Żona nieszczęśliwego, przytomna temu, w uniesieniu żalu rzuca mu dwoje pozostałych dzieci pod nogi i woła: „Kiedyś mi zabił męża, to i mnie i dzieciom odbierz życie„ Ale słoń zatrzymuje się na te słowa nagle, i łagodząc się, jakby uczuwał jéj cierpienie, obejmuje starszego chłopczyka trąbą, na grzbiet go swój zakłada, uznaje go panem swoim i odtąd jemu tylko posłuszny, innego znać nie chciał.

Ależ ten słoń tak popędliwy w zemście, pamięta świadczone sobie przysługi i wdzięcznym za nie być umié.

W Pondiszery był żołnierz który przez szcze-

gólną do jednege słonia przychylność, nosił mu często miarkę araku, żołnierz ten razu jednego upojony winem; chcąc uniknąć kary więzienia, położył się pod tymże słoniem i zasnął wygodnie. Warta szukająca winnego, odkryła jego schronienie, ale żadną miarą wydobyć go nie mogła, tak silny opór słoń trąbą swoją jéj stawił. Żołnierz w głębokim śnie całą noc tak przebył.— Ze świtem budzi się wytrzeźwiony i z przestrachem spostrzega, gdzie się znajduje, ale zwierz zrozumiawszy przerażenie nieszczęśliwego żołnierza, uspakaja go głaskaniem trąby i wyjść pozwala bez najmniejszego szwanku.

Raz w Indjach zraniono młodego słonika, chirurg chciał go opatrzyć, ale uparte zwierzę broniąc się z całéj siły nie chciało na to pozwolić, przytomna temu matka słonika, zrozumiawszy że synowi jéj pożyteczną będzie chwilowa przykrość, uchwyciła go trąbą i trzymała dopóty, dopóki chirurg należycie rany nie opatrzył.

Przed kilkoma laty przyjechał do Warszawy cudzoziemiec mający z sobą słonia, którego za pieniądze pokazywał; warszawianie odwiedzali go tłumnie, ale zdarzyło się że w jakiś czas po jego przybyciu, człowiek pzynoszący mu zwykłe pożywienie zachorował mocno; słoń poczuł wkrótce nieobecność jego, zaczął tęsknić i nie chciał od nikogo przyjmować pokarmu, próżno zmie-

niano dozorujące go osoby, próżno podawano mu łakotki które najwięcéj lubił, odrzucał wszystko, a w kilka dni z głodu i tęsknoty opanowało go szaleństwo w którém życie zakończył. Skórę jego wypchaną widzieć można w warszawskim zoologicznym gabinecie.

Uczeni dowodzą że słoń kilka wieków żyć może, Alexander najpierwszy sprowadził go do Europy. Żyje pospolicie we wszystkich krajach południowych Afryki i Azji, w Cejlanie, Mongolji, Sianie Pegu i wszystkich częściach Indji. Używają go do wojny i wszystkich ciężkich robót. Zwyczajnie bez zmęczenia do dwunastu mil drogi odbywa dziennie, w potrzebie nagłéj może do dwudziestu czterech mil przebiedz w tymże przeciągu czasu.

Słonie są bardzo drogie, sprzedawano je od tysiąca pagodów złotych, do pietnastu tysięcy rupji, to jest od dwudziestu tysięcy złotych, do siedmdziesięciu tysięcy! Utrzymanie słonia także dużo kosztuje; temu którego król portugalski przysłał Ludwikowi XIV dawano dziennie dwadzieścia cztery funty chleba, trzy garnce wina i dwa wiadra polewki, do której wchodziło jeszcze kilka funtów chleba, albo ryżu, nielicząc w to dawanego przez odwiedzających pożywienia.

W. T.

LISTY Z PODRÓŻY

(ciąg dalszy)

LIST VI.

Praga 7 lipca 1840 r.

Wandziu! jaka już przestrzeń nas rozłącza! toż ja już w Pradze czeskiéj, już stomilową odbyłam podróż. Doprawdy sama nie wierzę sobie; dwa razy na karcie jeograficznéj policzyłam mile, dwa razy w kalendarzyku dni zliczyłam i pojąć nie mogę że to już tak daleki ostatni dzień naszego widzenia się w Warszawie, że ta Warszawa już tak daleko. Ach! ta to bezczynność podróży tak dni chłonie, tak bez śladu upłynione zostawia, że kiedy przyjdzie wspomnić o nich, to wiją się w myśli jak marzenie, jak snu ułuda, ale życia w nich pamiątki brakuje.

Bo wyobraź tylko sobie, co to za nuda, cały dzień z założonemi rękoma siedzieć w powozie. Czytać długo nie można, książka ci ciągle ska-

cze nieznośnie, oko się zmęczy i przestać trzeba, szycie jeszcze gorzéj idzie, o pisaniu, choćby ołówkiem ani pomyśleć; rozmowa jedna pozostaje, ale że mama cierpiąca i osłabiona, podróż ją ciągle usypia, więc my milczyć musimy. Czy pojmujesz ile to trzeba odwagi aby nie zasnąć w milczącéj podróży po bitym gościńcu? odwagi dla mnie zwłaszcza; bo tatko ma tyle interessów na głowie, wierzę, że on cieszy się ze spokojnéj chwili, Brońcia też o kilka lat starsza ma wspomnienia, układy na przyszłość, ale ja doprawdy, o czemże ja mam myśleć? Moja przeszłość jeszcze taka krótka, taka jednostajna, jéj wspomnienia prędzéjby skleiło powieki, a przyszłość zanadto urocza w obietnicach, ona ukołysałaby mnie tak snadnie, jak ukołysze dziecię dźwięczna piosnka nianki o złotowłoséj królowéj. Ale że ja się z całą siłą snu chronię, że się przespania podróży boję— więc wyrobiłam sobie pozwolenie u mamy zajęcia czasem miejsca na koźle. Poczciwy nasz Paweł chętnie mi swego ustępuje siedzenia, on za powozem zajmuje miejsce, a ja przypatrując się okolicom, gawędząc trochę z woźnicą, jako tako się zajmuję i sen odpędzam.

Uśmiechnęłaś się pewno, doczytawszy końca moich wyznań, i pomyślałaś: „sama się z sobą nie zgadza; nudno jéj w ciągu drogi, a tak jéj

się krótkim przeciąg rozłączenia naszego wydaje.“ Wierz mi, Wandziu, ja szczerą prawdę mówię, każdy dzień biegnący, długim mi się wydaje w podróży, każdy ubiegły mignięciem tylko, bo wszakże to prawda, że czczo w próżni i to większa jeszcze prawda że próżnia to nic.

Listów waszych, mimo nadziei ciągłéj, nie zastaliśmy, i podobno nawet nie doczekamy się w Pradze, niedobrze musieliśmy wyrachować, a przytém i powolność poczt austryackich do opóźnienia przyczynić się mogła. Ja jednak dla Ciebie zebrane szczegóły podróży, jak zaczęłam tak i daléj opisywać będę. — Z Ołomuńca był list ostatni na samym wyjeździe pisany. Mała już przestrzeń Morawji do przebycia pozostawała i tę zasmucił widok przed kilku tygodniami spalonego miasta *Grünau;* wielki musiał być pożar, kiedy w murowaném mieście tak znaczne pozostawił ślady. Z żalem poglądaliśmy na straszliwe jego skutki, których okropność powiększył widok obłąkanéj dziewczynki. Nieszczęśliwa, przestrach pożaru zmysły jéj pomieszał; dotąd biega ciągle w jedno kółko, niby ratuje swoje małe siostrzyczki, niby matce wynosić sprzęty pomaga. Rozprawia głośno, woła, przestrzega, wszystkichby kochającém ochronić chciała sercem — o! jakąż boleścią musi być dla rodziny, widok tych starań!

Za Grünau wielka góra stanęła do przebycia. Zdawało się niepodobieństwem, aby konie z ciężkim powozem na jéj wierzchu stanęły. Wysiedliśmy dla ulżenia; zajęta zbieraniem poziomek nie uważałam na okolicę aż kiedy przy zaczynającéj się równéj drodze woźnica wezwał nas do wsiadania. Spójrzę przed siebie — co za widok wspaniały. Białe domki Grünau, ocalone od zniszczenia, i okopcone niedopalonych mury, po dwugodzinnéj podróży jeszcze leżą u stóp skalistéj góry, poniżéj nas— ale jeszcze na górze, droga wykuta niegdyś do kopalni ołowiu niedawno zarzuconéj, nad nami jeszcze góra z dotykającą drogi ścianą skalistą; do tego ciemnych świerków powaga, i mchów różnowzornych barwa harmonijnie się łącząc, zachwycają oko, a serce wznoszą do tego Pana, którego ręka tak szczodrze w rozliczne wdzięki uposażyła naturę.

Dużo ztąd wywożą kamienia ciosowego— w tych bowiem okolicach rzadko używają cegły do wznoszenia murów, zastępują ją najczęściéj kamieńmi ze skał odłamywanemi, których nierówność w ścian stawieniu, wypełnia przyrządzona glina. Mur taki ma być spieszniéjszy, ale nietrwały i długo wilgoć utrzymuje.

W pierwszéj wiosce za górą ujrzeliśmy znaki stanowiące granicę Morawji z Czechami: na dwóch słupach różniących się tylko kolorem, bo na mo-

rawskim karmazynowy z białym, na czeskim błękitny się odznacza, na tych dwóch słupach przybite znaki narodu— i oto granica! granica, o którą tyle razy krwawe toczyły się wojny.

Przejeżdzaliśmy porządną kolonję obsiadłą samemi niemcami, śliczne domki, przy każdym ogródek— sad maleńki i kilka gospodarskich budynków. W polu pracowało kilku mężczyzn w jasnych fartuchach przy zwyczajnym ubiorze, i dwie kobiety kosiły trawę; jakże przeciwne dla oczu naszych obrazy!

Zwitau pierwsze miasto czeskie gdzie trzeba było nocować niebardzo zaleciło wstęp do czeskiéj krainy, po uroczéj Morawji— ale za to *Königingrätz* podobać się musiał piękną fortecą utworzoną w miejscu gdzie Adler wpada do Elby, i inne bliższe Pragi okolice, zapowiadające stolicy piękność.

Nareszcie ujrzeliśmy zdaleka liczne wieże i dzwonneic starożytnéj Pragi;za zbliżeniem długie winnice, śliczną zielonością okryta okopowa plantacja miasto otaczająca, i poważnéj Mołdawy wstęga wśród świeżéj tocząca się zieloności, kolejno oczy nasze zwracała. Przebyliśmy długie i porządne przedmieście i przez *Spittel Thor* wjechaliśmy w obręb samego miasta, w téj części Starém-miastem (Altstadt) zwanego. Gospodzie naszéj *niebieska* przyświeca *gwiazda*, gdyż w Pradze, niemiecki

przyjęto zwyczaj oznaczania domów i sklepów szczególnemi cechami, i tak zobaczysz tu *damę dworską* obok wspaniałego *turka, złotych jeleni* spokojnie na dzikich *lwów* patrzących, *białego konia, czarnych aniołów* i tysiące tym podobnych znaków.

Nazwisko Pragi wywodzą od prag wyraz po czesku znaczący próg— albo wyniosłość ziemi w korycie rzeki zawartéj, albo nareszcie skałę piętrzącą się, taką samą na jakiéj pierwszy zamek królewski był tu wystawiony. Założycielką Pragi miała być Libussa żona Przemysława pierwszego książęcia czeskiego w początku ósmego stulecia po Chrystusie, niedługo potém stała się stolicą państwa, a odtąd los stolicy o losie kraju wyrokować zaczął. Pośród starego miasta wznosiła się skała na któréj obieranym bywał książę, późniéj zdobycie miasta losy państwa roztrzygało.

Uniwersytet pragski założony przez Karola IV. w 1348 roku najstarożytniéjszy w téj części Europy— wyprzedził wszystkie niemieckie podobne zakłady, a chociaż współczesny pierwszéj akademji krakowskiéj przez Kazimierza W. założonéj, przewyższał ją początkowo, i wielu polaków przed odnowieniem akademji ojczystéj w Pradze pobierało nauki.

O! lubię Czechy, czy pobratymcze, czy hołdo-

wnicze, czy nawet już obojętniejsze dzisiejsze, bo one nam wielkie dały bogactwo, one nam wiarę dały.

Stare-miasto (Altstadt) Pragi, leżące na prawym brzegu Mołdawy— które ona od północy i zachodu strzeże, jest najhandlowniéjszą i najludniéjszą częścią stolicy, chociaż i wązkie starożytne ulice i smętna odwiecznych domów postać odstręczaćby powinna. Tamto znajduje się duży rynek (Grosse Ring) obok ratusza miejskiego, w niekształtny kwadrat zbudowany. Otaczają go znacznéj wielkości domy, a w środku wznosi się posąg Najświętszéj Panny, na wysokiéj wzniesiony kolumnie. Posąg ten wystawić kazał Ferdynand III po uwolnieniu miasta od szwedów, a do dzisiaj jeszcze w dni uroczystości Marji lud tutaj pobożne śpiewa hymny.

Ratusz chociaż jeszcze w czternastym budowany wieku, tyle zniósł przemian, że dzisiaj zaledwie dostrzedz można w niektórych częściach, starożytnego kształtu. Zegar jego szczególny, robiony w 1470 r. przez Hanuscha i jednego z uczniów jego, popsuty dzisiaj— tylko żal wzbudza.

Mały rynek (Kleine Ring) w trójkąt zbudowany łączy się z dużym szeroką a krótką ulicą. W nim pałac jeden szczególnie pięknéj archytektury, w całéj Pradze równego sobie nie ma.

Kilka pięknych i starożytnych kościołów mię-

dzy któremi kościół Wniebowzięcia Najświętszéj Panny (Teinkirche) odznacza się grobowcem sławnego astronoma *Tycho Brahe*, a kościół S. Franciszka Serafickiego pięknemi obrazami narodowych czeskich artystów.

Tak zwane Kollegium jezuickie, czyli małe miasto wśród miasta, zawiera w swoim okręgu uniwersytet, gabinety, obserwatorjum, dwie biblioteki, drukarnię, akademię sztuk pięknych, księgarnię i wiele mieszkań.

Ulica *Graben* najpiękniéjsza ze wszystkich ulic łączy Nowe ze Starém miastem, szeroka i prosta, na jéj wzór inne ulice Nowego-miasta urządzane. Część ta Pragi odznacza się wielką starannością ozdób i rozkładu; domy niższe, ogrody obszerne i liczne, nadają jéj wiejski wyraz, a powietrze czyste i zdrowe sprzyja licznym zakładom zdrowia, w téj stronie miasta urządzonym.

Rossmark (targ koński) jest to długi kwadrat nakształt ulicy bardzo szerokiéj, z wygodnemi chodnikami i doskonałym brukiem, na środku jego wznosi się posąg S. Wacława, około którego lud pobożny 28 listopada religijną obchodzi uroczystość.

Ośm kościołów katolickich w Nowém-mieście Pragi, fundował Karol IV; my ledwie z nazwisk je poznaliśmy — bo trzy dni tylko bawiąc w tak

dużém mieście nie można poznać dokładnie szczegółów jego.

Ale— zapomniałam ci wspomnieć o wielkich składach szkła w Starém-mieście, którém słusznie chlubią się Czechy; co tylko zbytek wymyśleć może, elegancja uświęcić, wszystko-to tu zgromadzone znajdziesz. Wykwintne do herbaty zastawy, wazony różnych kształtów i wielkości, koszyczki, serwantki całkowite i mnóstwo tych drobnostkowych gracików, co żadnego nieprzynosząc użytku, zapełniają stoliki i szafki modnych buduarów. A wszystko w rozmaite bogate barwy i złotem i srebrem strojne. Rodzice moi, różne kupowali rzeczy— a ja też dla Ciebie wybrałam pieczątkę, już i Twoja cyfra wyrznięta. *Hradschin* (gród) zwiedziliśmy dokładniéj, spróbuję opisać ci tę wycieczkę wczorajczą. Już-to głównym celem była chęć poznania zamku, a że on leży na lewym brzegu Mołdawy, most przebyć musieliśmy. Domyślasz się żeśmy piechotą go przeszli.

Wspaniały most ten zaczął budować z rozkazu Karola IV w 1357 roku architekt Piotr Arlieri bolończyk, praca ta trwała przez ciąg panowania Karola, ale wojny ciągłe pietnastego wieku przerwały ukończenie i dopiero w 1507 roku most stanął i trwał aż do czasów Józefa II. za którego panowania w 1788 roku naprawiwszy

i przekształciwszy go nieco do dzisiejszego przyprowadzono stanu.

Most pragski odznaczający się trwałością i powagą, wzniesiony jest na szesnastu arkadach, z pięknego ciosowego kamienia. Na dwóch końcach jego znajdują się dwie wieże starożytne z kamienia także zbudowane, które kiedyś obronę mostu stanowiły. Ozdoby pierwszéj wieży, dosyć wydatne jeszcze, składają się z osób i herbów różnych narodów związkowych kiedyś z Czechami; druga więcéj zniszczona i czasu i wojen skutkami.

Na początku ośmnastego wieku ozdobiono most tutejszy, a w miejsce kilku zniszczonych pomników, umieszczono dwadzieścia dziewięć grup posągów, z dodatkiem imion i herbów fundatorow. Najwięcéj zajmuje Krucifix metalowy wykonany w Dreźnie i posąg S. Jana Nepomucena patrona Pragi, z bronzu ulany w Nurembergu, na ośm stóp wysoki; kosztował siedm tysięcy złotych, konwencjonalną monetą, czyli przeszło dwadzieścia ośm tysięcy naszych złotych. Fundował go baron Wunschwitz. Uroczystość świętego Jana, obchodzona corocznie u stóp tego posągu, na tém samém miejscu, na którém ten święty otrzymał palmę męczeńską, zawsze tu podobno nadzwyczajną liczbę pobożnych sprowadza.

Z mostu widać na rzece kilka po obu stro-

nach w różnéj odległości rozruconych wysepek. Każda starannie utrzymana, drzewem zacieniona, letnim przyozdobiona domkiem, licznie odwiedzających ma gości.— Strojne gandole wiozą na nie, a jedna nawet małą Wenecją się nazywa. Tutaj dopiero muzyki nasłuchać się można; każdy statek oddzielną ma orkiestrę, na wyspach oddzielne grają — a wszystkich dzwięki czasem się dochodzą i łączą wzajemnie! Bo jużto całe Czechy bardzo muzykalnym są krajem. W każdym domu znajdziesz fortepian, skrzypce i wcale niezłych wirtuozów, a gdzie się ruszysz po mieście wszędzie ci w oko wpadnie, gruppa przechodnich harfiarzy do licznych wód czeskich rozchodzących się, bo Czechy, to ojczyzna tych nawet, co do ogródków warszawskich wabią przechodzących dzwiękami miłego instrumentu.

Minąwszy most dostaliśmy się na tak zwaną *Mniejszą-stronę* (Kleinseite) a przeszedłszy obok kościoła Ś. Mikołaja wzniosłą ozdobnego kopułą i wspaniałym portykiem, wstąpiliśmy po drodze do kościoła Ś. Tomasza, aby zobaczyć w wielkim ołtarzu obraz oryginalny Rubensa. Przedstawia on chwilę z życia Ś. Augustyna, kiedy na brzegu morza spotyka dziecię, łyżką wyczerpać pragnące wody niezmiernéj głębinę. Na cmentarzu tegoż kościoła znajduje się nagrobek Elżbiety Joanny Weston wsławionéj elegiami ła-

cińskiemi. Młoda ta poetka urodziła się w Londynie 1582 r. ze szlachetnéj angielskiéj familji, wychowana w Brux w Czechach, umarła w Pradze 1612 r. poezje jéj już pięciu doczekały się edycji, a życie opisał Pelzel.

Ztamtąd już prosto udaliśmy się na zamek. Położenie jego, rozległość i kształt budowy kładą go w liczbie najwspanialszych. Obszerne ma dziedzińce, a portyk zbudowany 1614 roku przez włocha Scamozzi, wspaniałością i gustem przewyższa wiele innych zamków. Posągi zdobiące go, i zajmujące wdziękiem rozmiarów sklepienia, słusznie do arcydzieł liczyć się mogą. Kaplica zamkowa znajduje się w pierwszym dziedzińcu, w drugim mieszkanie cesarzów i posąg bronzowy Ś. Jerzego z czasów Karola IV. Już tylko mała liczba komnat zachowała szczątki dawnéj wspaniałości, wszystkie inne ozdobne w dzisiejszym guście. Wielka sala Władysława, na ceremonje dworskie przeznaczona, zasługuje prawdziwie na uwagę, piękném sklepieniem, również jak sala hiszpańską zwana.

Ten wspaniały jednak zamek dopiero Ferdynand I zaczął budować, a następcy jego 1756 r. dokończyli; dawny zaś zniszczony, w dwóch wieżach szcątki pozostawił i w izbie trybunalskiéj ozdobnéj sądem Salomona, i innemi malowidłami czerpanemi z historji czeskiéj.

Ogród pałacowy początkowo w starożytnym francuzkim guście zakładany, teraz nową przybierać zaczyna postać. Za nim wznosi się pawilon królewski Ferdynanda I, zbudowany 1534 r. przez Ferrabosko di Lagno, kosztował sto tysięcy złotych.

W pobliżu zamku znajduje się obszerny spacer *Ogrodem ludu* zwany (Volksgarten), zkąd wspaniały widok na całe miasto, wybrzeża Mołdawy, i bliższe stolicy okolice.

Kościół S. Gwidona łączy się z zamkiem ukrytą galerją, a jego arkady i kolumny równie zręczne jak śmiałe, łączą wieżę z nawą. Jeszcze święty Wacław pierwszy tu kościół wystawił, który wiele przeszedłszy zmian i kolei dokończony i do dzisiejszego przywiedzony stanu przez architekta Piotra Arlieri bolończyka, poprzednio zajmującego się budową mostu.

Piękne malowidła al fresco zdobią ściany wnętrzne kościoła, ale one równie jak i kaplica S. Wojciecha już późniejszych czasów dziełem. Wieża kościelna, zmniejszona skutkiem pożaru, już nie wróciła do dawnego kształtu, a dzisiejsze jéj pokrycie przeciwne zupełnie wspaniałości całego gmachu.

W nawie kościoła widzieliśmy pyszny pomnik monarchów czeskich z białego marmuru, wzniesiony staraniem Rodolfa II, ponad grobami

w których Karol IV, ze swemi czterema żonami Ładysław, Jerzy Podiebrad, Ferdynand I, i Maxymilian II spoczywają, pomnik ten zdobią portrety tychże monarchów.

Najwspanialsza jest kaplica Ś. Wacława, mury jéj ozdobione złoceniami, drogiemi kamieńmi, i obrazami z życia S. Wacława wziętemi; portret Karola IV. i żony jego Elzbiety także tu się znajduje. Tu spoczywa ciało świętego Wacława, jego zbroje i miecz którego przy koronacji i pasowaniu rycerzy używali królowie; tu jest model katedralnéj wieży i wiele innych religijnych i historycznych pamiątek.

Wielki ołtarz zdobi obraz Najświętszéj Panny przez Holbejna wykonany, Ś. Jana Ewangelisty i Ś. Gwidona pracy Thomasa. Po prawéj ręce wielkiego ołtarza jest bardzo bogaty grób Ś. Jana Nepomucena pod karmazynowym baldakinem. Język tego świętego zachowany w kryształowém naczyniu, a całe ciało w srebrnéj spoczywa trumnie.

Najstarożytniejszą osobliwością tego kościoła jest kandelabr metalowy przechowywany w kaplicy S. Zygmunta, a który jak podanie niesie pochodzi z świątyni Salomona w Jeruzalem wzniesionéj. Przy wzięciu Medjolanu miał dostać się Władysławowi I, czeskiemu księciu, który go następnie katedrze darował. Przez kratkę tylko

widać podstawę trojgraniastą ustawioną na marmurze, złożoną z grup figur dziwacznych, są to lwy mordujące ludzi, smoki, i tysiące innych dzikich zwierząt walczących z drugiemi.— Zwierznia część tego kandalabru ukończona w ośmnastym wieku, z popiersiami świętych pańskich, wychodzi nad powierzchnię ołtarza.

Zajął nas jeszcze bardzo pracowity obraz mozajkowy, wystawiający ciał zmartwychwstanie i portrety świętych patronów czeskich.

Obok zamku jest pałac arcybiskupów, starożytnéj ale szlachetnéj postawy, a naprzeciw niego zupełnie w nowym guście zbudowany pałac książąt Schwarzenbergów.

Kościół Ś. Jerzego przechowuje szczątki kilku książąt czeskich, przy nim był klasztor benedyktynek których ksieni wyniesiona do dostojności książęcéj, miała prawo koronowania królowéj czeskiéj. Kościół ten i klasztor zniesiony, dwa razy tylko do roku otwiera się w dzień świętego Jerzego i Ś. Ludmiły.

Otóż i wszystko co ja ci o Pradze powiedzieć mogę, nie dziw się, moja droga, ale uważaj na krótkość pobytu naszego. Praga obfituje w zakłady naukowe i dobroczynne, między ostatniemi pierwsze miejsce trzyma, Ochrona małych dziatek na Hradku, w Nowém-mieście, wzorowo prowadzona przez Wł: Swobodę; dwa zakłady dla ocie-

mniałych, głuchoniemych instytut, dom zarobkowy dla dziewcząt ubogich rodziców, domy przytułku sierot i wiele innych, których my dla braku czasu już zwiedzić nie możemy, a ja tylko z przewodnika pragskiego wiadomość o nich powzięłam.

Żegnam Cię, Wandziu kochana, a pamiętaj, że w Marienbadzie my kilka tygodni bawimy, tam z pewnością listy dochodzić mnie będą.

W. T.

BRAŃCY OPRYSZKÓW

KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

KAZIO lat 13.
HELENKA jego siostra lat 12. } dzieci z Podgórza.
SZYMON opryszek la 40.
SOBEK lat 12.
BASIA lat 11. } jego dzieci

Rzecz dzieje się na pierwszym łańcuchu Karpat.

Scena I.

Okolica górzysta, skały szare sterczą do koła, gdzieniegdzie krzaczek jałowcu, w głębi jaskinia z szerokim otworem.— Mrok poranny.

KAZIO (*stoi przy wnijściu do jaskini, Helenka wsparta na stosie suchego mchu, śpi*)

KAZIO.

Już przecie dnieć zaczyna, jak to dobrze! przez noc całą tak byłem niespokojny, zdawało mi się że co chwila grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, że.... że może już nie ujrzymy tego ranka, a tymczasem dzięki Bogu świtać zaczyna, i my jeszcze cali i zdrowi.— Co za blask! nigdy w górach, wschodu słońca nie widziałem.— Patrz Helenko!... ale nie, niech spi sobie, ona taka znużona! (*siada na kamieniu, i zadumany pogląda na góry, które jutrzenka złocić zaczyna*).

HELENKA (*porusza się przez sen*).

Babuniu!.... już, już wracamy!.... ach! co za straszni ludzie!.... (*zrywa się nagle, i stanąwszy przeciera sobie oczy*). To mi się tylko śniło! (*pogląda wkoło siebie*) ale gdzież ja jestem?... Kaziu!

KAZIO.

Nie śniło ci się, siostro kochana, jesteśmy w skałach, w jaskini, którą opryszki śpiżarnią

nazywają; ale znać że z nich niedobrzy gospodarze, bo prócz kawałka chleba i słoniny które nam wczoraj zostawili, nie widzę innych zapasów.

HELENKA.

Ach! ty jeszcze masz siłę i odwagę do żartów, po takiéj przygodzie, w takiém niebezpieczeństwie!

KAZIO.

Prawda, że to niemiło być jeńcem opryszków, ale co do niebezpieczeństwa, to wyznam ci szczerze, że się go dziś nie lękam.

HELENKA.

Jakto! czyliż nie wiesz, że co chwila nadejść mogą ci okropni ludzie, zabiją nas, zamordują! ach jakże ja się boję!

KAZIO.

Uspokój się Helenko! wszak gdyby mieli jakie złe względem nas zamiary, mogliby je wczoraj wykonać, kiedy tak niebacznie wpadliśmy do ich obozu.

HELENKA.

Tak, niebacznie w saméj rzeczy; — ale z czyjéj winy? prosiłam cię: mój Kaziu, mój kochany, już lepiéj gdzie pod drzewem noc przeczekajmy; — ale tyś się uparł; — pójdźmy do światła! — i poszliśmy też w ręce zbrodniarzy, opryszków.....

KAZIO.

Prawda że w tém moja wina, ale wierz mi, dość już mam kary patrząc na twą niespokojność;— nie wyrzucaj mi tego, czego przewidzieć nie mogłem.

HELENKA.

Nie, nie, ja ci nic nie wyrzucam, wszak ty cierpisz wraz ze mną, a nie skarżysz się, choć może i ja winna jestem trochę, bom pierwsza myśl podała by iść w góry po te śliczne białe kwiatki, których tu takie mnóstwo rośnie.

KAZIO.

Bezemnie jednak nie poszłabyś tak daleko żeby się aż zabłąkać.

HELENKA (*wspiera się na ręce brata*).

No! już oboje równośmy zawinili! bodajby się to tylko dobrze skończyło!

KAZIO.

Mnie się koniecznie zdaje że nam nic złego nie zrobią, nie wiem czyś uważała wczorajszą rozmowę?

HELENKA.

Gdzież tam! mnie tak ze strachu w uszach szumiało, że pewniebym i Kościenickiego dzwonu nie dosłyszała.

KAZIO.

Otóż kiedyśmy weszli między wieczerzających

opryszków, zaczęli się zaraz naradzać co znami począć; najwięcéj głosów radziło puścić nas wolno, ale jeden, który choć młody zdawał się mieć jakieś między nimi znaczenie, rzekł: że moglibyśmy wróciwszy do domu na ślad ich naprowadzić wieśniaków lub milicję, i że należało nas zatrzymać, dopóki sobie bezpieczniejszego nie znajdą schronienia.

HELENKA.

Dałby to Bóg! jednakże ja dotąd drżę myśląc o owych strasznych powieściach, które u nas przy kądzieli opowiadają o opryszkach i ich wodzu.

KAZIO.

I ja wczoraj w wieczór byłem cokolwiek w obawie, lecz po całonocnéj rozwadze przekonałem się, że powieści,— to zwyczajne powieści, a opryszki nie tak straszne jak ich malują.

HELENKA.

W istocie, ja sobie ich zupełnie inaczéj wystawiałam; sądziłam że wszyscy muszą być brodaci, z rozczochranym włosem, w obdartéj odzieży, z zakrwawionemi rękami, a to sobie ludzie jak i wszyscy, w góralskich burkach, w kapeluszach, nawet u niektórych mosiężne kółka na rzemiennych pasach świeciły;— kiedy zaś ten wysoki opryszek co nas tu prowadził, pomagał mi wstę-

pować na drabinę, spojrzałam mu na ręce,— prawda że nie były tak czyste i białe jak u nas, ale co krwi to ani znaku na nich nie widziałam.

KAZIO.

Nie trwóżmy się więc próżno, bo pewnie za kilka godzin uwolnią nas z téj jaskini, a wtedy...

HELENKA.

O! jakże spieszyć będziemy do domu, do dobréj kochanéj babuni! jak téż ona tę noc przebyła, w jakiéj niespokojności, w jakiéj trwodze! pewnie tam wszystkich ludzi ze dworu porozsyłała na szukanie nas.

KAZIO.

Dobra, kochana babunia! mój Boże! jak to i bez złego zamiaru zawinić można, oto mamy na sumieniu łzy i przestrach drogiéj babki, i dla czego? by zebrać garstkę kwiatów, bez którychby się wszyscy obyli.

HELENKA.

Jeżeli wrócimy do domu szczęśliwie, przyrzekam że już nigdy w góry nie pójdę, chyba w towarzystwie kogo starszego.

(słońce coraz powstając rozwidnia okolicę).

KAZIO.

Patrz Helenko co za widok! jakież to śliczne to słoneczne światło powstające nad szaremi go-

rami! a w dole, spójrz tu przez krzaki, jak mgła przed dniem ucieka;— podczas gdyś ty spała poglądałem tędy kilka razy; zdawało mi się że jesteśmy na jakiemś niebotycznem miejscu, i że u nóg naszych obłoki się snują; ale teraz uważaj, jak z opadającéj mgły występują coraz to niższe wzgórza, drzewa,— ale— cóż ja to widzę! siostro! znasz ty to miejsce?. ..

HELENKA (*odsuwa gałęzie rosnące na brzegu góry*),

Tę czarną przestrzeń na dole?... to... zdaje mi się do naszéj olszynki podobne, ale to być nie może!.... jednak.... ten żółty wzgórek na którym biały słup jaśnieje.....

KAZIO.

Nieinaczéj.... to Piaskówka, i figura, ta figura którą dziś kwiatem mieliśmy uwieńczyć!

HELENKA,

Ledwie oczom wierzyć mogę! o! tak otóż i widniéj znowu;— widzę drogę co jak wąż biały snuje się wśród pól zielonych, i na prawo Kościenica! tak, to dachy naszéj wioski, w oddali miga strzałka kościelna, i dzwonnica!.... nie wiem czy ja to wszystko wzrokiem, czy sercem widzę, ale czuję żeśmy blisko rodzinnéj strzechy.— Boże! dzięki, dzięki tobie!

KAZIO (*po chwili milczenia* .

Takeśmy blisko, zdaje się że dość wyciągnąć

ręce by lubego sięgnąć domku, a dostać się do niego niepodobna!

HELENKA.

Kto wie? sprobujmy,— Ta skała o ile teraz poznaję, to tak zwana *baszta;*— od Kościenicy wiem że nikt na nią dostać się nie może, ale z drugiéj strony....

KAZIO.

Równie jest niedostępną, przynajmniéj dla nas; spójrz na te ogromne stopnie po których ku wąwozowi się zniża, bez drabiny spuścić się z nich niepodobna.

HELENKA.

Myśmy też tu po drabinie wchodzili.

KAZIO.

Ale ją zabrał nasz przewodnik.

HELENKA.

Czekajmy więc;— jednakże braciszku, gdyby ci ludzie chcieli krzywdę nam jaką wyrządzić, gdyby nas zabili?...

KAZIO.

Nie lękaj się, dopóki ja żyję nic ci się złego nie stanie;— wszakże jestem mężczyzną!— Nie mam wprawdzie broni, ale mógłbym cię zawsze piersiami zastawić.

HELENKA (*z tkliwością*).

Mój ty bohatérze! no, ale przypuśćmy że nas nie zamordują, gdyby też zapomnieli.... wyznam ci że nie miałabym ochoty długo tu siedzieć, bo choć prawda, że stąd widok prześliczny, ależ babunia! a potém; — tylko to ci powiem do ucha — nie mogę o śniadaniu nawet w obec wschodzącego słońca zapomnieć.

KAZIO (*z uśmiechem*).

Biedna! tyś wczoraj wieczerzy nie jadła. — Na dziś jednakże mamy się czém posilić, zostawiono nam kawał chleba i wędzonki.

HELENKA.

O! to dobrze, siadajmy więc do stołu! (*przysuwa dwa kamienie do większego głazu, potém zdejmuje fartuszek i rozkłada go nakształt serwety*) ah! otóż jeszcze jedna potrawa! zapomniałam że mam od wczoraj suszone śliwki w kieszonce; (*kładzie na nakrytym kamieniu chleb, owoce, i wędlinę, tymczasem Kazio ułamawszy kilka gałązek jałowcu otacza niemi mniemany stolik, Helenka garstką skąpo rosnącéj trawki przystraja nakrycie, i siadają oboje*).

KAZIO.

No! częstujże mnie; ale może ci noża potrzeba? (*dobywa scyzoryka*).

HELENKA.

Właśnie myślałam jakby to wszystko podzielić nie perskim zwyczajem *(kraje chleb i mięso).*

KAZIO.

Chléb świéży jeszcze i smaczny, a ta wędzonka którą tak delikatnie pokrajałaś w plasterki, prawdziwie apetycznie wygląda;— czemuż jéj nie jész Helenko?

HELENKA.

Przestanę na chlebie, dziś dzień krzyżowy, post, nawet w domu nie byłabym mięsa jadła.

KAZIO.

Prawdę mówisz, i ja łakomym nie będę, tém bardziéj po przejściu wypadku który mógłby się był dla nas nie tak dobrze skończyć. *(cichszym głosem)* widzisz Helenko, tam w krzaku gniazdeczko! nie sami tu jesteśmy.

HELENKA.

(Kruszy w dłoń kawałek chleba i ostrożnie zbliżając się do krzaku sypie okruszyny na ziemię, a potém na dawne miejsce powraca). Nie boi się nas ptaszyna! patrz wystawia główkę z gniazda, schodzi, uchwycił kruszynkę i niesie ją dzieciom. *(Chwila milczenia, potém słychać świergot ptaka.*

KAZIO.

Jakiż on wesoły!

HEŁENKA.

Dziękuje nam za śniadanie.

KAZIO.

A my?...

HELENKA.

O! myśmy nawet pacierza dziś nie mówili! *(oboje klękają i złożywszy ręce zaczynają śpiewać).*

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon Boże wielki!

(Ptak świergocze na krzaku, a z dołu odzywają się dwa głosy powtarzając).

Bądź pochwalon Boże wielki!

(dzieci powstają z przestrachem).

HELENKA.

Cóż to jest?

KAZIO *(głośno).*

Kto tu śpiewał?....

P. K.

(Dokończenie nąstąpi).

BRAŃCY OPRYSZKÓW

KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE.

(*Dokończenie*).

OSOBY.

KAZIO lat 13. } dzieci z Podgórza.
HELENKA jego siostra lat 12. }
SZYMON opryszek la 40.
SOBEK lat 12. } jego dzieci.
BASIA lat 11. }

Rzecz dzieje się na pierwszym łańcuchu Karpat.

Scena II.

Kazio, Helenka, Basia podsadzona przez brata chwyta za krzak rękoma i wskakuje na basztę; w ręku trzyma szeroki pas wełniany, który zarzuca za głaz sterczący na brzegu w kształcie słupa i spuszcza na dół końcami; Sobek uchwyciwszy je silnie, dostaje się również na wierzchołek baszty. Nowo przybyli w góralskich są ubiorach.

HELENKA (*do Kazia*).

Widzisz że tu i bez drabiny dostać się można.

KAZIO.

To prawda, i my się też bez niéj obejdziemy, jeżeli nas ztąd sprowadzić nie zechcą.

SOBEK (*do Basi*).

A, to jakiéś panięta! mów jeno do nich.

BASIA.

Mów ty, tyś nie taki stydliwy.

SOBEK

Czy to was..... chciałem mówić panienkę..... i jegomości.... ej co tam! otóż czy to was wczoraj pojmali nasi?

HELENKA.

Tak jest.

KAZIO.

A któż to są ci wasi?

SOBEK.

Nasi, to zuchy, tęgie chłopcy! prawda że po wsiach i miasteczkach różnie ich nazywają....

KAZIO.

Opryszkami naprzykład?

BASIA.

O! ale oni nic złego nikomu nie robią.

HELENKA.

Jakto nic złego, przecież słyszałam nieraz że opryszki napadali na domy, rabowali, zabijali ludzi!

BASIA.

To tak kiedyś było, ale teraz Glonka nie pozwala.

KAZIO.

Cóż to za Glonka?

SOBEK.

To nasz starszy, jego się wszyscy słuchają, i

dla tego teraz nie ma zbójców ani rabusiów w górach, że on tak chce.

KAZIO.

Ale cóż wasi robią w górach?

SOBEK.

Co robią? jedzą, piją, śpią, tańcują, no... czasem się i pobiją.... ale...

KAZIO.

Skądże mają wszystko czego im potrzeba, boć pewnie nie sieją ani orzą na tych skałach?

SOBEK.

Ba! jużci nie! oni się tylko dzielą z drugimi.

HELENKA.

Jakto?

BASIA.

Oto tak, kiedy który wieśniak albo mieszczanin ma dużo wszystkiego, to mu zabierają.

KAZIO.

A gdyby on też nie dał zabrać?

SOBEK.

Oho! nasi zawsze mocniéjsi, dadzą sobie radę.

HELENKA.

I wy mówicie że to nic złego?

BASIA.

A cóż? toć niemożna żeby jeden miał zanadto, a drugi nic.

HELENKA.

Biedne dzieci! więc wy nie znacie przykazań boskich, nie wiecie że Bóg zakazał zabierać cudzą własność?

SOBEK.

Bóg? jam nigdy nie słyszał żeby Bóg co mówił?

KAZIO

Bóg do nas teraz nie przemówi tak wyraźnie żebyśmy go uchem słyszeli, bośmy tego niegodni.

SOBEK.

Jakto, jak?

HELENKA.

Wiesz co to jest Bóg?

BASIA.

Mnie się widzi, że to musi być jakiś mocny pan, co gdzieś za górami mieszka, bom nieraz

słyszała jak najśmielszym z naszych mówili ludzie „Pan Bóg cię ukarze.“

HELENKA.

Tak jest, Bóg jest panem, ale jest i ojcem nas wszystkich.— On wszystko stworzył, i o wszystkiém pamięta.— On stworzył tę ziemię, on zawiesił to śliczne słońce, i księżyć i gwiazdy co w nocy świecą, on nam daje zdrowie i siły, on ptaszkom śpiewać każe, on ich nauczył tak ładne robić gniazdeczka. — Bóg wie o wszystkiém co żyje i rośnie, i chce żeby wszystkim dobrze było na świecie.

BASIA (*która słuchała z zadziwieniem*).

O jakiż to mądry i wielki pan!

SOBEK.

A gdzież Pan Bóg mieszka?

KAZIO.

Wszędzie....

SOBEK.

Co? wszędzie?.... i tu nawet?

KAZIO.

I tu nawet.

BASIA (*spogląda dokoła*).

Nie widzę.

KAZIO.

Ale Bóg nas widzi.

SOBEK.

I mnie widzi?

KAZIO.

Nas wszystkich.

SOBEK (*zakłopotany*).

I to, mówicie, że Pan Bóg nie każe brać nic cudzego?

HELENKA.

Bog wyraźnie tego zakazał.

SOBEK.

Alem ja iście o tém niewiedział kiedym niedawno wybrał kury z kurnika Grzelowéj.

KAZIO.

Biedny! biedny chłopczyno!

HELENKA.

Nie lękaj się, Bóg taki dobry! Bóg ludziom

wiele złego przebacza. — Ale powiedźcież mi czyście wy nigdy nie byli na kazaniu, lub na nauce w kościele?

BASIA.

Nie, nigdy.

SOBEK.

Nikt z naszych nie chodzi do kościoła, bo się boimy żeby nas milicja nie pojmała.

KAZIO.

Dawnożeście tutaj?

BASIA.

O! dawno jeszcześmy malutkimi byli kiedy ojciec uciekł z nami w góry.

HELENKA.

Macie ojca?

BASIA.

Toć to on was tu przywiódł, i kazał nam zobaczyć co tu robicie.

HELENKA.

A nie kazał wam czasem sprowadzić nas ztąd?

SOBEK.

Nie, on sam po was przyjdzie, jeno się nasi uwiną.

HELENKA.

Z czém?

BASIA.

Oj szkoda żem was raniéj nie słyszała, mówiłabym ojcu, żeby nie szedł, bo się to pewnie i o to Pan Bóg będzie gniewał.

KAZIO

O cóż takiego?

SOBEK.

Oto.... widzicie, dziś musi być jakieś święto, bo ludzie idą z processyją; a jak nikogo w domach nie będzie, to nasi się podsuną, i nabiorą czego trzeba.

HELENKA *(potrząsa smutnie głową).*

Mój Boże! mój Boże!

SOBEK.

Ej! nie wołajtaż Pana Boga, żeby nie łajał.

HELENKA.

Nie potrzeba wzywać Boga do tego, on wie wszystko, nietylko co kto zrobi, ale nawet co pomyśli.

SOBEK.

A czegóżeście się tak zafrasowali, toć nic złenie robita, to wam nic nie będzie.

HELENKA.

Ale mi smutno, że inni ludzie tak źle postępują.

BASIA.

Już ja teraz rozumiem że nasi źle robią, ale choćbym nie wiem jak bieżałat o ich przestrzedz nie zdążę.— Oto już i dzwony biją!
(słychać dalekie dzwonienie).

SOBEK *(drapiąc się w głowę).*

Żebyć już te chłopy lepiéj z chałup nie wychodzili, toby się dziś nie udało.

HELENKA *(patrząc w dół).*

Wyjdą, wyjdą niezawodnie, to dziś pierwszy dzień krzyżowy.

BASIA.

Jaki?

KAZIO.

Widzisz, krzyżowe dni dla tego tak się nazywają, że w nie lud uroczyście idzie do krzyża, czyli do figury stojącéj w każdéj wsi, i tam śpiewając pieśni, prosi, żeby Bóg błogosławił pracy rolników, żeby ziarno w ziemię rzucone przyniosło obfite żniwo.

HELENKA.

A tymczasem, kiedy ci ludzie poczciwi i pracowici modlą się i śpiewają, drudzy którym się nic robić nie chce, zabiorą ich własność; może niejeden wieśniak wróciwszy zechce się posilić, a nie znajdzie kawałka chleba; może matka zechce dla słabego dziecka udoić świeżego mléka, a nie znajdzie krowy!...

SOBEK.

Słuchaj Baśko!... żebyśmy téż tak skoczyli a powiedzieli naszym to wszystko?.....

BASIA.

Czyby nas tylko posłuchali?... a potém, to zapóźno, patrzaj, już wychodzą z kościoła, już widać chorągwie i obrazy na drodze. *(Słychać pobożne śpiewy, Kazio i Helenka klękają na brzegu baszty, i modlą się, Basia i Sobek patrzą na nich w milczeniu).*

SOBEK (*do Basi*),

Patrz! na drodze zdala processji ta czarna plama co się tak rusza— to nasi! rozdzielili się..... idą plondrować po chatach.

BASIA,

Dałabym mój czerwony gorsecik, żeby ich wrócić można.

SOBEK.

E! ba!— tylkoż ten Bóg co na to wszystko patrzy.

KAZIO (*zwrócony ku drodze*).

Panie! wysłuchaj modlitwy ludu twego!

HELENKA (*wznosi ręce do góry*).

Boże! nie karz surowo tych co źle czynią w téj chwili, ale oświeć ich, by ciebie poznali.

SOBEK (*składając ręce*).

Nie karz Boże mojego ojca!

BASIA (*klękając*).

Daj się im poznać Panie! a nie będą źle robić.

Scena III.

Kazio, Helenka, Sobek, Basia i Szymon.

Szymon po zawieszonym pasie wstąpiwszy na górę zastaje wszystkich modlących się.

Szczęśliwi! i ja się tak kiedyś modliłem, ale dziś!..

SOBEK (*spostrzega Szymona*).

A! i cóż ojcze?....

SZYMON.

Nic chłopcze;— milicja zeszła do Kościenicy bo ją tamtejsza pani ściągnęła, by szukać tych oto malców, nasi musieli drapnąć w górę, a mnie tu Glonka posłał, żeby czemprędzéj zsadzić dzieciaków na drogę, to może przynajmniéj dadzą nam teraz pokój.

KAZIO I HELENKA.

Dzięki Bogu! więc wracami do domu?

BASIA.

Toście tam nic nie wzięli tatulu?

SZYMON.

Juści nic, bośmy nie mieli czasu.

BASIA.

Dzięki Bogu! ależ ojcze nie róbcie tak więcéj, toć się za to Pan Bóg gniewa!

SZYMON.

Zdurzałaś dziewczyno! a cóżbyśmy jedli?

BASIA.

A cóż jedzą wieśniacy?

SZYMON.

O! oni, to co innego! oni pracują.

BASIA.

A czemuż nasi pracować nie mogą?

SZYMON.

Skądże to tobie?.... może ty dziewczyno i dobrze mówisz, ale już mnie nie czas!.... już żaden z tych co zakosztował życia opryszków nie powróci do pługa.

SOBEK.

Jednakci to mój ojcze nietak źle i chłopom, mają dach, mają chléb, siedzą cicho w chałupie, a nas gonią gdyby dzikie zwierzęta, łapią, do więzień wsadzają; a jeszcze do tego i Bóg ma nas karać osobno! ach! żebym się was nie bał, tobym gdzie przystał do gospodarza.

SZYMON.

Nieraz ja już o tém myślałem, ale któż weźmie opryszka?...

KAZIO (*do Szymona*).

Jeżeli pozwolicie waszemu synowi iść z na-

mi, to ja się postaram żeby miał miejsce w Kościenicy.

SZYMON.

Kościenicka pani dobra, ale go nie zechce.

KAZIO.

Już my tak będziem prosili, że nam babunia nie odmówi.— Nieprawdaż Helenko?

HELENKA.

Jzkżeby mogła odmówić pomocy temu, kto chce powrócić na dobrą drogę, kto się chcę poprawić.

BASIA. (*smutnie*).

A dla mnie nie będzie też tam miejsca? mnie tu nieraz tak smutno, takbym chciała co robić, takbym rada żyć z ludźmi!

HELENKA.

O! i owszem, już dla ciebie to ja się o robotę i kącik postaram.

SZYMON.

Poczciwe dzieciska!..... oj! gdyby się to stało, jakiżby mi kamień spadł z serca!— Nieraz kiedy sobie pomyślę, żem tyle lat zmarnował mię-

dzy opryszkami, to mi cięźéj jeszcze widząc że i moje dzieci takiż los czeka.

KAZIO I HELENKA.

Puście ich więc z nami! będzie im dobrze w Kościenicy.

BASIA.

Ale wybyście tu ojcze sami zostali; nie, już ja zostanę;— niech Sobek idzie do Kościenicy. Ktoby tu wam zaśpiewał, ktoby o was pamiętał,. gdyby mnie nie było!

SZYMON (*przyciska ją do piersi*).

O! złote, złote serce! kiedy cię życie między zbrodniarzami zepsuć nie mogło!— Ale idź, idź za temi dziećmi, ich tu oczywiście Bóg zesłał na nasz ratunek.

BASIA.

A wy?

SZYMON.

I ja opuszczę góry.— Już mi dawno radził proboszcz z Lubienia żeby złego zaniechać, alem was nie mógł porzucić.— Teraz kiedy wiem że wam dobrze będzie beze mnie, wezmę kij i torbę, i pójdę w drogę.

BASIA I SOBEK.

Bez nas ojcze?

SZYMON.

Bez was dzieci;— pójdę pokutować za moje winy, będę chodził po świętych miejscach, możeć mi się Bóg da ubłagać;— a potém to się znów zobaczymy.

BASIA.

I my pójdziemy tatulu, i my niemało zrobili złego, i my z wami pokutować będziemy.

SZYMON·

Nie, Basiu; pójdę sam, bom sobie tak postanowił,— jak będziecie starsi będzie wam wolna wola.— A teraz pożegnajmy się!

SOBEK I BASIA (*całują ojca*).

HELENKA (*do Kazia*).

Patrz braciszku, jak to dobrze żeśmy się w ręce opryszków dostali, gdyby nie to, możeby te trzy osoby na długo, może nazawsze złoczyńcami pozostały!

KAZIO.

Prawdę mówi babunia, „i za przykrości trzeba Bogu dziękować.“— już mi nic a nic nie żal żem noc na skale przepędził.

SZYMON (*do dzieci*).

No! idźcie teraz, niech was Bóg prowadzi.

HELENKA.

Przyjmijcie ode-mnie ten krzyżyk święcony, na pamiątkę że w Kościenicy codzień rano i w wieczór ktoś za was westchnie do nieba.

KAZIO.

A ode mnie medalik z Matką Boską.

SZYMON.

Bóg wam zapłać dziateczki! a teraz sprowadzę was na drogę, opiekujcie się tam moją Basią i Sobkiem, coś mi mówi że z nich poczciwi ludzie wyrosną, oni do swojéj matki podobni, a ona dobra i pobożna była.

HELENKA.

Pójdźmy już, jak się téż z naszego powrotu dobra babunia ucieszy!

KAZIO (*łamię gałązkę jałowcu*).

Poniosę jéj tę gałąź na pamiątkę naszéj niewoli, i zdobyczy.

Szymon spuszcza się z góry, i podaje kolejno rękę dzieciom; — po odejściu wszystkich ptaszek zskakuje z krzaczka, i zbierając

obficie rozrzucone kruszynki, wesołym śpiewem obchodzi powrót opryszków na łono cnoty i szczęścia.

KONIEC.

P. K.

MYŚLI O GMINIE.

Jakto rzekniecie sobie dziatki, coby tam za znaczenie mogła mieć w spóleczeństwie ta prostoduszna ludzkość, bez ukształcenia umysłowego, bez wszelkiéj ogłady towarzyskiéj? wieśniak z którego obliczów patrzy ciężka, spracowana starość; rysy pokrzywione, a cerę wypaliło słońce, oko zaćmiła i schyliła jakby nazawsze ku ziemi duma i nielitość w obchodzeniu się. Zdaje się, że trudno tu już doczytać się owéj wielkiéj myśli człowieczéj, którą jeden z poetów rzym-

skich w te słowa maluje: „człowiekowi dał Bóg twarz wzniosłą i kazał w niebo spoglądać i ku gwiazdom świetne kierować oblicza.

Tak, kochane dziatki, was może już kiedy w życiu ogarnęło zwątpienie, że ten dobry wieśniak jest bliźnim naszym, że dzieli z nami wszystkie przymioty— wszystkie, oprócz zepsucia i zrzeczenia się prawości i szczeroty...

Jeżeli kiedy w późniejszych latach nadarzy wam się sposobność czytania znakomitych utworów, pamiętajcie zawsze tę myśl za napijękniejszą uważać, która was skłania do gminu...

Pieszczotliwe wyobrażenia francuzczyzny, głaszczą zwyczajnie zmysły, jak ubiór wykwintny głaszcze oko, ale nie przemawiają do waszéj duszy...

Największe to ukaranie Boskie, kiedy człowiek w zaślepieniu nie widzi własnego upadku moralnego. Bóg jak wiecie, za ciężkie grzechy ukarał mędrca odebraniem mu rozumu — ale wy dziatki, na których właśnie powiedział Chrystus: że nikt nie wejdzie do królestwa niebieskiego, jeżeli się im podobnym nie stanie, wy jesteście jeszcze wolne od zmazy — do was nie doszły jeszcze przesądy, ciążące nad towarzystwem nas dorosłych, wy ochoczo garniecie się do staruszki, do prządki co rozprawia o zdarzeniach na pół śmiesznych na pół smutnych, a zawsze nauczających. Jeżeli się w zdaniu o was nie mylę, jeżeli lubicie bardziej pieśni niż arje,

jeżeli więcéj się wam nad historyjkę obcą podoba gawęda z podań ludów słowiańskich, o! dobre z was, uczciwe dzieci, kocham was z całego serca.

Przysłuchajcie się kiedykolwiek gadaniu tych zacnych istot, których ręce pracują na życie nasze wystawne. Jako złym i na obrzydzenie zasługującym jest syn niewdzięczny, a wstydzić go powinna wytworna suknia w obec nędzy i niedostatku życiodawcy swego, tak równie nam biedna odzież wieśniaka, każdy ślad ubóstwa i trudu wyryty na jego dłoni, powinien być gorzkim wyrzutem. Ale przeczuwam w sobie pełną pociechy myśl, że wy ubolewacie nad nędzą bliźnich, radzibyście dzielić się z nimi ostatniem. Ci których zowiecie ojcami i matkami rzucili w was zarody litości tak głęboko, że się na widok cierpienia nie odwrócicie bez rozczulenia: litość była i jest zawsze cnotą narodu, do którego należycie. Jeżeli kto, tedy wieśniak najlepszym tego dowodem. — Żebrak omija siedliska możnych, bo sobie tam nie obiecuje nic innego, chyba szczekanie psów, któremi go wygonią daleko nierozumni służalcy, aby nie zrobić panu *subiekcji*, (tak oni nazywają niedogodność lub przerwę w zepsutym języku) ale ten żebrak z zaufaniem otwiera drzwi pierwszego włościanina, nie pytając czy to godzina stosowna do odwiedzin

lub nie. Pytam, co go ośmiela, co zamienia w jego przekonaniu, poniżające imię *żebrania* na imię *uproszenia*: oto wiara w gościnność narodu, w ową-to cnotę, która podaniem idzie od przedwiecznych czasów; która z górnych warstw społeczeństwa ustąpić musiała, nowszéj *etykiecie* czyniąc miejsce.— W świecie etykietalnym biedny jest żebrakiem, włoczęgą, na wsi zdobi go świetność patryarchalnego imienia dziadka.— A jeżeli kiedy zdarzy się wam być w potrzebie pomocy, przewodnictwa, znajdziecie tam pomoc gotową, wskażą wam drogę, wyprowadzą zabłąkanych, przyłożą się słowem i ręką do dania wam rady. Sądzicież że to jaka myśl hołdu, zależności? nie, to przeczucie cnoty i miłości bliźniego.— Gościnność i przybywanie ku pomocy w potrzebie jest we krwi wieśniaka.

A cóż dopiero mówić o pojęciach sprawiedliwości! Nikt nie uczuje mocniéj zadanéj sobie krzywdy jak wieśniak.— To co u nas nazywa się dumą obrażoną, co wraz z imieniem *ambicji* przeszło zkądinąd, i zwyczajnie jak wszystko skierowane zostało do powierzchownych względów, do uchybienia, do ubliżenia, *dyshonoracji*, to wszystko jest czczością, sprzeczką o słowa, o niedopełnienie ustaw ceremonji — Gmin nie umie nawet tém się urażać— ale nakręcić zły czyn, szalbierstwo na pozór prawdy — to w wyobrażeniach

ludu jest zbrodnią—nikczemném odszczepieństwem od *prostéj* drogi— jest *krzywym*— *krzywdą*— Więc gmin jest prawdziwym prostakiem, bo chodzi prostą drogą, nie udaniem prawdy— Swiat wyższy, chcąc nadać słowom wagę, odwołuje się do jakiegoś cudzoziemskiego pojęcia o uczciwości— jego słowo, jest słowem takiéj uczciwości— *słowem honoru.* Wieśniaka wyobrażenie pod tym względem, jak niebo od ziemi, wyższe jest od naszego. Nie ma tam przysiąg w imię honoru, za który walczyć gotów *dobrze wychowany,* nie uwierzą tamtemu bożyszczu średniowiecznego bałwochwalstwa, ale uwierzą właściwie słowiańskiemu zaręczeniu: *sprawiedliwie;*— kto do mowy swéj dodaje sprawiedliwie, a nie dotrzyma jéj, ten w obyczajowości gminu, kłamcą jest i grzesznikiem przeciw spawiedliwości gminu.

Język gminu jest właściwém gniazdem ducha języka. Tam zachowała się w nieskażonéj postaci dzielność, potęga głosów, wymiar zwrotów, a nade wszystko osobowość (indywidualność) mowy. Języki bowiem różnią się nietylko ciałem — brzmieniami— ale duszą, krążeniem samych pojęć, jakie maluje wyraz, składaniem ich w pewne, wyłącznie jednéj narodowości należące okręgi. Społeczność wyższa, łącząc się ogniwem ukształcenia z innemi narodami, z innemi pojęciami, pomimo woli czasem nasiąka obczyzną w samém

nawet tłomaczeniu się. Kto się porywa na cudzą literaturę, oddaje poznaniu obcych języków, a nie stanął jeszcze niezachwianie na gruncie własnym, ten, z początku w myślach, a potém w mówieniu przenaradawia się stopniowo na postać obcą; jest obcym na ziemi swojéj — Kiedy jeden z rzymian, co to nie mieli końca ni miary w przeistaczaniu się na greków, wyrzekł, i to właśnie w wieku, kiedy w żywiołach greckich brnęli po uszy jego zapamiętali ziomkowie: „już czas abyśmy mówili po rzymsku" my, tak zamożni w żywotność umysłową i towarzyską, my, czyż nie odważymy się na stanowczy rozbrat z mową narzuconą przez nierozum i zabobonność salonową? Dziatki, wam to opatrzność zapewne wyznaczyła chlubne stanowisko, zaczęcia nowego porządku rzeczy, otwarcia nowego pokolenia myśli! Trzykroć szczęśliwsi od nas, zastaliście wiek na drodze postępu wychowania, my urodziliśmy się w grzechu pierworodnym; szczęściem że uznajemy w sobie piętno przesądu, który w spuściznie przekazała nam przeszłość. Nie wchodźcie do rady błędnych, którzy w ciemnocie powiadają wam o jakimkolwiek piękniejszym świecie nad ten w którym żyjecie, a którego obraz niezmazany kryje się po wioskach. Są w gronie otaczającym nas niedoświadczone umysły, które zapomniawszy albo niewiedząc o własnéj poka-

zuje nam obcą piśmienność. Piśmienność ta jest zapewne bogatą w nowości, zawiera często obmyślane i doskonałe utwory, ale do was należy wprzód utwierdzić się i zapomódz w samodzielność.— Wyobrażeniem wykończonéj samodzielności jest ta warstwa ludu, która leżąc w dolnym pokładzie, znalazła w sobie saméj osłonę od wpływów zewnętrznych. Taką warstwą jest gmin, zachowawca żywiołów rodzinnych. U niego znajdziecie zabytki błogosławionéj staroświecczyzny, która u zabobonnych na nieszczęście stała się godłem pogardy— znajdziecie gotowe nazwy na to wszystko, co kiedykolwiek zdobyła i zdobędzie nieustannie pracująca dłoń nauki, przemysłu, życia domowego i ogółowego. Rzecz dziwna na pozór i nie podobna do wiary, aby gmin mógł miéć cóś wspólnego z ludzkością wybraną, jak mówią. Ma wspólne wszystko, powtarzam, tylko że jego wyobrażenia nie poniosły tak smutnéj klęski jak nasze, przez odstąpienie samego siebie, przez zamianę szczeroty, mocy gościnności, na sztukę, wątłość i udanie. Wspomnieliśmy o języku: nie wyprzemy się tego jak mocno sama głosowa strona polszczyzny zwichniętą została nałogowém przywiązaniem do rozmów, które w rzeczy (nibyto) mają nas podnieść nad poziom tłuszczy, a tymczasem zadają oczywistą zniewagę w obliczu cudzoziemców. Francuz an-

glik lub niemiec, co poświęca usiłowania i pracę dla zapoznania się z azjatyckiemi językami, albo amerykańskiemi, ani pomyśli nawet o bliższym sąsiednim niekiedy, bo go w czasie podróży swoich widział w poniewierce. Kto chce nabyć wstrętu od ohydnego zwyczaju mówienia, a jeszcze ohydniejszego, mieszania i zarażania mowy przodków, znajdzie go u gminu w najwyższym stopniu mocy. Gmin do różnic oddzielających na zawsze jego rodową godność, dodaje ważniejsze jeszcze, obrzydzenie obczyzny— a cóż dopiero sama treść mowy, wyrażenia! Podziwiamy ozdobną, nowotną barwę tych pisarzy, którym przeznaczenie poruczyło wyższe zawody w piśmiennictwie, nie umiemy pojąć zkąd oni biorą tych czarodziejskich pociągów pióra, które duszę porywają, łudzą wyobraźnią, zachwycają jednym słowem: to są pisarze których myśl odświeżyła się, nabrała polotu z ducha gminnego: to są dopiero pisarze ludu, narodu — takich utwory czytajcie.

J. F.

BAJKA
CHMURA I KWIATEK.

Z główką spuszczoną, zemdlony upałem
Kwiatek do chmury przemówił żałośnie:
„O chmuro! patrzaj, w mojéj pierwszéj wiośnie
Bez winy własnéj, patrzaj, czém zostałem!
Zwiędły, opadły na siłach,
Już nie czuję soku w żyłach
I zginę, jeżli godzina jeszcze
Litość ciebie niewzruszy, zatrzymasz swe deszcze!“
„Biedny kwiateczku, chmura mu odpowie,
Nie zawiedziesz się na mnie, buduj na mém słowie...
Tylko chwilkę zaczekaj... bo interes pilny
Niedaleko mnie wzywa;— lecz wrócę bez zwłoki,
Dam ratunek nieomylny,
Wnet zasilę twoje soki.“
Po téj pięknéj, litością tchnącéj obietnicy
Przeszła chmura: dni kilka bawi w okolicy,

Kiedy sobie na ostatku,
Przypomiaa i o kwiatku.
Leci wiatrem, przybywa ocalić mu życie;
Lecz nadaremnie leje deszcz obficie,
Już jest zapóźny, szczodrobliwy datek,
Nim przyszła, już usechł kwiatek!

Gdzie pomoc dać możemy, dawajmyż ją wcześnie.
O! jakże cięży na życiu całém,
Jakże to wspomnieć sobie boleśnie:
Mogłem był uratować,— a nie ratowałem!

Wład. Miniewski.

DZIECIĘ I RÓŻA.

Ujrzało dziécię w pięknym ogrodzie,
Różę wonniejszą nad inne kwiaty,
Jakich nie było zdawna na wschodzie,
Pysznéj postaci, zdobną w szkarłaty.

„Cudny kwiateczku, rzecze dziecina,
Ciebie brakuje do mego zwoju,
Są tam powoje, rdest i kalina
Ale ty będziesz ozdobą stroju,“
Wtém spostrzega u krzewiny
Igły ostre, najeżone,
Prędko chowa swe rączyny
I ucieka żwawo w stronę.
„Pięknaś różyczko świeża i miła,
Ale ja nie chcę ręki zakrwawić,
Zdala na ciebie będę patrzyła,
I nie przestanę piękości sławić.

Róża.

Bez mego kwiatka świąteczne zwoje,
Zdobić nie będą twego ubrania;
Wyciągnij rączkę gdzie ciernie moje,
Gdzie szereg mieczów mój kwiat osłania.—
Z kolczystéj róży uczcie się młodzi,
Śmiało ponosić trudy i bole,
Cnota tak piękna ciężko przychodzi,
Często was dla niéj i cierń ukole.

H. P.

CO JA LUBIĘ

(wiersz piętnastoletniéj panienki).

Co ja lubię? ojców ziemię,
Własną mowę, własne plemię,
Nasze pienia i te śpiéwy
Które nóci kmieć poczciwy.

Lubię lasy, lubię góry,
Czystej wody chłodne zdroje;
Kiedy nie ma żadnéj chmury,
Pasterz pasie trzódki swoje,

Co ja lubię? śmiech dziecięcia
Gdy z nim ojciec pożartuje,
I pieszczoty niemowlęcia
Gdy go matka pocałuje.

Lubię, w lubéj, cichéj chatce
Przebyć lato i upały;
I nieść pomoc biednéj matce
Któréj dziatki chorowały.

Co ja lubię? kościół wiejski,
Tam to cicho, tam spokojnie;
Nie przeszkadza mi gwar miejski,
Gdy me modły ślę pokornie.

Lubię ja téż i w Warszawie
Trochę sobie pobalować,
Wszak nic złego że się bawię?
Wolno czasem potańcować.

Ja nie lubię takich ludzi
Co to niby *rozpaczają*,
W nich *litości nic nie budzi*
Mnie się widzi, że udają;

Bo to nigdy być nie może
Bym nie starła łzy biednego,
Tyś sam kazał, wielki Boże!
Kochać Ciebie i bliźniego.

Anilora K.

O kościach ziemnych.

Kości ziemne bywają różnéj wielkości najczęściéj ogromne tak że po wykopaniu lud prosty sądzi ich kościami olbrzymów, co jest oczywistą bajką.

Kości ziemne bywają dwojakie: pierwsze zwierząt iakiemi są słonie, nosorożce, mamuty już nieistniejące i t. d..— Drugie utworzone przez naturę.— Wiele w tym przedmiocie pisano tak w naszej mowie jak w innych językach, nic więc nowego nie powiem, dla was jednak młodzi czytelnicy, dzieła w których są opisy podobne są niedostępne już to za obszerne, nie zbliżające się do waszego umysłu, nic więc niezaszkodzi gdy wam uczynię na początek wzmiankę, o kościach ziemnych— o ktorych może słyszeliście albo je widzieliście.

Otóż powiedziałem mogą bydź dwojakie piérwsze od natury utworzone, są twarde niemające żadnych dziurek, przeciwnie drugie są dziurkowate, i te są zwierzęce. Dziurki bowiem mieściły szpik czyli tłustość,— Kości są jeszcze złączeniem stawów i dziurkowatością nieróżniących się od zwierzęcych i te są od potopu w ziemi zagrzebane. Wiecie zapewne, lube dzieci, z historji świętéj o potopie, z tego więc wnioskować można jak i górnicy postrzegają, że gdy woda zaczęła osiadać na rozżadzonéj ziemi, zwierzęta zatonione przywalone zostały. — Potwierdza się też to przez szkielety słoniów, wielorybów, krokodylów i t. d. które jakim się sposobem do Europy dostały domyślić stę nie można. W wiosce Os w księstwie Badeńskiém kości mamuta znalezione zostały przed rokiem 1838, odznaczał się szczególniéj ząb z wierzchołkiem ukruszonym 8 stóp mający, który przed ukruszeniem musiał być znacznie większy— Przypadki takie zdarzają się w wielu miejscach— w Rossji kilka lat temu, doktór Szulz w gubernji Smoleńskiéj znalazł głowę nosorożca zaginionego w rodzaju (Rhinoceros tichnorinus).— W roku bieżącym nawet kompletny szkielet mamuta przywiezionym został do Tobolska z mięsem skurą i siercią znaleziony w r. 1841 na brzegiem rzeki Taz wpadajcéj o 300 wiorst do Lodowa-

tego morza w Jenissiéj.— w Ameryce północnéj nad Ochcio są kości także mamuta jak mówi w swéj historji naturalnéj Funk.

Tylkowski wspomina że na Rusi znajdują się kości, nietylko zupełnie w kamień obrócone, ale niektóre kamieniem tylko powleczone.— U nas w rozmaitéj wielkości dają się widziéć. W Warszawie, wisi kość w bramie klasztornéj Ś. Krzyża — przy gabinecie historji naturalnéj w pałacu Kazmierowskim; w Kaliszu i Piotrkowie jak mówi Ks. Ładowski znajdują się podobne kości. — W Krakowie przy kościele katedralnym wisi kość na kilka łokci długa. W zamku Marjemburskim łopatka bardzo wielka — w Poznanin ramię, w Trzemesznie i we Lwowie są także różnéj wielkości. — Słoniowe kości znajdują się także i w Polsce według niektórych pisarzy, podobniejsze jest jednak że te kości są raczéj z ryb morskich. — Znajdują się i po innych jeszcze jak powiedziałem miejscach, ale te trudno wyliczyć, kończę więc na tém, a jeśli to wam się podoba, napiszę znów wiadomość o urnach glinianych znajdowanych w ziemi.

Juljan Heppen.

SKUTKI LEKKOMYŚLNIE DANEGO SŁOWA

Niedaleko od nas w kraju pogranicznym i pobratyńczym: w Węgrzech na wysokiém wzgórzu sterczą ruiny niegdyś pięknego zamku *Zborowy*, ten zamek należał dawniéj z otaczającemi go włościami do zgasłego już rodu *Seredych.* Ostatni tego imienia, pan możny dawał częste i huczne biesiady. Dnia pewnego upojony trunkiem i wesołością zaniedbał słuchać mszy świętéj, nie modlił się podług zwyczaju na grobowcu swych przodków, i pierwszy raz jego młoda i nadobna żona, sama się znalazła ze starą piastunką w zamkowéj kaplicy. Smutek ogarnął jéj duszę, długo płacząc klęczała, nareszcie wstając rzekła do wiernéj sługi: biada nam, biada, wielkie jakieś nieszczęście cięży nad nami, widziałaś jak świéce zgasły nagle przed obrazem Najświętszéj Panny

mojéj Patronki, patrz oto i lampa gaśnie przed grobowcem ojca, o biada nam, biada.— Wtém hałas nagły przerwał ciszę grobową, szczęk oręża, tentent koni, usłyszano pod murami zamkowemi, trąbka zabrzmiała, z łoskotem otwierano podwoje, a zadyszany dworzanin wpadłszy do kaplicy rzekł z pośpiechem: „Rycerz zawołany, sławny *Rakocy* zawitał niespodzianie w nasze progi.— Śliczna Zofja powolnym krokiem opuściła kaplicę, w pół zemdlona weszła do swéj komnaty, lecz wkrótce przychodząc do siebie, krzątać się zaczęła aby godnie przyjąć tak znakomitego gościa. Piastunka trefiąc jéj krucze włosy, mówiła do niéj: „Przekonaj się pani jak zwodne były twe przeczucia, smętność twa raczéj dobrą wróżbę niż smutek oznaczała, rozjaśń twe czoło, niech się Rakocy podziwia nad twą pięknością.

Brzmiała muzyka w świetlicy, częste krążyły puchary, Seredy kąpał się w winie, a gość jego siedzący naprzeciw okna, które panuje nad płaszczyzną Zborowéj upajał swe oko widokiem téj cudnéj okolicy. A co, rzekł Seredy, podoba ci się jak widzę panie Rakocy mój zamek Zborowski.—Tak mi się podoba, żebym ci dał za niego, Seredy! co-byś tylko żądał. Zofja zadrżała, a jéj upojony małżonek rzekł z głośnym śmiechem: „Przywieź mi dwadzieścia sześć tysięcy dukatów bitych tego roku w mennicach węgier-

skich, a to za sześć miesięcy od dnia dzisiejszego, a ten zamek twój.“ — „Moim więc będzie“ rzekł Rakocy i rękę podał chwiejącemu się rycerzowi.— Nazajutrz cicho było na na zamku Zborowskim, odjechali liczni goście, Seredy co raz więcéj oddając się nałogowi, zapominał o danym słowie, a Zofia coraz smutniejsza, coraz więcéj się modliła w kaplicy swych przodków, gdyż ona także z tego samego co mąż pochodziła szczepu.

Nadszedł dzień pierwszego maja 1664 roku; licznie zgromadzili się krewni i sąsiedzi do gościnnego zamku, na uczty i turnieje, wesoło brzmiały heroldów trąby, rżały piękne rumaki, pachołki broń hędożyli, a rycerze smacznie śniadali, gdy zdala ujrzano dosyć liczny hufiec, jadący od Koszyc pod chorągwią Rakocego. Na koń rycerze rzekł Seredy, na koń! jedźmy przyjmować nowego gościa, i w liczném gronie ruszył na przeciw węgierskiego bohatéra; oba hufce spotkawszy się, zsiedli z konia, lecz krótko trwała wesołość, Rakocy przypomniał dane słowo, i przywołując swego skarbnika, kazał otworzyć szkatułkę ze złotem, i wyliczyć nieszczęsnemu rycerzowi 26,000 dukatów bitych w przeciągu roku tego w mennicach węgierskich.

Seredy nic nie rzekł, nie przeczył lekkomyślnie danego przed sześcio miesiącami słowa, lecz o

cuda! coraz blednąc, padł i jak posąg zkamieniał.

W tém miejscu postawiono jeszcze istniejącą kaplicę, a Rakocy objął zamek. Smutna Zofja oblekła żałobne szaty, których już nigdy nie zdjęła.— Osiadła w klasztorze, lecz nie ślubowała Bogu, niechcąc bowiem po danym przykładzie wyrzec słowa, któregoby może z czasem żałowała; i wy moje dzieci, nigdy nie obiecujcie czegobyście nie chciały, lub nie mogły kiedyś dotrzymać.

Alfonsina K.

ŁZA STARCA.

Pod rozłożystym dębem, na świeżo zrobionéj ławie; spoczywał przyjemny starzec.— Włos jego siwy pokrywał zmarszczone trudami czoło, oczy z upodobaniem zwracały się ku stronie, gdzie gromadka jego wnucząt igrała wesoło. West-

chnął, bo ta ich wesołość, ich radosne śpiewy przypomniały mu jego młodość, jego lata dziecinne, i łza wspomnienia, łza radości zwilżyła blade starca policzki.

Wesołe dzieci spostrzegłszy starca zroszone lice obstąpiły go wkoło, radeby wiedziéć przyczynę jego smutku, ta łza tak im obca na twarzy dziadka z jakiegoż spłynęła powodu?

O! dziaduniu! dziaduniu! wołały wszystkie razem, powiedz co smutku twego przyczyną?

Może to my za głośno śpiewały? zawołała mała dziewczynka, a dziadunio chciał spocząć, o już ja nigdy tak głośno śpiewać nie będę— i ja, i ja, wołały wszystkie dzieci razem— przebacz, daruj dziaduniu.— Ach! to nie wy, to ja pewnie zawołał mały Stasio przeszkodziłem dziaduniowi, moją głośną fujarką, i żeby pokazać jak kocham dziadunia, oto patrzcie już ją rzuciłem — i nigdy grać na niéj nie będę.

Za danym znakiem dzieci wkoło obstąpiły starca, który schorzałą ręke wyciągnął po nad ich głowy.

„Oby Bóg dobry błogosławił wam miłe dziatki!— nie śpiewy wasze, nie Stasia miła fujarka rozgniewaćby mnie miała— ta łza którą widzicie, jestto łza radości, łza tak miła memu sercu. Wasza wesołość ją wycisnęła, bo przywiodła mi na pamięć moje lata dziecinne, kiedy jak

wy młody, wesoły, uganiałem się za motylem, lub ładnego chwytałem skowronka.— Kiedy potém znów otaczałem staraniami ukochane dzieci, myśląc czy i one o mnie téż pamiętać będą.— Bóg najwyższy pobłogosławił moim zamiarom, i pozwolił doczekać lubéj starości na łonie ukochanych dzieci, a wam stać się pociechą moich lat sędziwych.— Bądźcie zawsze szczęśliwe— te są moje życzenia, i oby kiedyś łza starca przyniosła wam wieczne zbawienie.

Wincentyna T.

NIEWIDOMY.

(*z Krummachera*).

Zajaśniały pierwsze promienie wiośnianego słońca; starzec niewidomy, usiadł przed chatą na ławie. Dobroczynne ciepło ożywiło zdrętwiałe członki jego, jasne światło padające na twarz wzniesioną, ozłociło ją szczęścia wyrazem.

O nieprzebrane morze światła! zawołał, cudzie wszechmocnéj ręki która cię stworzyła, i bieg twój zakreśla wspaniały! z twojego łona płynie wiecznie ciepło i życie, nigdy niewyczerpane twe siły. Jakże wielkim, jak dobrym jest stwórca!

Tak mówił niewidomy. Usłyszał to przechodzący, zadziwiła go mowa starca: Jakto? zawołał, nie widzisz wspaniałéj gwiazdy dziennéj— a uwielbiasz ją tyle.

Dla tego właśnie, odpowie starzec, ją wielbię, że jéj twoim wzrokiem nie widzę. Od chwili kiedy oczy moje zaciemniły się przed blaskiem słońca mgłą grubą, w duszę słońce przyjąłem, a ile razy czuję obecność jego, nowa jutrznia wschodzi w mém łonie; pojmuję wewnętrznego światła jasność.

W. T.

DOBROCZYNNE DZIÉCIĘ.

(*z tegoż*).

Mroźna i ostra była zima, Brońcia jedyne dziécię dobroczynnych rodziców, zbierała odłamki i

kruszyny chleba pozostałe na stole i chowała je starannie; potém wybiegała na podwórko rozsypać kruszyny, ptaszki się zleciały i chciwie wydziobywały każdą odrobinkę. Ale rączki dobréj dziewczynki drzały od zimna.

Zobaczyli to rodzice, a ciesząc się z dobrego czynu dziecka, zapytali: Dla czego to robisz Bronisiu?

Wszystko śniegiem i lodem pokryte, odpowiedziała Brońcia: ptaszki nic znaleźć nie mogą, biedne są teraz; dla tego ja im jeść daje. U nas chleba tak dużo, a przecież zawsze bogaci żywią i utrzymują ubogich.

— Ależ ty wszystkich nie nakarmisz ptaszków:

— Czyż wszystkim dzieciom taka myśl nie przyszła? przecież wszyscy bogaci uboższych wspierają.

Ojciec spójrzał na matkę i rzekł zcicha: o niebieska prostoto!

TRZY GWIAZDKI.

Wśród modréj nieba przezroczy
  Trzy gwiazdki świetnie błyszczały;
Jak aniołów jaśne oczy.
  Tak one na świat patrzały.

Pierwsza swym blaskiem swiecąc dokoła
  Jakby godnością królewskiego czoła,
Promiennym wiankiem nieba jaśniała.
  Ta piękna gwiazda *wiarą* się zwała.

A kto spojrzy duszy okiem,
  Kogo olśni blask promienia,
Ten boskim tchnięty urokiem
  Swe serce w niebo zamienia.

Druga gwiazdka jak światełko raju
  Jak cudnych marzeń odbicie
Jak piękne, wątłe pierwsze kwiatki maju,
  Drżała na nieba błękicie.

Raz się za ciemnym skryła obłoczkiem
Lekką zasłoną odziała,
To znowu jasném błysnęła oczkiem
I na świat ziemi patrzała.

A na tym świecie tłumnie, gromadnie,
Wszystkie ją serca chwytały;
I wszystkie oczy chciwie patrzały
Na kogo jéj promień padnie.

A czyja dusza, jak kropla rosy
Czystością nieba zalśkniła;
Dla niéj świétna jak piękne niebiosy
Gwiazdka *nadziei* świeciła.

Promieniem raju skroń uwieńczyła,
I boską wonią owiała;
Złotemi głoski życie znaczyła
W koronę wonnych kwiatów ubrała.

Trzecia gwiazdeczka jak uśmiech anioła
Jak promień boski jaśniała dokoła.
Z modrawych nieba promieni,
Z delikatnych tęczy tkanek,
Z pereł rosy, księżyca pierścieni
Swój świetny uwiła wianek.
I nim dokoła niebu błyszczała;
I nim dokoła świata jaśniała.

A czyja dusza o Bogu pamięta
Wśród łudzących marzeń świata,

Anielską myślą ujęta
W przezrocze nieba ulata.

Dla niéj gwiazdeczka *miłości* zabłyśnie
Jako świetny znak zbawienia,
Boskie w niéj piętno wyciśnie
I szczęściem ją upromienia,

Bo te trzy gwiazdki— to szczęście ziemi
Ciche, urocze, niezmienne;
Jego na ziemi,
Skrzydłami swemi
Strzegą aniołki promienne.

Z uśmiechem w ustach, z pogodą czoła
Przebiega ono wśród ludzi;
Anielską rozkosz w nich budzi,
Anielskie życie szerzy dokoła.

Samuelina.

ANEGDOTY HISTORYCZNE.

Henryk brodaty, książę na Wrocławiu i Lignicy wystawiwszy z namowy żony swojéj świętéj Jadwigi klasztor w Szlązku, i uposażywszy go bogato, sprowadził doń zakonnice z Bambergu; a kiedy oddając klasztor i wszystko co do niego należało ksieni Petrucji, pytał jéj czy jeszcze czego niedostaje, ta odpowiedziała z niemiecka: „trzeba nic;“ przytomni temu dworżanie śmiać się z tego poczęli, a przez częste powtarzanie słów ksieni, nadano najprzód klasztorowi nazwę Trzebanic, ta późniéj w Trzebnicę zmieniona dostała się i miasteczku w którym był wzniesiony.

Marja Leszczyńska tak była dobroczyną iż razu pewnego gdy podskarbi czynił jéj uwagi, iż

wszystkie pieniądze jéj kassy mogły zaledwie wystarczyć na ogromne jałmużny rozdawane ubogim, odpowiedziała: Czyliż bogactwa matki nie są jéj dzieci własnością?

Taż królowa utraciwszy najstarszego syna, a w krótce potém ukochanego ojca, uległa pod ciężarem smutku i w ciężką wpadła chorobę, kiedy się nad nią naradzali lekarze, rzekła: „wróćcie mi ojca i syna, a uzdrowicie mię!“

Chlubił się Łaski Arcybiskup Gnieźnieński przed Zygmuntem I. że w Łasku dziedzicznéj ziemi swojéj, nietylko kościół i katedrę wybudował, ale cmentarz ziemią braną z Jerozolimy zawieść kazał. „Lepiéj byłbyś zrobił, światły król odpowiedział, gdybyś ziemią proszowską swoje mazowieckie piaski zawiozł.“

Tenże sam monarcha chcąc syna swego Zygmunta Augusta wprawić do przyszłego władania

całym krajem, za życia jeszcze swego rządy mu Litwy powierzył. — Po pierwszych chwilach pobytu młodego królewicza w Wilnie, kilku przybyłych ztamtąd panów, dla przypodobania się ojcu pod niebiosa wynosiło pierwsze drobne czyny synowskie: „zostawcie i przyganie jakie miejsce — odpowiedział król nielubiący pochlebstwa.

SPIS RZECZY.

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH

Proza.

POMYŁKI DRUKU.

W TOMIE DRUGIM ZNAJDUJĄCE SIĘ.

Stron:	*Wiersz.*	*Zamiast.*	*Czytaj.*
4	17	slebie	siebie
5	6	łub	lub
13	12	rozdice	rodzice
22	4	sebie	sobie
21	15	grzegorzu	Grzegorzu
28	6	połacy	polacy
30	11	grabe	grube
36	7	chrzesijanami	chrześcijanami
36	17	zuchwole	zuchwałe
40	3	w polsce	w Polsce
42	6	pierzynko	pierzynką
43	1	Wiazd	Wjazd
58	2	świątynie	świątynię
58	4	Tordwalsena	Torwaldsena
58	6	skotnickiego	Skotnickiego
58	10	z wyrazem	a wyrazem
81	19	męzszczyznom	mężczyznom
82	14	sądzi	sądzą
101	3	straconémi	straconymi
101	16	nieszczęliwi	nieszczęśliwi
105	1	grywali	grywały
106	22	nimi	niemi
93	9	karpatom	Karpatom

Stron.	*Wiersz.*	*Zamiast.*	*Czytaj.*
94	6	Bilitę	Bilitz
94	28	karpaty	Karpaty
95	6	Elią	Elbą
95	24	chistorję	historję
96	3	Nastechejn	Neuteschein
96	4	Alttechen	Altteschein
98	4	sądze	sądzę
98	5	mitrach	mitrach;
107	1	Wiezain	Wiczain
110	22	czym	czém
114	3	Zygmonta	Zygmunta
149	3	siedziało	siedziały
152	23	chciało	chciała
154	9	znisczyćby	zniszczyćby
169	2	rodzinnemi	rozlicznemi
169	28	małuje	maluje
202	19	dzwonneic	dzwonnice
234	6	bieżałat o	bieżała to
239	9	Jzkżeby	Jakżeby
247	2	krzywym	krzywém
257	6	nieróżniących	nieróżniące
257	27	na	nad
258	2	Ochcią	Ohią
258	15	w Poznanin	w Poznaniu
261	4	na na zamku	na zamku
262	12	Alfonsyna	Henryka
263	21	ręke	rękę